

A JEŚLI TRZASKOWSKI NIE WYGRA

Czy Tusk wprowadzi stan wyjątkowy?
- zastanawia się Rafał A. Ziemkiewicz



Łukasz Warzecha ostro
odpowiada Piotrowi Zarembie

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 15/624 7-13 KWIETNIA 2025
CENA 12,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY



PIOTR SEMKA
**ZWIEDZIŁ NAJCIEŻSZE KIEDYŚ
WIĘZIEŃ W WIELKIEJ BRYTANII**

Jak Franciszek „demokratyzuje”
Kościół katolicki

Kim Pan jest, Panie Mentzen?



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 1772299 850000
1 5 >
Nakład: 43 500 egzemplarzy

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



JAK BOLESŁAW CHROBRY ZDOBYŁ KORONĘ

1000. rocznica pierwszej koronacji – status królestwa dla Polski oznaczał komplikacje dla niemieckich planów

Tajemnice gen. von Seydlitza – oficer Wehrmachtu po dostaniu się do niewoli zaczął służyć Sowieciom w najgorszym możliwym stylu

Chiński „twórca królów” – obrotny kupiec zainwestował w banitę pochodzącego z królewskiego rodu. Efekt przerósł najśmielsze oczekiwania

Moskale porywają biskupa – Kajetan Sołtyk dał się uwikłać w perfidną grę przeciw Stanisławowi Augustowi. Gdy przejrzał na oczy, Rosjanie postanowili go ukarać

Zabójcze „żyłtka” – Medycy bardzo późno zrozumieli, że zwykłe mycie rąk i narzędzi chirurgicznych może uratować niezliczone istnienia

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Powrót zdrowego rozsądku

Wreszcie! Rzadko zdarza mi się nie zawieść na politykach, jednak w przypadku Donalda Trumpa rzeczy mają się inaczej. Największym zaskoczeniem jest bowiem to, że inaczej niż w przypadku pozostałych nowy amerykański prezydent naprawdę próbuje spełnić swoją obietnicę i przeprowadzić to, co sam nazwał rewolucją zdrowego rozsądku. Kilka dni temu okazało się, że administracja Trumpa na poważnie postanowiła walczyć z chorymi i absurdalnymi zapisami dotyczącymi tzw. promowania różnorodności. Jednoznaczne pismo w tej sprawie otrzymały te europejskie firmy, które mają kontrakty z Departamentem Stanu.

Według dziennika „Financial Times” przedstawiciele administracji Donalda Trumpa wysłali pisma do firm w Unii Europejskiej, które podpisały kontrakty z rządem USA, informując je o konieczności zastosowania się do rozporządzenia zakazującego prowadzenia programów DEI. Chodzi o lewacki program inżynierii społecznej, w pełni wspierany wcześniej przez demokratów Joe Bidena i ochoczo przyjęty przez europejską lewicę. W ramach DEI promowano tzw. różnorodność, równość i integrację, wprowadzając mechanizmy rekrutacji i awansów opartych na parytetach rasy, orientacji seksualnej czy płci. Kto chciał awansować w firmie, musiał wykazywać się odpowiednią wrażliwością i świadomością. Musiał uczestniczyć w osobnych kursach, musiał zdobywać punkty, musiał poddawać się odpowiednio przygotowanej tresurze. DEI to jeden z potworków poprawnościowego żargonu, czysta ideologia.

Zamiast kompetencji i umiejętności miały liczyć się różnego rodzaju parytety płciowo-mniej-

szościowe. A ile u was pracuje kobiet? A ile homoseksualistów? A ile lesbijek? A ile ludzi o innym kolorze skóry? A dlaczego to dobre? Ile miejsc zajmują w zarządach? I jaka to proporcja? A jak należy się zwracać do ludzi o innej tożsamości? To wszystko pytania, na które musiał umieć odpowiedzieć adept programu. Teraz koszmar się kończy.

Z dokumentu Trumpa wynika, że „kontrahenci Departamentu Stanu muszą potwierdzić, że nie prowadzą żadnych programów promujących DEI, które naruszają jakiegokolwiek obowiązujące przepisy antydyskryminacyjne, i zgodzić się, że takie oświadczenie jest istotne dla decyzji rządu w sprawie płatności i w związku z tym podlega ustawie o fałszywych roszczeniach”. Pisma, rozsyłane przez ambasady amerykańskie w Paryżu i w całej UE, zawierały również kwestionariusz nakazujący firmom certyfikację zgodności z federalnymi przepisami antydyskryminacyjnymi.

Z całej tej historii można wyciągnąć kilka wniosków. Po pierwsze, samo rozesłanie listów pokazuje, do jakiego stopnia tzw. wolny rynek i działające na nim przedsiębiorstwa uległy zepsuciu i ideologizacji. Wyglądało to z grubsza tak: w dużych koncernach pojawiły się osobne komórki, które zamiast dbać o zysk i atmosferę dobrej pracy, sprawdzały pracowników pod kątem ich ideologicznej poprawności. Te komórki współpracowały z zewnętrznymi podmiotami, które dbały o odpowiednie szkolenia i przygotowywały raporty. To samo dotyczyło zarządów i rad nadzorczych, które musiały pokazywać, że przestrzegają odpowiednich parytetów. W ten sposób wolny rynek – kwintesencja zdrowego kapitalizmu – od lat

ulegał systematycznej degeneracji. Wielkie koncerny w coraz większym stopniu zaczęły przypominać socjalistyczne molochy znane z czasów komunistycznych. Mniej liczyły się zdolności i kompetencje, bardziej dostosowanie się do oczekiwań ideologicznych. Coraz większą rolę w firmach zaczęły odgrywać nie fachowcy, ale polityczno-poprawnościowa nomenklatura, kiedyś nazywana politrukami. Tyle że dziś głównym jej siedliskiem stały się działy marketingu i public relations.

Po drugie, można przyjąć, że decyzja USA spotka się ze wściekłym oporem. W końcu mamy do czynienia z prawdziwą patologią, z systemem zorganizowanego, wieloletniego pasożytnictwa, czyli ze zbiorowym interesem dziesiątków tysięcy nierobów, zręcznie ukrywających swoją nieudolność pseudodziałaniami na rzecz inkluzywności czy różnorodności. System produkował ich przez lata i nic dziwnego, że wielu z nich do niczego innego, poza tropieniem odchyłów ideologicznych, się nie nadaje. Dziś ludzie ci znaleźli się dokładnie w takiej sytuacji, jak pod koniec lat 80. zawodowi marksiści, z rozpaczą szukający dla siebie nowej pracy. Co zrobią teraz wszyscy ci znawcy nierówności, wszyscy tropiciele zaimkówek, trenerzy wrażliwości i obrońcy parytetów? Będą protestować i przeszkadzać ile wlezie.

Po trzecie, mimo to decyzja Trumpa daje prawdziwą nadzieję. Jest ona, pośrednio, docenieniem tych wszystkich, którzy od początku opierali się wehikułowi postępu. Okazało się, że durnota i służalstwo jednak nie popłacają. Można mieć tylko nadzieję, że wiedza o tym dotrze również do Polaków. Pora na rewolucję zdrowego rozsądku w Polsce, także w polskich biznesie i gospodarce. ©

TEMAT TYGODNIA

18 PAWEŁ ZDZIARSKI

KIM PAN JEST, PANIE MENTZEN?

Czarny koń wyścigu prezydenckiego?

22 ROZMOWA Z MARCINEM PALADE

MIEDZY MENTZENEM A BRAUNEM



KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

CZY TUSK ROZWAŻA WPROWADZENIE STANU WYJĄTKOWEGO

Awaryjny wariant obozu rządowego

27 PIOTR SEMKA

RAFAŁA TRZASKOWSKIEGO KONTREDANSY Z WIARĄ

30 RADOSŁAW WOJTAS

W OBRONIE GRANIC

32 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK

ŚLĄSK W OGNIU WYBORCZYCH FRAZESÓW

KULTURA

34 ŁUKASZ CZARNECKI

PASJE REWOLUCJONISTKI

Ekspozycja prac słynnej nowatorki

36 BŁAŻEJ TORAŃSKI

WIOSNA PISARZY

38 PIOTR GOCIEK

GNIEW BOGA

44 KRZYSZTOF MASŁOŃ

BARDOWIE – MIROŚŁAW CZYŻYKIEWICZ

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, GRA

OPINIE

46 ŁUKASZ WARZECHA

PUBLICYSTYKA GORĄCEJ GŁOWY

Odpowiedź na tekst Piotra Zaremby

49 JAN FIEDORCZUK

POLACY NA FRONT?

52 JAN PARYS

PLAN BERLINA KONTRA EUROPA GEN. DE GAULLE'A

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI

JAK FRANCISZEK „DEMOKRATYZUJE” KOŚCIÓŁ KATOLICKI

HISTORIA

56 PIOTR SEMKA

WIĘZIENIE KRÓLOWEJ – TO BRZMI DUMNIE

Najcięższe kiedyś więzienie w Wielkiej Brytanii

60 ANDRZEJ SOLECKI

GEOPOLITYCZNE FATUM PODBRODZIA

ŚWIAT



62 KACPER KITA

EGZEKUCJA DEMOKRACJI NAD SEKWANĄ

Wyrok dla Marine Le Pen

65 ROZMOWA

Z SZURĄ BURTINEM

UKRAJŃCY SĄ ZMĘCZENI

68 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

PRZEBUDZONA KRÓLEWNA

EKONOMIA

72 JACEK PRZYBYLSKI

DZIEŃ ZUBOŻENIA

Wojna celna pograży nie tylko USA?

ADRES: Tygodnik DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jackie Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (i sekretarz redakcji), **Filip Memches**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETNIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmicki, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Łukasz Czamecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki,
Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper,
Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka,
Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Palkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieroniewicz, Jakub Wozinski,
Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Zygałdo
STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak
RYSONOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa**
 Okładka: **Jacek Domiński/REPORTER**
WYDAWCA: Do Rzeczy SA

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Do Rzeczy SA

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
 +48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasa@poczta.pl

www.poczta.pl/prenumerataprasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 43 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena

detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów

niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji

tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa

autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie

materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem

autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie

artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania

materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Wojna i miłość nad Berezyną”, Joanna Bojańczyk, „DRz” nr 12/2025

Szanowna Pani Redaktor,
z wielką przyjemnością, a nawet przyznam, że z radością, przeczytałam Pani felieton. Cieszę się ogromnie, że wreszcie *Florian Czarnyszewicz* coraz częściej pojawia się w dyskursie publicznym. I każdy, kto pisze czy choćby wzmiankuje o nim, jest pełen zachwytów tak, jak Pani Redaktor.

Ja „Nadbereżyńców” poznałam w 2005 r., w obszernym artykule wówczas dr. *Macieja Urbanowskiego* na łamach dodatku „Rzeczpospolitej” „Plus Minus”. Już w trakcie czytania „Nadbereżyńców” kupiłam książki dla swoich dorosłych dzieci, a także na okolicznościowe prezenty. Pamiętam, jakim wielkim zaskoczeniem była ta książka dla Pana *Jacka Dehnela*, z moją rekomendacją właśnie pięknej polszczyzny i podziękowaniem za dwuletnie warsztaty literackie w tzw. Akademii Dojrzałego Twórcy, w których uczestniczyłam w Teatrze Polskim w Warszawie.

Na pewno Pani Redaktor czytała na łamach „Do Rzeczy” wywiad, chyba ukazał się w lutym 2025 r., z autorami książki o *Florianie Czarnyszewiczu*. Na razie to pierwszy tom, zatytułowany „*Florian Czarnyszewicz. Los człowieka. Znad Berezyny nad La Platę*”. Wydał IPN. Pojechałam do księgarni IPN i kupiłam ostatnie pięć egzemplarzy. Także dla swoich dzieci.

Dodam, że moja najstarsza córka, *Agnieszka*, mieszka już od kilkunastu lat w Buenos Aires i tyleż samo lat pracuje tam jako sekretarz Ambasady RP. Gdy byłam u niej w 2015 r., w związku z narodzinami mojego wnuka, poznałam w Bibliotece Polskiej im. *Ignacego Domeyki* kierowniczkę tejże biblioteki, zaprzyjaźnioną z *Agnieszką Martą Bryszewską*. Wymieniam jej nazwisko, bo to niezwykle zaangażowana osoba w życie Polonii tak w Buenos, jak w innych miastach Argentyny, autorka wielu opracowań, wygłaszanych referatów przy okazji różnych konferencji.

Pojechałam do Biblioteki Polskiej, upewniwszy się, że książka *Czarnyszewicza „Losy pasierbów”* jest dostępna. Ta książka ukazała się właśnie chyba w tym czasie w Warszawie i moja młodsza córka, *Ania*, która przez jakiś czas pracowała jako dziennikarka w „Do Rzeczy”, powiedziała mi na Skypie: „Mamus, jak jesteś w Buenos, to musisz koniecznie przeczytać »Losy pasierbów«. To rzecz napisana o emigrantach w Argentynie, ciężkim życiu i walce o przetrwanie Polaków znad Berezyny, »ziomków« Czarnyszewicza”. Przyznam, że była to niezwykła lektura, właśnie wtedy w Buenos!



Pani *Marta Bryszewska* miała w 2014 lub 2013 r. wystawę w Warszawie właśnie o *Florianie Czarnyszewiczu* i jego dorobku literackim. I proszę sobie wyobrazić, że za moją namową w roku 2015 zdecydowały się obie, *Marta* i *Agnieszka*, nakręcić film o Czarnyszewiczu. *Agnieszka* wcześniej zrealizowała film w Buenos o *Gombrowiczu*, oczywiście przy pomocy finansowej ambasady polskiej. Jej mąż, *Lucas*, jest operatorem filmowym i montażystą pracującym w telewizji Buenos Aires.

Gdy przyjechałam ponownie do Buenos w roku 2017, z jaką radością zobaczyłam na pulpicie laptopa *Agnieszki* ikonkę: Film o Czarnyszewiczu. Jednak projekt ten upadł, bo nie było wtedy na to w ambasadzie funduszy. Nadal jednak namawiam *Agnieszkę* z *Martą*, żeby z *Lukasem* zrobili film o Czarnyszewiczu. Posłałam *Agnieszcze* zdjęcie treści tego wywiadu w „Do Rzeczy” z autorami książki o Czarnyszewiczu, czym się bardzo zainteresowała [...].

Serdecznie pozdrawiam
Ewa Herbich

NA PIERWSZY OGIEŃ

Modły na ulicy a sprawa polska



PIOTR SEMKA

Wielkie zainteresowanie wzbudził w sieci filmik pokazujący tłumy muzułmanów zgromadzonych w niedzielę 30 marca z okazji końca ramadanu przed meczetem w Gdańsku. Ludzie nie tylko modlili się w samym meczecie i na terenie doń przylegającym, lecz także wypełniali gdańską ulicę Abrahama, przy której znajduje się świątynia. Ulica była zablokowana przez policjantów i radiowóz, którzy sankcjonowali zajęcie jezdni przez modlących się.

Większość komentarzy do filmiku utrzymana była w stylu: „A więc już się zaczęło” lub „Na naszych ulicach jak w Paryżu czy Londynie”. Film skomentowali też politycy z PiS i Konfederacji, którzy uznali to za ilustrację tego, jak rząd Tuska nie radzi sobie z imigracją.

Popularność filmu skłoniła do riposty osoby rozdrażnione robieniem sensacji wokół zgromadzenia muzułmanów w Gdańsku. „Modlitwą nikomu nie robią krzywdy. Są częścią społeczności. W najbliższych tygodniach katolicy wyjdą na uliczne drogi krzyżowe i procesje

święteczne” – pisał dziennikarz portalu xyz Rafał Mrowicki. Z kolei blogerka Katarzyna ironizowała: „Szczucie na modlących się ludzi. Jakie to chrześcijańskie”. W innym tweecie pisała: „Muzułmanie świętują koniec ramadanu. Polscy politycy widzą »polityczne złoto«, bo można postraszyć innowiercami”.

Szczerze mówiąc, nie dziwię się nośności filmiku. Po pierwsze – mógł on wywołać szok, bo nigdy wcześniej gdański meczet nie był miejscem tak wielkiego zgromadzenia wyznawców islamu. Meczet zbudowano w latach 80. w cichej willowej dzielnicy na granicy Wrzeszcza i Oliwy. Długie lata służył nielicznej tatarskiej społeczności, której przodkowie przybyli tu po wojnie z Wileńszczyzny. Skoro teraz pojawiły się takie tłumy, to oznacza to, że w ostatnim półroczu gwałtownie wzrosła liczba islamskich imigrantów. A to z racji obaw o konflikty kulturowe musi budzić zaniepokojenie. Po drugie – nie jest jasne, dlaczego policja pozwoliła, by wierni zajęli przejazdową ulicę Abrahama. Jeśli duchowni wspólnoty islamskiej w Gdańsku

spodziewali się, że koniec ramadanu może przyciągnąć tłumy, to dlaczego wcześniej nie wynajęto jakiejś hali? Zajęcie ulicy wyglądało na zawłaszczanie przestrzeni publicznej. I po trzecie – widać, jak chętnie polemici wchodzą w retorykę w stylu: „A katolicy to mogą wychodzić na ulicę?”.

Procesje katolickie to stały element polskiego krajobrazu od stuleci, a masowe modły muzułmańskie to w Gdańsku coś nowego. Doświadczenia Zachodu udowadniają, że skokowy napływ imigrantów islamskich powoduje konflikty i spadek poziomu bezpieczeństwa.

Kontrowersje wokół filmiku z Gdańska pokazują, że spór o imigrantów będzie kolejną ostrą wojenką ideologiczną. I żadne powoływanie się na to, co zaczęło się dziać w państwach zachodnich, nie przekona obozu postępu. Najpierw obowiązywać będzie uspokajające hasło: „A skąd wiecie, że będzie niebezpiecznie?”. A jak już zdarzą się złe rzeczy, padnie argument: „Trudno, stało się, imigranci już tu są, musimy z tym żyć, wykażcie się tolerancją”. ©

WIELKI MARSZ 12 kwietnia 2025 r. | 12⁰⁰ | Warszawa

Start marszu: Pomnik Kopernika, Krakowskie Przedmieście

BIJEMY REKORD POLONEZA!

Podczas Marszu z okazji 1000-lecia Królestwa Polskiego

będzie podjęta próba pobicia rekordu Polski par tańczących Poloneza.

Weź żonę/meza czy partnerkę/partnera i bądź częścią tego historycznego wydarzenia!

Wszystko na cześć naszej wspaniałej Ojczyzny!

www.1000latPolski.pl #1000latPL


„DO RZECZY” ZAPRASZA DO WARSZAWY 12 KWIETNIA NA WIELKI MARSZ Z OKAZJI TYSIĄCLECIA KRÓLESTWA POLSKIEGO

Zgodnie z historycznymi przekazami koronacja pierwszego króla Polski – Bolesława Chrobrego – prawdopodobnie miała miejsce 18 kwietnia 1025 r., a 10 kwietnia 1525 r. królowi Zygmunтови I Staremu hołd lenny złożył Albrecht Hohenzollern. Z okazji obu tych rocznic w sobotę przez Warszawę przejdzie Wielki Marsz z okazji 1000-lecia Królestwa Polskiego i 500-lecia hołdu pruskiego. Organizatorem wydarzenia jest

Komitet Inicjatywy Społecznych Obchodów na czele z prof. Andrzejem Nowakiem, Markiem Jurkiem oraz eurodeputowanym Prawa i Sprawiedliwości Patrykiem Jakim. „Do Rzeczy” jest zaś jednym z patronów medialnych tego wydarzenia. Tego dnia w Warszawie odbędzie się także próba pobicia rekordu Polski par tańczących poloneza. „Niech cała Europa zobaczy ten piękny obrazek na 1000-lecie Królestwa Polskiego” – apeluje Patryk Jaki. **(jap)** ©



Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy,

jesteśmy z Wami od ponad 12 lat. Piszemy, mówimy, komentujemy i analizujemy sytuację w Polsce i na świecie. Niezależnie od tego, kto w danym momencie rządzi, bronimy zdrowego rozsądku, interesu narodowego, wolności słowa, przedsiębiorczości i polskiej tożsamości kulturowej. Wielokrotnie „Do Rzeczy” było określane jako najbardziej opiniotwórcze polskie medium. W ten sposób działają tygodnik, portal i kanał YouTube – wszystkie pod marką „Do Rzeczy”.

Teraz podjęliśmy decyzję o rozpoczęciu procesu wejścia na giełdę, a konkretnie na jej

alternatywny system obrotu zwany NewConnect. Dzięki temu pozyskamy kapitał, który umożliwi nam rozwój – wzmocnienie już uruchomionych projektów i budowę nowych, przede wszystkim multimedialnych.

W związku z giełdowym debiutem postanowiliśmy, że damy Wam możliwość bycia współtwórcami naszych projektów. W ten sposób, drodzy Czytelnicy, sami będziecie dodatkowymi gwarantami niezależności i pozycji redakcji. Inwestując w markę „Do Rzeczy”, przyczynicie się do zachowania tak obecnie zagrożonej w Polsce wolności słowa.

Właśnie ruszyła Publiczna Oferta Akcji Do Rzeczy SA, w której również Wy możecie wziąć udział jako inwestorzy indywidualni (szczegóły na www.dorzeczy.pl/gielda). Za pośrednictwem platformy Domu Maklerskiego INC już teraz możecie zakupić akcje i zostać częścią środowiska „Do Rzeczy”.

Paweł Lisicki,
redaktor naczelny
tygodnika „Do Rzeczy”



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wyrok na Martykę

W czasie pandemii COVID-19 wiele osób straciło wiarygodność, ale chyba nikt, nawet prof. Simon ze swą wykładnią „wizyty na cmentarzu grożą zarażeniem, udział w antypisowskich demonstracjach nie”, nie wygłupił się bardziej niż dr Paweł Grzesiowski. Straszyl on nas „stosami trupów na ulicach”, jeśli natychmiast nie zmusimy wszelkimi możliwymi represjami opornych do zaszczepienia się. A dosłownie nazajutrz zaczęła się wojna na Ukrainie, w krótkim czasie do Polski wjechały 2–3 mln uchodźców – niezaszczepionych, niezamaskowanych, nieprzestrzegających zasad „dystansu społecznego” – i nic, zupełnie nic się nie stało. Kiedy o pandemii przestały

mówić media, epidemia skończyła się jak nożem uciął.

Po takim doświadczeniu dr Grzesiowski powinien wyjechać na prowincję i tam zajmować się w jakimś ośrodku zdrowia wyuczoną pediatrią, najlepiej pod zmienionym nazwiskiem. Ale bogać tam – Grzesiowski został przez nową ekipę mianowany Głównym Inspektorem Sanitarnym kraju. A także, w roli autorytetu, wystąpił jako biegły w procesie przed sądem lekarskim, którego ofiarą padł dr Zbigniew Martyka. Doktor Martyka nie poddał się bowiem powszechnej histerii, gorzej – bazując na wiedzy medycznej i zdrowym rozsądku, opierał się jej, dowodząc m.in., że szczepienia nie zapobiegają zarażeniu, a jedynie mogą złagodzić u zarażonego

przebieg choroby, a także że nie zapobiegają niczemu maseczki, mycie rąk i „dystans”, w imię których spanikowana władza terrorizowała wtedy społeczeństwo.

Mimo że wszystkie badania naukowe potwierdzały słuszność słów dr. Martyki, został on – właśnie na podstawie opinii biegłego Grzesiowskiego – skazany surowo i „przykładnie” na rok zakazu wykonywania zawodu. Dopiero teraz doczekał się... nie, nie uniewinnienia – złagodzenia tego wyroku i zamienienia go na „naganę”. Sitwa może się mylić, może kłamać, ale przyznać się do tego – nie może. Czy to sąd lekarski czy inny.

A potem wielkie zdziwienie, jak ludzie mogą nie wierzyć „autorytetom medycznym”... ©©



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Zagadka Stanowskiego

Co trzeba mieć w głowie, żeby głęboko humanistyczny głos polityka, który dał dowód, że ani ogromne poparcie społeczne, ani gra wyborcza nie pozabawiły go człowieczeństwa (które przecież tak łatwo zabija zwierzęcy instynkt polityki), porównywać z wybrykami prezesa Mikkego obrażającego kobiety, niepełnosprawnych, wychwalającego cnotę agresji i demonstrującego totalną wolność od empatii?

Zastanawiałem się nad tym, oglądając ostatnią audycję wyborczą Krzysztofa Stanowskiego. Zaczęła się świetnie od kapitalnego zestawienia deregulacyjnych wypowiedzi Mentzena sprzed dwóch lat – i aktualnych Trzaskowskiego.

Kopia 1:1, plagiat totalny! Patrząc na prezydenta Warszawy z uroczystą miną recytującego całe Mentzenowskie frazy, przecierałem oczy i pękałem ze śmiechu.

I potem nagle Stanowski przerzucił się na... Sławomira Mentzena i zaczął narzekać, że taki fajny kandydat, a jednocześnie nieopanowany jak Korwin-Mikke, że brak mu niezbędnej cnoty oportunisty i że... ma ultraradykalne poglądy „na temat aborcji”. Dlaczego? Bo Mentzen spokojnie tłumaczy, że każde poczęte dziecko ma prawo się urodzić.

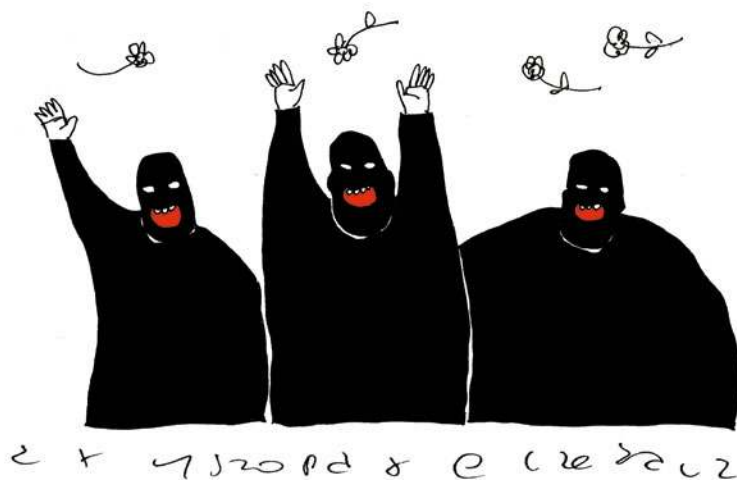
Cóż można na to powiedzieć? Krzysztofowi Stanowskiemu najlepiej poradzić, żeby pobiegał albo polatał na smoku, nałykał się tlenu, to i myśleć będzie łatwiej.

A szerszej publiczności – żeby w rzeczach poważnych nie nabierała się na rockmanów, satyryków, ekspertów sportowych i innych zawodowych luzaków. Ich luz bywa najczęściej jedynie urzędowym kostiumem skrywającym nierzadko najbardziej wyrachowany pragmatyzm i normalsowski konformizm, którym potrafiliby przeliczować najsztynniejszych polityków.

Piszę to z przykrością, bo Kanał Zero bardzo polubiłem, a w Krzysztofie Stanowskim widziałem zawsze spadkobiercę Pawła Zarzecznego, świetnego dziennikarza, pięknego człowieka. Ale cóż, sympatia nie może być ważniejsza od prawdy. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Ryszard C. i gangsterzy z Pruszkowa
Weterani i kombiści na czele
Marszu Patriotów Donalda Tuska...



PIECZEŃ RZYMSKA

O zdemilitaryzowanych hipisach



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

Premier Włoch Giorgia Meloni w wywiadzie dla „Financial Times” zgodnie z prawdą powiedziała, że zachowanie jedności Zachodu, czyli ostudzenie konfliktu w relacjach transatlantycznych, jest kwestią wagi zasadniczej leżącą w interesie wszystkich, nad którą będzie pracować. Jako potencjalna pośredniczka zapewniła, że jej zdaniem Donald Trump nie jest diabłem wcielonym, a Stany Zjednoczone to najważniejszy sojusznik Italii. Przy okazji, zwracając się pośrednio do włoskich polityków, oceniła, że zmuszanie jej do wyboru między USA a Unią Europejską jest głupie. A to właśnie, wyłącznie z małej złośliwości, robi od tygodni oszałamiała włoska lewica. Postępowcy w nadziei na zyski polityczne natych-

miast zawyrokowali, że premier wybrała nieobliczalnego Trumpa i działa w imię amerykańskiego, a nie europejskiego interesu.

Wyjaśnienie Meloni, że działa w interesie Italii, padło na głuche uszy. Kubeł lodowatej wody na rozpalone głowy progresistów wylała szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen: „Giorgia Meloni odgrywa bardzo ważną rolę w Europie. To dobrze, że posiada bliskie, bezpośrednie kontakty z USA”. Bum.

Przy okazji włoska premier zwróciła się z kpiarskim pytaniem do rodzimych i zagranicznych pacyfistów, którzy dostają szału na myśl, że Unia chce wydać na obronę 800 mld euro: „A może chodzi o to, by Europa stała się wielką, zdemilitaryzowaną wspólnotą hipisów?”.

Akurat w tej sprawie – jednostronne rozbrojenie jako recepta na powszechny pokój – w rozpalonych głowach zachodniej młodzieży od lat nie zmienia się wiele. Dawno temu mieszkalem na kampusie uniwersyteckim w Berlinie Zachodnim. W dwupiętrowych domkach miejscem spotkań i dyskusji była wielka kuchnia: ściany upstrzone portretami Che, czerwonymi gwiazdami i sierpomłotami. W płomiennych dyskusjach młodzież żyjąca w oazie wolności za przerażającym berlińskim murem wielbiła Związek Sowiecki i terrorystów palestyńskich, darząc szczerą nienawiścią amerykańskich imperialistów, winnych jej zdaniem wszystkich nieszczęść naszego świata. ©©

Author jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

SŁODKA SZPILA

Jedna z najpopularniejszych wśród dziecięcej widowni influencerów i tiktokerek Julia Żugaj dołączyła do grona celebrytów, którzy oferują „własne” pączki. Klienci jednego z marketów mogą kupić donuty wypełnione nadzieniem o smaku pomarańczowy i marakui, firmowane twarzą Julki. Dziennikarka i samozwańcza ekspertka do spraw zdrowej żywności, związana ze stacją TVN Katarzyna Bosacka, zrównała produkt z ziemią. „Matko i córko, czego tu nie ma! Około 70 składników w jednym małym pączku. Dwa gryzy, a w żołądku zaczyna grać orkiestra (i to fałszywie) różnych tłuszczów, emulgatorów, zagęstników i aromatów. W sumie to produkt wysokoprzetworzony. Wprawdzie wygląda



FOT. WPHOTO/EAST NEWS

i pewnie nawet smakuje, ale w sumie truje. Zwłaszcza rzesze małych dziewczynek i chłopców, którzy tyją najszybciej w Europie” – grzmiała w recenzji pączków dla portalu Pudelek. Bosacka zaapelowała wprost do influencerki. „Julio Żugaj, tworzysz treści dla dzieci, zarabiasz na tym duże pieniądze, czas dorosnąć i wziąć odpowiedzialność za swoje polecenia i kampanie reklamowe. Twarz ma się tylko jedną. Nawet gdy jest ona bardzo słodka” – podsumowała sarkastycznie. Czyżby szykowała się pierwsza wojna pączkowa? Tego jeszcze nie było.

(NIE)WSZYSTKO DLA ŻUGAJEK

Skoro o gwiazdzie Internetu – nie może być tak, że ma się całe 24 lata, prawie 1,5 mln obserwatorów na Instagramie, ale

nie nakręcono o takiej gwiazdzie filmu. Julka wzięła więc sprawy we własne ręce, czego efektem jest film biograficzny „Jesteśmy Żugajkami”, który niedawno trafił do kin. W jednym z fragmentów słychać, jak influencerka kłóci się z ojcem jednej z fanek. Do sytuacji doszło podczas nagrywania show „Taniec z gwiazdami”, w którym Julka brała udział. – Rozumiem, że każdy ma swoje emocje, ja też je mam i stoję, i będę robić zdjęcia. Jeśli trzeba będzie, to pójdziemy na ściankę, ale nie trzeba być chamem – oburzała się Żugaj do najwidoczniej nazbyt natarczywego mężczyzny, który bardzo chciał zdobyć podpis idolki dla swojego dziecka. – Ale jesteś dla dzieci – odpowiedział. – Jestem i dlatego tu stoję. Pan też jest dla dzieci, więc proszę się zachowywać – pouczała go gwiazdka. – Gdyby nie dzieci, ciebie by nie było – nie odpuszczał. – Dlatego tu stoję – podsumowała Żugaj.

EKSPERT TAKI SOBIE

Nie tylko jednak influencerzy powinni uważać, co promują. Również media tradycyjne mogłyby lepiej weryfikować ludzi, których przedstawiają swojej widowni jako „ekspertów”. Bo później może wyjść kwas. Maciej Panek prowadził w TVN program „Młodość na zamówienie”. Ten lekarz celebryta, będący właścicielem kliniki medycyny estetycznej, okazał się, delikatnie ujmując, słabym specjalistą. Portal Gonic opublikował relacje byłych pacjentek i osób z otoczenia Panka. Zarzucają mu m.in. oszpeccenie, bolesne skutki zabiegu, brak porządku i wywiadu medycznego czy brak pomocy w przypadku infekcji. Jakby tego było mało, niektóre z poszkodowanych deklarują gotowość pójścia do sądu. Dodatkowo okazuje się, że celebryta mógł się minąć z prawdą, twierdząc, że studiował na Collegium Medicum UMK w Bydgoszczy – rzecznik uczelni temu zaprzecza. Sprawa napęczała na tyle, że TVN musiał zareagować. Stacja zakończyła współpracę z lekarzem, o czym poinformowała Joanna Górka z działu komunikacji i PR Warner Bros. Discovery. „Dokła-

damy starań, aby nasze projekty były realizowane z dochowaniem najwyższych standardów. Dlatego wszelkie informacje o nieprawidłowościach weryfikujemy i zawsze reagujemy, jeśli takie zdarzenia zaistnieją w procesie produkcji lub po jej zakończeniu. Pan Maciej Panek nie współpracuje z naszą stacją” – przekazała. Panek niby zaprzecza, ale jakoś tak na okrętkę. „Ostatecznie odnosząc się na przesłane do mnie pytania dotyczące Panek Clinic, pragnę Pana zapewnić, że jestem w kontakcie ze wszystkimi swoimi klientkami, a sprawy, które Pan opisuje, są rozwiązywane z zachowaniem tajemnicy zawodowej i dobrych praktyk lekarskich. Jednocześnie oświadczam, że pozostałe zagadnienia są na bieżąco przedstawiane i wyjaśniane z powołanymi do tego organami. Dyskusja na ten temat na forum publicznym nie służy wyjaśnianiu tych kwestii, a jedynie uderza w dobre imię Panek Clinic, na co przez wzgląd na swoich klientów, jak i moją pracę nie mogę sobie pozwolić” – czytamy w oświadczeniu lekarza celebryty.

RAZ MNIEJ, RAZ WIĘCEJ

Żyjemy w świecie, w którym zęby, usta, biust czy włosy nie „się ma”, ale „się robi”. Co ciekawe, ostatnio zapanowała moda na zmniejszanie. I tak np. biust, który kilka lat temu został powiększony, teraz, zgodnie z nowymi trendami, zostanie zmniejszony. Decyzję taką ogłosiła typowa celebrytka ZYTŻJ („znana z tego, że jest znana”) Justyna Gradek. – Chciałabym zmniejszyć biust. Już się przymierzam do tego. Nawet w przyszłym tygodniu mam konsultację i będę się konsultować z kilkoma lekarzami, bo jest to jednak operacja dosyć poważna, więc trzeba podjąć taką decyzję rozważnie [...]. Wcześniej, czyli osiem lat temu, taka decyzja padła. Byłam młoda, nie myślałam o konsekwencjach, nie myślałam o tym, że na przyszłość może to wyglądać źle, ponieważ te piersi powiększają, wydaje się, że jestem większa, niż wyglądam – wyznała. A jak zmieni zdanie? To powiększy. Nie ma problemu. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak się okazało pamiętnego 15 października, rząd można zmienić w ciągu jednego dnia. Jednak zniszczenia, które zamordystyczno-konserwatywna koalicja poczyniła w umysłach mieszkańców tego kraju, będą się naprawiały jeszcze przez bardzo długi czas, co widać choćby po wynikach interesującego badania, które ostatnio widzieliśmy.

Otóż ponad 70 proc. Polaków chce, aby w szkołach zakazane zostało korzystanie ze smartfonów. W XXI w., w środku Europy, kiedy ludzkość dokonuje niesamowitych odkryć naukowych, żyjemy w epoce rozkwitu sztucznej inteligencji i już prawie zakończyliśmy dyskusje o zaimkach. To wszystko się dzieje, a Polacy chcą, iżby osobodzieci nie mogli korzystać ze zdobyczy cywilizacji i techniki. Kuriozalne.

Przed wszystkim szkoła nie jest od tego, żeby czegośkolwiek zakazywać, szkoła ma uczyć – of kors w zgodzie ze świeckimi standardami i poszanowaniem różnorodności. Ale jeśli osoboczeń poczuje się zmęczony edukacją, to czemu nie mógłby sobie przeskrolować TikToka i pooglądać, jak zabawni ludzie robią różne ciekawe rzeczy?

Zakaz korzystania ze smartfonów może mieć też negatywne skutki psychologiczne i nasilać zjawisko tzw. FOMO (dla Podkarpacia – Fear Of Missing Out), iż osobodzieci mogą myśleć o tym, co nowego na fejsie, insta czy wyborcza.pl, zamiast mnożyć w zakresie do 30.

Naszym zdaniem kolejne zakazy nie przyczynią się do tego, iż będzie lepiej, no ale taka to polska mentalność – zakazać to, czego nie rozumiemy, nie znamy, czego się boimy. A przeciętny janusz o technologii wie tyle, jak włączyć telegazetę i użyć kabla od prozisa.



Natomiast tam, gdzie mogą decydować ludzie światli i postępowi, polska oświata odnosi sukcesy. Otóż minął właśnie rok od zniesienia prac domowych, dzięki czemu osoboczeniowie, zwłaszcza z najmłodszych klas, nie są bestialsko zmuszani do ćwiczenia w domu tego, czego nauczyli się w szkole.

To jest of kors bardzo świadomie przeprowadzony rozdział szkoły od domu, iż osobodzieci nie powinni być gnębione jakimiś powtórkami, które mogą negatywnie wpływać na ich psychikę i nastawienie do szkoły.

Niestety, gdzieniegdzie wciąż widzimy wypowiedzi niedostatecznie wyedukowa-

nych nauczycieli, którzy zwracają uwagę na to, iż dzieci bez powtarzania materiału i bez ćwiczeń praktycznych, zwłaszcza w najmłodszych klasach, narobią sobie załogłości i będą miały trudności z kolejnymi etapami edukacji.

Z nas of kors żadni metodycy, ale to chyba już nie problem osoboczeń, tylko nauczycieli, żeby te dzieci czegoś porządnie nauczyły? Oczywiście, o ile dzieci wyrażają taką chęć, iż nie wolno nikogo do niczego zmuszać, pamiętajcie.

Jesteśmy zaskoczeni, iż dotarliśmy do zestawienia pod nazwą „Światowy Raport Szczęścia”, w którym Polska zajęła 26. miejsce na 147 sklasyfikowanych krajów. Raport powstaje na bazie poziomu zadowolenia poszczególnych państw i ten kraj wyprzedził np. Francję i Hiszpanię.

Z jednej strony, cóż – janusze z Podkarpacia mają najwidoczniej niewielkie oczekiwania od życia i wystarcza im byle co, iżby się cieszyć – stary passat w dieslu, urlop na działce, tanie piwo i kiełba z promocji na grilla.

No chyba że ten ranking tak całkiem wysoko mamy dzięki głosom miejskiej klasy średniej, której pod obecnymi rządami żyje się może nie tyle łatwiej, ile przyjemniej pod kątem estetycznym. Jeśli tak, to oczywiście mamy kolejny sukces koalicji – i to wykraczający poza wyborcze obietnice!!!111jeden ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Cyberatak

Donald, zobacz, ja też mam cyberatak!

Jak to: też? Co ty gadasz, Szymon?

No bo u was przecież był, z Rosji... A, to... Ty wiesz, ile się musieliśmy

naszukać odpowiedniego wirusa, żeby nam ładnie wyglądał na monitorach i jeszcze cyrylicę miał?

No, nieważne. Ale zobacz, mnie od rana Internet w komórce nie działa! Moim zdaniem to Ruscy!

Pokaż no ten telefon... Zobacz: tutaj ściągasz z góry, tu masz taką ikonkę z dwoma strzałeczkami, musisz kliknąć i – proszę!

Niesamowite!

Też bym chciał, żeby mnie tak życie zaskakiwało. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ukrywał pedofilów, wspierał oszustów finansowych, błogosławił dyktatorów”.

PIOTR SZUMLEWICZ, lewicowy aktywista polityczny, publicysta, o św. Janie Pawle II na platformie X



Przyznano nagrody „Do Rzeczy” – „Kochać i chronić”

W Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie zakończyła się uroczysta gala nagród „Kochać i chronić”. Statuetki przyznano w 10 kategoriach. Wręczono także nagrodę specjalną za całokształt działalności na rzecz dzieci i młodzieży

Nagrodzone zostały najlepsze inicjatywy, organizacje oraz firmy z Małopolski działające na rzecz ochrony dzieci i młodzieży. Wyróżnienia skierowano do tych, którzy w szczególny sposób dbają o wychowanie dzieci i wspierają je.

– Chcieliśmy podczas tej gali docenić wszystkich tych, którzy mają odwagę przekazywać wartości i trwać przy tym, co najważniejsze, co stałe dla społeczeństwa i polskiej kultury – podkreślił w mowie otwierającej galę „Kochać i chronić”

Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy”.

Wydarzenie odbyło się pod honorowym patronatem marszałka województwa małopolskiego, Łukasza Smółki.

Uświetnił je występ Pauliny Sobczyk, utalentowanej skrzypaczki, absolwentki Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina oraz Akademii Muzycznej w Krakowie, a poprzedziła debata pod hasłem: „Reforma czy destrukcja? Jakiej edukacji potrzebują Polacy”.

W kategorii Działacz Społeczny Kapituła przyznała nagrodę śp. Pawłowi Królowi, muzykowi, wiołonczeliście, który swoje powołanie odnalazł w pracy na rzecz młodzieży. Zmarły w 2021 r. działacz społecznik tworzył filmy promujące wartości rodzinne oraz te o zagrożeniach cywilizacyjnych. – Paweł był działaczem, który umiał jednoczyć ludzi, obdarzał ludzi empatią i działał w zakresie zarówno edukacji prorodzinnej, jak i profilaktyki – wspominała ze sceny matka Pawła, Teresa Król.

Nagroda w kategorii Bezpieczeństwo trafiła do Młodzieżowej Drużyny Pożarniczej z Ochotniczej Straży Pożarnej w Przytkowicach. W małej społeczności, gdzie tradycja i współczesność łączą się harmonijnie, ta jednostka strażacka stanowi wzór zaangażowania. Od początku swojej działalności zdobywała liczne suk-



przypadku doceniono przede wszystkim wszechstronne kształcenie, promujące jednocześnie humanizm, tolerancję oraz odpowiedzialność społeczną. – Towarzysz nam fundament humanitas i średniowieczne dążenie do prawdy. Wbrew przeszkodom idziemy do przodu – mówił ze sceny prof. Piotr Borek, rektor Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej.

Nagrodę w kategorii Promocja Zdrowia otrzymała Krakowska Wyższa Szkoła Promocji Zdrowia. Dzięki licznym akcjom prozdrowotnym, współpracy z placówkami medycznymi i dynamicznemu podejściu do kształcenia uczelnia placówka szczególnie wyróżnia się na mapie edukacyjnej Polski – jest swoistym centrum wiedzy, profilaktyki i zdrowego stylu życia. – Piękne słowa: kochać, chronić, miłować. Są jednak dziś coraz mniej zauważalne – ubolewał, ale i serdecznie dziękował prof. Tadeusz Tuszyński, rektor uczelni.

Mieczysław Czytajło, dyrektor Młodzieżowego Domu Kultury Dom Harcerza im. prof. Aleksandra Kamińskiego w Krakowie, odebrał statuetkę w kategorii Młodzieżowy Dom Kultury. Kapituła doceniła to wyjątkowe miejsce w Krakowie, które już od dziesięcioleci wspiera rozwój artystyczny dzieci i młodzieży. To przestrzeń, w której młodzi artyści mogą rozwijać swoje zdolności wokalne, plastyczne, teatralne czy muzyczne, zdobywając jednocześnie pewność siebie i umiejętność pracy zespołowej.

Natomiast Fundacja Wspomagająca Wychowanie „Archezia” otrzymała nagrodę w kategorii, która wyróżnia działania fundacji wspierających rozwój, edukację oraz zdrowie psychiczne i fizyczne młodzieży. Działalność „Archezi” opiera się na promowaniu profilaktyki, edukacji oraz budowaniu trwałych relacji międzyludzkich. Jej autorskie programy pomogły już tysiącom uczniów, nauczycieli i rodziców zrozumieć, jak radzić sobie ze stresem, odnajdywać radość i czerpać zaufanie do własnych możliwości (kategoria Fundacja).

Podczas gali dostrzeżono również wyjątkowe inicjatywy muzyczne wspierające rozwój talentów oraz wzmacniające lokalne tradycje. W kategorii Muzyka statuetka za wybitne osiągnięcia w popularyzowaniu kultury muzycznej oraz kształtowanie kolejnych pokoleń powędrowała do Damian Pałasza, twórcy i dyrygenta Małej Armii Janosika.

W kategorii wyróżniającej osiągnięcia literackie nagrodę otrzymała Justyna Chłap-Nowakowa za zbiór wierszy „Opowieści Złotego Kota” (Literatura). Doceniono przede wszystkim to, że autorka potrafi mistrzowsko połączyć literacki kunszt z głębokim przesłaniem, tworząc poezję, która trafia prosto do serc czytelników. Jej twórczość to opowieści pełne emocji, miłości do natury, tradycji oraz wartości, które powinny być pielęgnowane i przekazywane kolejnym pokoleniom. – Jeśli nie obronimy dzieci i prawdy, to jaki będzie sens naszego życia? – pytała podczas gali poetka.

Laureatem nagrody Biznes Przyjazny Dzieciom został największy park rozrywki w Polsce – Energylandia. Kapituła doceniła właścicieli tej firmy za to, że udowadniają, iż świat biznesu może harmonijnie współistnieć z misją społeczną, dając wsparcie rodzinom w codziennych wyzwaniach. Energylandia to 133 atrakcje, w tym 28 dedykowanych najmłodszym – miejsce, które nie tylko bawi, lecz także integruje pokolenia, tworząc wyjątkową atmosferę rodzinnej bliskości.

Nagrodę specjalną „Do Rzeczy” za całokształt działalności na rzecz dzieci i młodzieży otrzymała Barbara Nowak, radna województwa małopolskiego. W laudacji podkreślono, że dzięki swojej nieustępliwości i ogromnej pracy wpłynęła na liczne zmiany systemowe, które poprawiły jakość kształcenia. A także że organizowane przez nią inicjatywy edukacyjne oraz akcje społeczne na trwałe wpisały się w krajobraz działań prorodzinnych w naszym kraju. – Ważne, by to, co złe, zniknęło. Ale stanie się to dopiero, gdy wszyscy będziemy aktywni w czynieniu dobra – podkreślała Barbara Nowak.

Nagrody wręczali: Łukasz Smółka, marszałek województwa małopolskiego, oraz Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy”. Wydarzenie zwieńczył koncert muzyczny. ©©

PATRONAT HONOROWY:

ŁUKASZ SMÓŁKA MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

PARTNERZY:

MAŁOPOLSKA

MUZEUUM
LOTNICTWA
POLSKIEGO

cesy, w tym ostatnio wicemistrza świata podczas międzynarodowej olimpiady we Włoszech w 2024 r.

Podczas gali uhonorowano również szkoły, które nie tylko edukują, lecz także pielęgnują pamięć historyczną i wartości patriotyczne. W kategorii Szkoła nagroda powędrowała do Zespołu Szkół nr 2 im. Sybiraków w Nowym Sączu. Placówka od lat z zaangażowaniem kultywuje pamięć o trudnej historii Polaków zesłanych na Syberię. Uczniowie biorą udział w wydarzeniach historycznych, tworzą projekty dokumentalne, uczą się szacunku do przeszłości, dzięki czemu historia przestaje być dla nich tylko podręcznikową opowieścią, a staje się realnym dziedzictwem.

Nagrodę w kategorii Szkoła Wyższa otrzymał Uniwersytet Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie. W tym





NETANJAHU BEZPIECZNY W BUDAPESZCIE

„Premier Netanjahu w Budapeszcie, najbezpieczniejszym miejscu w Europie” – ogłosił w ubiegły czwartek premier Węgier Viktor Orbán, pierwszego dnia aż czterodniowej wizyty izraelskiego polityka. Szef węgierskiego rządu zaprosił premiera Izraela do złożenia wizyty w jego kraju, gdy tylko w listopadzie Międzynarodowy Trybunał Karny wydał nakaz aresztowania Beniamina Netanjahu. Sędziowie MTK uznali wówczas, że istnieją „uzasadnione podstawy”, aby uznać, iż premier Izraela ponosi „odpowiedzialność karną” za domniemane zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości popełnione w Strefie Gazy podczas wojny między Izraelem a Hamasem.

Węgry odmówili wykonania nakazu aresztowania premiera Izraela, choć formalnie byli i są nadal zobowiązani do współpracy z Międzynarodowym Trybunałem Karnym. Jednocześnie władze w Budapeszcie poinformowały o wycofaniu się Węgier z członkostwa w Międzynarodowym Trybunale Karnym. Podczas konferencji prasowej Viktor Orbán przekonywał, że MTK stał się „sądem politycznym”. Verdykt nakazujący aresztowanie premiera Izraela określił zaś mianem „bezczelnego”, „cynicznego” i „całkowicie nieakceptowalnego”. Uznanie dla decyzji węgierskich władz wyraził publicznie Benjamin Netanjahu, który wcześniej sam potępił werdykt MTK, określając go mianem „antysemickiego”. Nakaz wydany przez trybunał ostro skrytykował również wówczas prezydent USA Donald Trump.

Węgry należały do liczącej 125 państw grupy członków założycieli Międzynarodowego Trybunału Karnego. To również pierwszy kraj Unii Europejskiej, który wycofa się z członkostwa w MTK. Członkami Międzynarodowego Trybunału Karnego nie są również m.in. takie kraje jak Stany Zjednoczone, Rosja, Chiny i Korea Północna. Tym samym nie uznają one jurysdykcji MTK.

(jap) ©

FOT. BERNADET SZABO/REUTERS/PHOTUM

Zatem wojna! Wojna handlowa USA z całym światem, ze szczególnym uwzględnieniem Unii Europejskiej. W tym kontekście martwi nas tylko jedna rzecz: Czy wzrosną ceny bourbona? Tak się bowiem składa, że w naszej redakcji oryginalna amerykańska whiskey ma całkiem spore grono admiratorów. Od razu jednak chcieliśmy błysnąć obywatelską postawą: jeśli dzięki temu uda się odsunąć od władzy Złego Donalda z Sopotu, to jesteśmy nawet gotowi przerzucić się z bourbona na Cisowiankę.

Zkampanii. W zaprzęszłą sobotę odbył się kryzysowy sztab wyborczy kandydata Karola Tadeusza Nawrockiego. Dumano, „co robić”, w sytuacji gdy Karolowi Tadeuszowi nie przybywa, natomiast Sławomirowi Jerzemu – owszem. W posiedzeniu sztabu brał udział osobiście szeregowy poseł Jarosław Kaczyński. Ostatecznie zdecydowano, żeby jeszcze poczekać i zobaczyć. Była to decyzja słuszna, gdyż kilka dni później okazało się, że Sławomirowi Jerzemu się zatrzymało. Jedna z wieści oświadczyła nawet, że „za Chiny ludowe” Mentzen nie będzie miał więcej niż 20 proc. Czekamy więc na nowy rozdział współpracy polsko-chińskiej.

Wten sam zaprzęszły weekend odbyła się konferencja w tysiąclecie powstania Królestwa Polskiego zorganizowana przez europośła Patryka Jakiego. Było merytorycznie, choć radykalnie. Ale nie tak radykalnie, jak w kulisach, gdzie krążył jakiś osobnik, który proponował, aby wprowadzić po prawej stronie prostą zasadę wobec potomstwa: „Głosujesz na PO lub Trzecią Drogę? Wydziedziczam cię!”. My tam nie wiemy. Wszystko, co mieliśmy, już oddaliśmy.

W tym samym czasie w Przemysłu odbywała się konferencja „Europa Karpat”. Konferencja była międzynarodowa, więc oprócz Polaków przybyli goście z różnych krajów regionu, łącznie ze znanym dysydentem rosyjskim. Ilja Ponomariow, na co dzień mieszkający na Ukrainie, jako jedyny pojawił się z obstawą: strzeżony był przez sześciu krępkich ochroniarzy. Biorąc pod uwagę wzmoczenie silnych razem oraz wypuszczenie z pudła niejakiego Cyby, w sumie radzimy politykom polskiej opozycji, aby rozważyli podobne środki ostrożności.

Ápropos Cyby. „Swoje rozumowanie opierał na przekonaniach własnych oraz analizie artykułów określonych tytułów prasowych i informacji uzyskiwanych za pośrednictwem Internetu”. To jeden z naszych ulubionych cytatów z wyroku uzasadniającego w 2012 r. skazanie Ryszarda Cyby na dożywocie. Nie minęło tymczasem nawet ćwierć dożywocia, a już Cyba został wypuszczony. Wiele w ostatnich dniach napisano o mordercy działacza PiS Marka Rosiaka, ale „określone tytuły” pomijają dwa kluczowe sformułowania: Cyba to także niedoszły zabójca Jarosława Kaczyńskiego oraz były działacz PO. Więc oba, ku nauce, przypominamy.

Tymczasem w Niemczech. Władze Karlsruhe doszły do wniosku, że bardzo potrzebny jest im kawałek

dwaj
panowie **g**



FOT. ROBERT CICHONSKI

cmentarza, bo coś tam trzeba zbudować. Niestety, jest to akurat ten kawałek cmentarza, na którym pochowano legendarnego napastnika reprezentacji Polski (a potem też III Rzeszy), Ernesta Wilimowskiego. Do dręczenia Polaków przez Niemców jesteśmy przyzwyczajeni. Ale żeby też po śmierci?

Bardzo zaniepokoił nas apel Konfederacji Lewiatan do premiera Tuska, żeby ratować polski przemysł stoczniowy. Po pierwsze, nie mieliśmy pojęcia, że po poprzednich dwóch kadencjach PO jeszcze istnieje jakiś polski przemysł stoczniowy. Drugi powód do niepokoju jest oczywisty: przecież jak się Tusk dowie, że jednak istnieje, no to już na pewno do reszty zlikwiduje.

Wariant rumuński, wariant francuski, a może jakieś inne warianty – na prawicy powszechne jest przeświadczenie, że fajnopolacy Złego Donalda z Sopotu szykują skrócenie wyborów prezydenckich. Od jednej wiewiórki z PiS słyszeliśmy nawet o bardziej kasandrycznych wizjach. Na przykład według Antoniego Macierewicza wyborów nie będzie. To znaczy będą, ale później. Znaczą, przesunięte. O ile? To się zobaczy. Pod jakim pretekstem? To też się zobaczy. Jesteśmy zaniepokojeni, gdyż zwykliśmy ufać panu Antoniemu.

Wiele się w ostatnich tygodniach mówi o nieuniknionej koalicji PiS-Konfederacja po przedterminowych wyborach parlamentarnych. I o tym, kim chciałby w takiej koalicji być kandydat Sławomir Mentzen, gdyby wcześniej nie został prezydentem. Otóż jak ćwierkają wiewiórki, lider Konfederacji wcale nie jest zainteresowany stanowiskiem premiera, a już nie daj Boże – wicepremiera. Najbardziej chciałby zostać marszałkiem Sejmu. I my to rozumiemy. Bo rządy rządami, ale niezależny marszałek Sejmu trzyma w garści i rządzących, i opozycję.

Tymczasem w prawicowych telewizjach. Stacja braci mniejszych o nazwie najbardziej polskiej ze wszystkich uruchamia nowy program: „Naga prawda”. Reklamuje go osobą prowadzącej, czyli Marianną Schreiber,

a konkretnie to klipem składającym się z lubieżnego przejazdu kamery po jej nagich nogach i niezbyt nagim biuście. Czekamy na odpowiedź Republiki. Przejazd kamery po nogach Rachonia?

Wiosna. Ludzie się bawią. Nasze wiewiórki w pewnym pubie przy ulicy Wilczej spotkały narąbanego jak szpadel mężczyznę, który zapewniał, ku uciesze przypadkowej gawiedzi, że jest senatorem. RP. Jak wiadomo, ludzie w stanie szpadla opowiadają różne rzeczy. Naszą wiewiórkę jednak coś tknęło i szybko zaczęła przeglądać konterfekty wszystkich 100 senatorów. Jakież było jej zdziwienie, kiedy okazało się, że ów dziabnięty mężczyzna nie kłamie. No i rzeczywiście wszedł do izby hejtu i glejtu, zwanej też izbą refleksji, z list tzw. paktu senackiego.

In vino veritas. Wspomniany wyżej wybraniec ludu wcale nie jest wyznawcą Tuska, Hołowni czy Czarzastego. Pod ich adresem powtarzał publicznie najgorsze wyrazy – i to po kilka razy. Ale jako symetrysta. To znaczy podobnymi wyrazami określał też obecną opozycję. Nie zdradzimy nazwiska, bo ma zadatki na nową wiewiórkę, tym razem w kręgach lewicy. Nasze stare wiewiórki postanowiły bowiem kontynuować tę znajomość i umówiły się na kolejne spotkanie. Martwią się jednak, czy senator będzie o tym terminie pamiętał. Jego stan nie wskazywał, by następnego dnia mógł cokolwiek pamiętać.

zwany przez niektórych Breivikiem. Szef gabinetu osoby głowy państwa doznał szoku, kiedy okazało się, że zamiast jechać osobną limuzyną, musi popyłać po Rzymie busikiem z całą resztą kancelaryjnego pospólstwa. Podjął nawet próbę wypózyczenia samochodu, w którym mógłby zadawać szyku. Niestety, gospodarze uświadomili mu, że nie mogą do kolumny prezydenckiej włączyć niezgłoszonego wcześniej pojazdu.

Zżycia służb. Otóż szefem inspektoratu WSI, tfu, wróć... szefem lokalnej SKW na Pomorzu został pewien oficer. To się oczywiście zdarza w służbach. Jednak ciekawostką jest to, że ów oficer to jeden z bohaterów słynnej popijawy z ruskimi w Kadynach. Dla tych, którzy nie pamiętają: była to pięciogodzinna biesiada Pytlów, Duszów i innych osobników z partnerami z FSB, w roku 2012. Ta z szablą. Osobiście do Kadyn mamy pewien sentyment, bo bywał tam regularnie Wiluś, cesarz Niemiec. A do niego mamy szczególnie sentyment, bo abdykował i to było najlepsze, co mu się zdarzyło w karierze. Niestety ruscy, z którymi pił nowy szef inspektoratu, nie abdykowali.

Skoro o tych, którzy chcą „dialogu z Rosją taką, jaka ona jest” i ich kolegach. Aby nie zarzucano nam, że nic nie było w tym tygodniu o kandydacie Rafale Kazimierzu, chcielibyśmy dokonać egzegezy słynnego zdjęcia pt. „Tęczowy Rafał”, którego rozpowszechnianie chce powstrzymać „GazWyb”. Otóż tak, to prawda, Rafał jest na

Wariant rumuński, wariant francuski, a może jakieś inne warianty – na prawicy powszechne jest przeświadczenie, że fajnopolacy Złego Donalda z Sopotu szykują skrócenie wyborów prezydenckich

Zżycia Dużego Pałacu. Otóż podczas wizyty Andrzeja Sebastiana w Rzymie zdarzyła się zabawna historia. I nie chodzi nam o to, że wbrew enuncjacji Bartosza Wielińskiego z „GazWybu” osoba głowy państwa nie jadła w restauracji Vladimir. Otóż w wizycie brał udział również nasz ulubieniec, czyli Masta,

nim w otoczeniu pięknych drag queen, ale źle to interpretujecie. Proszę zauważyć, że Rafał kieruje wzrok w stronę nieba i cały jest taki jakiś uduchowiony. On na pewno nie wspiera tej całej parady dziwności, on się po prostu w duchu za nich wszystkich modli. Jak przystało na kandydata najbardziej patriotycznego i katolickiego, nie mówiąc o narodowym. ©©

Sławomir Mentzen i jego żona Agnieszka podczas konwencji w Bełchatowie, 22 lutego 2025 r.

FOT. ALEKSANDRA KULĄ/OD BEŁCHATÓW / FORUM

Kim Pan jest, Panie Mentzen?



Paweł Zdziarski

Sławomir Mentzen jest obiektem ciągłych ataków, a mimo tego wciąż zyskuje poparcie. Gdyby kilka miesięcy temu ktoś pokazał mu obecne prezydenckie sondaże, to pewnie sam by nie uwierzył, że w kwietniu może mieć takie notowania. Czy kandydat Konfederacji jest aż tak dobry? Czy stoi za nim genialny sztab? A może cała siła Mentzena wyrasta ze słabości jego kontrkandydatów i zmęczenia Polaków telenowelą, w której główne role grają Kaczyński i Tusk?

Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu okazał się być mięczakiem i zdrajcą – te słowa o Sławomirze Mentzenie wypowiedział nie Rafał Trzaskowski, nie Donald Tusk, nie Włodzimierz Czarzasty ani żaden polityk z PiS. Tak mówił w 2023 r. jeden z ówczesnych liderów Konfederacji – Janusz Korwin-Mikke – w rozmowie z portalem Goniec.pl. Była to reakcja na debatę prezesa Nowej Nadziei z Ryszardem Petru. Przemysław Wipler, partyjny kolega i wieloletni współpracownik Mentzena, ma o nim zgoła odmienne zdanie. Uważa, że polityk ten potrafi łączyć wodę z ogniem – jest skutecznym politykiem, a jednocześnie pozostaje wierny swoim wartościom. – W tej kampanii Mentzen wyróżnia się tym, że nie boi się poruszać tematów. Bez kalkulacji, czy mu to szkodzi czy nie. Po prostu jest gościem, który ma własne poglądy i głosi je od lat, nie oglądając się na koniunkturę polityczną – mówił niedawno Wipler w wywiadzie dla Interii.

A zatem: zdrajca i koniunkturalista czy skuteczny polityk trzymający się twardo swoich przekonań? Kim jest Sławomir Mentzen? Czy za jego sukcesem – którymi bez wątpienia są obecne poparcie dla kandydata Konfederacji i frekwencja na

jego spotkaniach – stoi on sam? A może ojców sukcesu jest więcej i nazywają się: Trzaskowski, Nawrocki, Tusk i Kaczyński?

EKONOMISTA I FIZYK

Sławomir Mentzen urodził się 20 listopada 1986 r. w Toruniu. Jest absolwentem Gimnazjum i Liceum Akademickiego oraz Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, gdzie skończył ekonomię i obronił licencjat z fizyki teoretycznej. Polityk dość rzadko dzieli się szczegółami ze swojego życia prywatnego, choć w mediach społecznościowych pojawiają się jego zdjęcia z żoną Agnieszką i trojgiem dzieci: Frankiem, Helenką i Alą. Lider Konfederacji podkreśla, że mimo natłoku zawodowych i politycznych zobowiązań rodzina jest dla niego priorytetem. „Rodzina daje mi siłę. Bez niej nie miałbym motywacji do tego, co robię” – mówił w jednym z wywiadów.

„Kolegom z partii mówię, że nie ma czasu na politykę, bo prowadzi firmę. W kancelarii mówię, że nie ma czasu na firmę, bo zajmuje się polityką. W domu mówię, że nie ma na nic czasu, bo zajmuję się polityką i firmą. Nie wiadomo, co robi z tym całym wolnym czasem” – czytamy w opisie prezesa Zarządu Kancelarii Mentzen. I choć opis ten jest bez wątpienia kolejnym elementem przemyślanej strategii wizerunkowej, to prawda jest taka, że próżno szukać w jego życiu prywatnym jakichkolwiek kontrowersji. Mentzenowie wydają się być po prostu normalnym, szczęśliwym małżeństwem.

Ze względu na charakterystyczne nazwisko Sławomir Mentzen wielokrotnie nawiązywał do swojego pochodzenia. Jego pradziadek był Niemcem walczącym w pierwszej wojnie światowej w armii cesarza Wilhelma II. Po jego śmierci prababcia lidera Konfederacji – Polka – wyszła za mąż. Tym razem za Polaka. Z pierwszym mężem miała dwóch synów. Wychowywali się w odrodzonej Rzeczypospolitej, na terenach dawnego zaboru prusko-niemieckiego. Młodszy z nich, Józef, był dziadkiem Sławomira. Po wybuchu drugiej wojny światowej, widząc bestialstwo Niemców podczas tzw. zbrodni pomorskiej, wybrał tożsamość polską. Józef został przesiedlony w okolice Lublina, gdzie jako żołnierz AK walczył przeciwko okupantom, a następnie spotkały go represje i więzienie w okresie stalinowskim.

Z historią Józefa kontrastują losy jego starszego brata – Jana. On z kolei czuł się w stu procentach Niemcem i jako żołnierz Wehrmachtu walczył na froncie wschodnim. Po wojnie trafił do niewoli amerykańskiej, następnie do więzienia w PRL, a potem słuch o nim zaginął. Sławomir Mentzen nie ukrywa skomplikowanej historii rodziny. Podkreśla przy tym, że to indywidualne wybory decydują o tym, kim jesteśmy. „Historia nie jest czarno-biała. Każdy z nas sam odpowiada za to, co robi” – podsumowuje.

ŻYŁKA DO INTERESÓW

Sławomir Mentzen od wczesnej młodości przejawiał zainteresowanie ekonomicznymi mechanizmami funkcjonowania państwa. „Już jako student dostrzegałem, jak wiele absurdów kryje się w polskim systemie podatkowym i gospodarczym” – wspominał w jednym z wywiadów. Pewnie dlatego doktoryzował się z nauk ekonomicznych, broniąc pracę pt. „Optymalizacja poziomu długu publicznego w świetle ekonomii matematycznej”, napisaną pod kierunkiem prof. Józefa Stawickiego. W roku 2017, dwa lata po obronie doktoratu, Mentzen został wpisany na listę doradców podatkowych.

Zanim jednak zaczął działać na rynku doradztwa podatkowego, w 2010 r. otworzył kantor wymiany walut. Już trzy lata później założył ze współnikiem, Karolem Kapicą, kancelarię podatkową. Kancelaria Mentzen (bo tak się obecnie nazywa) specjalizuje się w doradztwie prawnym i podatkowym, oferuje kompleksowe usługi dla przedsiębiorców, w tym obsługę księgową i opiekę prawną. Główna siedziba kancelarii mieści się w Toruniu, ale posiada również filie w Warszawie i w Gdańsku.

Kancelaria jest bardzo aktywna w mediach społecznościowych. Oprócz typowej promocji usług znajdziemy tam również ciekawostki na temat samego Mentzena i jego relacji z pracownikami. W udostępnianych filmikach pojawia się też sam polityk, który np. w specyficzny dla siebie sposób posługuje się kultowymi cytatami z polskich filmów. Jednym z głównych motywów są memy z Mentzenem w roli głównej. Prezes kancelarii jest w nich przedstawiony w sposób żartobliwy, co z jednej strony ociepla jego wizerunek i przedstawia jako człowieka mającego

do siebie dystans, ale z drugiej – wystawia na zarzut o brak powagi, co często wykorzystują jego polityczni przeciwnicy. Wydaje się, że to właśnie ten styl pomaga Mentzenowi złapać dobry kontakt z młodymi sympatykami Konfederacji. Sprzyja też popularności kancelarii, co potwierdzają twarde dane. W 2024 r. firma odnotowała rekordowe przychody w wysokości 21,5 mln zł, obsługując ponad 3,3 tys. przedsiębiorców. Zespół tworzący kancelarię liczy blisko 120 specjalistów.

Biznesowa aktywność Mentzena nie kończy się na jego kancelarii. Został on bowiem m.in. prezesem zarządu Biura Rachunkowego Amicus oraz liderem Kongresu Polskiego Biznesu. Jest przewodniczącym Rady Programowej Fundacji Dobry Rząd, na czele której stoi Przemysław Wipler. Organizuje również coroczną konferencję Everest. W 2020 r. obecny kandydat Konfederacji na prezydenta założył Browar Mentzen, specjalizujący się w produkcji piw rzemieślniczych. Polityk aktywnie angażował się również w sponsoring lokalnych drużyn piłkarskich. W marcu 2021 r. został sponsorem tytularnym klubu KP Start Toruń, który w wyniku tej współpracy zmienił nazwę na KP Start Mentzen Toruń.

MIĘDZY LUZEM A POWAGĄ

Do polityki wszedł w 2007 r., dołączając do Unii Polityki Realnej. Przez dwa lata był prezesem toruńskiego oddziału partii. Potem na jakiś czas odsunął się od politycznej aktywności. Po powrocie został prezesem okręgu toruńskiego i przewodniczącym rady naukowej w partii KORWiN. W 2017 r. został wiceprezesem ugrupowania, a w 2018 r. wystartował w wyborach na prezydenta Torunia, w których zajął piąte miejsce. Prawdziwy przełom miał jednak dopiero nadejść. Stało się to możliwe po połączeniu sił partii KORWiN z innymi ugrupowaniami i utworzenie Konfederacji. Odtąd polityczna kariera Mentzena nabrała tempa. Wykazywał ogromną aktywność podczas kampanii przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, a następnie wyborami parlamentarnymi w Polsce w 2019 r. W tych drugich Konfederacja odniosła pierwszy sukces, wprowadzając do Sejmu 11 posłów. Nie było wśród nich Mentzena, co nie przeszkadzało mu stać się jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy ugrupowania.

Mentzen konsekwentnie budował swoją pozycję. 15 października 2022 r. wybrano go na prezesa partii KORWiN. Zastąpił na tym stanowisku Janusza Korwin-Mikkego. W listopadzie 2022 r. partia KORWiN zmieniła nazwę na Nowa Nadzieja. W lutym 2023 r. Mentzen zaczął współprzewodniczyć Konfederacji Wolność i Niepodległość. W 2023 r. dostał się wreszcie do Sejmu. Wkrótce potem z Konfederacji został usunięty Korwin-Mikke, który pociągnął za sobą część dawnych działaczy Nowej Nadziei.

Doświadczenie doradcy podatkowego obecny kandydat na prezydenta szczególnie wykorzystywał w dobie Polskiego Ładu. Mentzen był jednym z czołowych krytyków tego programu rządu Zjednoczonej Prawicy. Jego zdaniem nie stanowił on skutecznego rozwiązania problemów gospodarczych Polski po pandemii COVID-19, a zamiast upraszczać i obniżać podatki, tylko je skomplikował. Mentzen porównał ten program do „potworka Frankenstein”. Jego zdaniem głównym celem tego programu była poprawa notowań Prawa i Sprawiedliwości poprzez tworzenie podziałów społecznych, co miała potwierdzać m.in. wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego, który stwierdził, że na Polskim Ładzie stracą jedynie „cwaniacy”.

Mentzen cały czas lawiruje między powagą a luzackim stylem. Robi to i w biznesie, i w polityce. O ile rola partyjnego lidera i prezesa poważnej kancelarii go w tym ogranicza, o tyle w drugiej biznesowej aktywności – produkcji piwa – może już na dobre poluzować krawaty. Widać to nawet na etykietach niektórych piw, np. Piwo Wolnościowe czy Filozofia XD (pod tym tytułem napisał również książkę). Pub Mentzen, który otworzył wiosną 2022 r. przy Rynku Staromiejskim w Toruniu, także wyróżnia się nietypowym wystrojem, nawiązującym do tematów politycznych i ekonomicznych. Na jednej ze ścian można znaleźć np. grafikę przedstawiającą banknot z wizerunkiem Mateusza Morawieckiego o nominale „pierdyliarda złotych”. Jednym słowem: piwo stało się jednym ze znaków rozpoznawczych Mentzena, który organizował także cieszące się sporym powodzeniem spotkania pod nazwą „Piwo z Mentzenem”. Za co zresztą ostro go krytykowano, oskarżając o promocję używania alkoholu.

Sławomir Mentzen na spotkaniu z mieszkańcami Gliwic, 29 marca 2025 r.

FOT. ROBERT NEUMANN/FORUM



W sprawach światopoglądowych nie ma miejsca na żarty – Mentzen zdecydowanie staje po stronie konserwatywnej. Nigdy nie ukrywał swojego stanowiska w kwestii aborcji. Dał się poznać jako przeciwnik zabijania nienarodzonych dzieci szczególnie w 2020 r., kiedy na fali tzw. strajku kobiet ówczesne kierownictwo partii KORWiN opowiedziało się za dopuszczeniem aborcji w przypadku stwierdzenia wady letalnej u dziecka. Mentzen zgłosił wówczas votum separatum i zaznaczył, że nie zamierza podporządkować się politycznej poprawności. Dlatego nie powinna nikogo dziwić jego obecna postawa w dyskusji na temat aborcji. „Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której aborcja miałaby być traktowana jako środek antykoncepcyjny. Życie jest wartością nadrzędną” – podkreślił w jednym z wywiadów.

Mentzen wyraźnie sprzeciwia się także ustawie o związkach partnerskich – zarówno dla par heteroseksualnych, jak i homoseksualnych. Jego stanowisko w tej sprawie wynika z dwóch powodów: konserwatywnego spojrzenia na tradycyjny model rodziny oraz przekonania o tym, że państwo powinno mieć ograniczoną rolę w regulowaniu życia obywateli. Polityk Konfederacji wielokrotnie podkreślał, że nie widzi potrzeby wprowadzania dodatkowych regulacji dotyczących związków partnerskich, ponieważ – jego zdaniem – istniejące prawo umożliwia osobom żyjącym razem zawieranie umów cywilnoprawnych, które mogą regulować kwestie majątkowe czy dziedziczenia. W jego opinii prawo nie powinno promo-



wać innych form relacji niż małżeństwo, które w polskiej konstytucji definiowane jest jako związek kobiety i mężczyzny. Mentzen jest również zdecydowanym przeciwnikiem adopcji dzieci przez pary homoseksualne.

GRILLOWANIE MENTZENA

Kampania prezydencka z każdym tygodniem staje się coraz ostrzejsza. Zanim w mediach zaczęto „grillować” wypowiedzi Mentzena na temat aborcji i płatnych studiów, przy różnych okazjach przypomniano ogłoszoną przez niego tzw. Piątkę Konfederacji. W 2019 r. polityk posłużył się hasłem „Nie chcemy: Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej”. Mentzen tłumaczył, że jego słowa zostały wyrwane z kontekstu.

Nie mniej kontrowersji wzbudziła zapowiadana wówczas inicjatywa „100 ustaw Mentzena”. Została zaprezentowana jako kompleksowy plan reform mających na celu naprawę sytuacji ekonomiczno-gospodarczej i społecznej w Polsce. W ramach tego projektu polityk Konfederacji zapowiedział przygotowanie 100 projektów ustaw, które miały być gotowe do złożenia w Sejmie. Choć miał być to przełomowy program Konfederacji, to wzbudził więcej pytań niż odpowiedzi. Zarówno wśród zwolenników, jak i przeciwników ugrupowania pojawiły się zarzuty o niejasność, niespójność oraz zbyt dużą radykalność niektórych postulatów. W dodatku strona internetowa poświęcona tej inicjatywie przestała działać, bo – jak tłumaczył Mentzen – wygaś hosting.

Kontrowersje wzbudziła ostatnio również wypowiedź Mentzena na temat medycyny ludowej. Podczas jednego z wystąpień przytoczył historię z dzieciństwa swojego brata, który podczas wakacji na wsi doznał urazu ręki. Zamiast do lekarza babcia zabrała go do lokalnej uzdrowicielki, określanej jako „wiejska baba”, która poprzez naciskanie na rękę miała przywrócić jej sprawność. Mentzen sugerował, że tradycyjne metody mogą być równie efektywne co współczesna medycyna. Wbrew temu, co często mu się przypisuje, nigdy nie postulował jednak rezygnacji z wizyt u specjalistów na rzecz niekonwencjonalnych metod.

RADYKAŁ CZY UMIARKOWANY?

W środowiskach lewicowo-liberalnych Sławomir Mentzen jest postrzegany jako polityk radykalny pravicowy, wręcz skrajny. Jednakże zwolennicy Grzegorza Brauna – jego konkurenta w wyborach prezydenckich, który też współtworzył Konfederację – zarzucają prezesowi Nowej Nadziei uleganie głównemu nurtowi politycznemu. Zwłaszcza w kilku dziedzinach. Mentzen wielokrotnie podkreślał swoje eurosceptyczne stanowisko, ale z drugiej strony twierdzi, że nie planuje polexitu, co kontrastuje ze stanowiskiem Brauna. Mentzen skrytykował Brauna po incydencie ze zgaszeniem chanukowych świec w Sejmie i miał swój wkład w decyzję o zawieszeniu Brauna w prawach członka klubu Konfederacji. Zupełnie inną retorykę obu polityków widać również w kwestii wojny na Ukrainie. Choć obaj krytykują bezwarunkowe

oddanie na rzecz Kijowa polskiego sprzętu wojskowego i nie zgadzają się na wysłanie naszych żołnierzy na Ukrainę oraz potępią kult zbrodniarzy takich jak Bandera czy Szuchewycz, to jednak retoryka Brauna jest znacznie bardziej dosadna. Środowiska związane z prezesem Konfederacji Korony Polskiej wypominają Mentzenowi m.in. to, że podczas jednego z wywiadów stwierdził, iż nie dostrzega problemu ukrainizacji Polski. Ostatnimi aktami tego podziału były odejścia Brauna z Konfederacji i samodzielnego startu w wyborach prezydenckich.

Warto też wspomnieć o jeszcze jednym wątku. Sławomir Mentzen w rozmowie z Krzysztofem Stanowskim na Kanale Zero przyznał, że ma zdiagnozowany zespół Aspergera. W tym kontekście musiał się zmierzyć z pytaniami dotyczącymi ewentualnych problemów związanych z pełnieniem funkcji zwierzchnika Sił Zbrojnych. Wyjaśnił, że ma kategorię A (pełna zdolność do służby wojskowej). Kandydat na prezydenta zaznaczył, że choć nie jest pewny, czy klasyfikacja wojskowa jest w stanie wykryć wszelkie problemy zdrowotne, to sam czuje się fizycznie i psychicznie gotowy do służby wojskowej. Podkreślił również, że w przypadku wojny różni ludzie mają różne obowiązki i nie wszyscy muszą odgrywać rolę frontową – inne zadania mogą wymagać innych umiejętności i kompetencji.

Czy Mentzenowi uda się wejść do finału walki o prezydenturę – nie wiadomo; wiadomo za to, że na razie przykuwa on uwagę zarówno swych konkurentów, jak i mediów. Tygodnik „Polityka” – na jednej z niedawnych okładek, z której spoglądają Sławomir Mentzen, Krzysztof Bosak i Grzegorz Braun – wróży w tytule: „Alternatywa dla Polski?”, z podtytułem: „Mentzen goni Nawrockiego, Konfederacja straszy PiS”. Zaledwie miesiąc później ta sama „Polityka” znowu wabi okładką z Mentzenem – tym razem na hulajnodze, z tytułem: „Z Mentzenem po kraju”. A tygodnik „Newsweek”, też na okładce, ale tym razem ze Sławomirem Mentzenem i Andrzejem Dudą, zaprezentowanymi (jakżeby inaczej, czyli w stylu „Newsweeka”) w strojach „pary”, biorącej ślub, spekuluje: „Tajny plan prawicy”, z podtytułem: „Jak PiS, Konfederacja i Pałac Prezydencki chcą przejąć władzę w Polsce”. Wartość tych przepowiedni już wkrótce zweryfikują wyborcy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Marcinem Palade, socjologiem polityki
rozmawia Ryszard Gromadzki

Miedzy Mentzenem a Braunem



FOT. YOUTUBE/FUNKCJA POLSKIEGO INSTYTUTU LIBERÓW

RYSZARD GROMADZKI: Kiedy na początku roku rozmawialiśmy o kampanii prezydenckiej, mówił pan, że pierwsze miarodajne sondaże, które będą odbiciem rzeczywistych preferencji wyborczych Polaków, pojawią się na przełomie marca i kwietnia. Mamy początek kwietnia. Jaki obraz wyłania się z sondażowej mgły?

MARCIN PALADE: Sondaże od połowy kwietnia powinny już obejmować wszystkich zarejestrowanych kandydatów. Mówię: powinny, bo w Polsce sondażownie to państwo w państwie. Te dostępne z marca pokazują stabilizację lidera pomiarów Rafała Trzaskowskiego, kontynuację spadków Karola Nawrockiego i ciąg dalszy silnego wzrostu Sławomira Mentzena. Poza wymienionymi trzema w grupie pościgowej wciąż słabną Szymon Hołownia i Magdalena Biejat. Rosną zaś Adrian Zandberg i Grzegorz Braun. Przepływy odbywają się u najsilniejszych między Nawrockim i Mentzenem, a także między Mentzenem i Hołownią, Trzaskowskim a Hołownią oraz Trzaskowskim a Biejat. Największym wygranym sondaży marcowych jest Mentzen, przegranym zaś – a niemogącym pogodzić się ze swoją słabą pozycją – Hołownią. Do tego dochodzi jeszcze niemogący złapać wiatru w żagle Nawrocki, co powoduje, że na mniej niż 50 dni przed pierwszą turą nie wiemy, czy obok Trzaskowskiego znajdzie się w niej Nawrocki czy Mentzen. Takiej niewiadomej, czyli wariantu innego kandydata

w dogrywce niż reprezentant partii Tuska i Kaczyńskiego, nie było w poprzednich elekcjach prezydenckich, co świadczy o tym, że trwający od 20 lat duopol PO-PiS najlepsze ma już za sobą.

Śledząc kampanię w mediach społecznościowych, mam wrażenie, że duża frekwencja ma miejsce przede wszystkim na spotkaniach wyborczych Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna. Nie sądzi pan, że wyniki sondażowe tego drugiego są wyraźnie zaniżone?

Grzegorz Braun jest kandydatem twardej prawicy, antysystemu. Mając sympatyków mocno sceptycznych wobec branży badawczej i samych pomiarów, jako części tego systemu, może mieć w rzeczywistym głosowaniu lepszy wynik niż ten wynikający z sondaży na ostatniej prostej. Proszę popatrzeć na niedawne głosowanie, anulowane przy użyciu tzw. europejskiej tarczy demokracji, w Rumunii, gdzie zaszeregowany mniej więcej w tym samym miejscu, co u nas Braun, na tamtejszej scenie politycznej Călin Georgescu w sondażach tuż przed głosowaniem miał 6–9 proc., a w wyborach 23 proc. Oczywiście, że taki scenariusz, w sensie poziomu poparcia dla Brauna, jest u nas nie do powtórzenia. Ale sytuacja, w której Braun w wyborach będzie miał lepszy wynik niż Biejat, Zandberg czy niewiele gorszy niż Hołownia, a może zbliżony – dla w ten sposób upokorzonego Hołowni – nie będzie dla mnie zaskoczeniem.

Co do spotkań z wyborcami: no cóż, te Trzaskowskiego i Nawrockiego są organizowane głównie przez aparaty partyjne, z udziałem aparatów partyjnych i ich rodzin. Często zamknięte albo ograniczone dla innych niż najwierniejsi z wiernych. Zresztą, patrząc po frekwencji u Trzaskowskiego i Nawrockiego, to zgromadzenie na sali kilkudziesięciu czy kilkuset osób w mieście powiatowym, w tym byłym wojewódzkim, to nie jest jakieś wybitne osiągnięcie. Tym gorzej świadczące o wspomnianych już aparatach. Robią, bo muszą. A obrazkowo? Generacja w nieodległej perspektywie emerytów u Trzaskowskiego i emerytów u Nawrockiego. Inaczej ma się to choćby w przypadku Brauna czy Mentzena, gdzie ludzie przychodzą nie dlatego, że są funkcyjni, zależni od partii, ale dlatego, że taką odczuwają potrzebę. Ta konwencja spotkań w plenerze sprzedaje się dobrze obrazkowo, co pewnie jest jednym z elementów widocznego w ostatnim czasie wzrostu w sondażach Mentzena. Są też spotkania organizowane przez aktyw, jak ostatnio Magdalena Biejat w Krakowie, gdzie zagonienie najwierniejszych z wiernych jest nawet problemem. Wrzucanie do mediów obrazka, gdzie w 800-tysięcznym mieście wszyscy uczestnicy spotkania zmieściliby się w dwóch windach towarowych, to przyznanie się do wyjątkowej słabości.

Co może zadziałać w przypadku kandydatki Lewicy na jej niekorzyść.

Media obieły niedawno zdjęcia muzułmańskich migrantów, którzy tłumnie świętowali zakończenie ramadanu w największych polskich miastach. Czy sprawa napływu migrantów z Afryki i Azji do Polski może zdominować ostatnie tygodnie kampanii, a nawet przesądzić o wyniku wyborów?

To było do przewidzenia, że Trzaskowski i jego sztab, szerzej – Koalicja Obywatelska – będą grali nutą bezpieczeństwa. Z wykorzystaniem prezydencji Polski, inicjatyw unijnych i w ramach NATO, z racji naszej istotnej pozycji na jej wschodniej flance. Do tego zwrot Donalda Tuska i linii KO w kierunku „murem za murem” na granicy z Białorusią. To miało dać Trzaskowskiemu poduszkę bezpieczeństwa w niespokojnych czasach, w których szczególnie po zmianie władzy w Waszyngtonie przyszło nam żyć. Tyle tylko, że polska prezydencja pozostaje wyłącznie z nazwy. To fikcja. Centrum dowodzenia UE, to rzeczywiste, jest w Paryżu czy Berlinie. A szerzej – jest związane z europejską odnogą NATO w Londynie. Nas, w rozumieniu Polski, mimo pokazywanego w mediach sprzyjających rządzącym rzekomego sprawstwa czy pozycji, nie ma. Do tego do obrazków z forsowania granicy z Białorusią przez migrantów zdążyliśmy się przyzwyczaić. To jest jak chleb powszedni. Inaczej za to jest z tym, co dzieje się na granicy zachodniej, czyli z Niemcami. To jest i będzie problem dla Trzaskowskiego i rządzącej centrolewicy. Niemiecki „poczęstunek” migrantami, który ma miejsce, jest bardzo mało widoczny w mediach głównego nurtu. A dzięki mediom społecznościowym może stać się w końcu kampanii przed pierwszą turą, a z pewnością między pierwszą a drugą turą, kluczowym tematem z wpływem na ostateczny wynik głosowania. Centrolewica, w tym sam premier Tusk, wiedzą, jakie są w tej materii nastroje społeczne. Wiedzą, że nie mogą iść zbyt daleko w kontrolę do większości Polaków, a równocześnie nie podważać polityki migracyjnej przyjaciół z Brukseli. Wykorzystują to już politycy opozycji, których coraz częściej możemy spotkać w Gubinie czy Zgorzelcu na przejściach granicznych. Z ich ust wypływa postulat wprowadzenia kontroli na granicy

z Niemcami. Będzie on tym bardziej nośny, jeśli „dostawa” inżynierów zza Odry do nas będzie powodować wzrost obaw o bezpieczeństwo mieszkańców wielu polskich miast. Z jednego czy kilku zdarzeń, z poszkodowanymi Polakami w wyniku napadu czy gwałtu agresywnych przybyszów może nagle zrobić się duży problem i wpłynąć na wysokość słupeków sondażowych. Do tego dodajmy jeszcze ewentualne konsekwencje końca wojny na Ukrainie, ze zniszczonymi psychicznie dziesiątkami tysięcy walczących, pod bronią. Przechodzącymi przez Polskę do swoich żon i dzieci. U nas i na zachodzie Europy. Raczej mało prawdopodobne przed 1 czerwca, ale w czasach, w których przyszło nam żyć, niewykluczone.

Czy wybory prezydenckie w Polsce będą wolne? Obserwując wydarzenia w Rumunii, a ostatnio we Francji, gdzie z kolejnych wyborów prezydenckich decyzją sądu została wyeliminowana liderka Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen, można mieć poważne obawy, czy Bruksela nie będzie próbowała podważyć także wyników wyborów w Polsce, jeśli pójdą one nie po jej myśli.

No cóż. Demokracja walcząca dała już o sobie znać w niedawnych, anulowanych wyborach w Rumunii. W ostatnich dniach zawitała z porządkami, dzierżąc w dłoni europejską tarczę demokracji, do Paryża. To znaczy, że brukselska elita rozpędza się w układaniu rządzących zgodnie z ich wolą, a niekoniecznie wolą narodów do tego – formalnie – uprawnionych. W Rumunii mieliśmy brutalną ingerencję, z wykorzystaniem stosowanej już wcześniej, acz nie tak ostro jak w tym kraju, metody „na Ruska” czy „na Chińczyka”. Przy wykorzystaniu rumuńskiego Trybunału Konstytucyjnego, gdzie zasiadają wychowankowie lub – jak kto woli – pacynki George’a Sorosa. Tymczasem dziennikarstwo śledcze w Rumunii wykazało, że za pompowaniem Georgescu nie stały Kreml czy Pekin, ale – jak się okazało po czasie – nieudacznicy z tej samej frakcji, co miłośnicy nam panująca Urszula von der Leyen. Partia narodowo-liberalna, która pompowała Georgescu w social mediach. Mając nadzieję, że rozmyją się głosy twardej prawicy, na czym skorzysta rządzący w Rumunii duopol socjaldemokratów i chadeków, czyli eurosocjalistów i eurochadeków. Czyli takich, którzy wszystko mogą, bo mają pełne krycie w Brukseli.

A skoro przedstawiciel ani jednego, ani drugiego nie wszedł do drugiej tury, to Rumunom pokazano, co mogą w ramach brukselskiej demokracji. Po wygumkowaniu z wyborów Le Pen teraz czekamy na ruch euroelity w Polsce. Jej faworytem nie jest ani Nawrocki, ani Mentzen. Jeśli więc któryś z nich, wchodząc do drugiej tury, miałby ją wygrać, to możemy być świadkami wyjątkowo gorącego lata w polskiej polityce. Zwłaszcza wtedy, kiedy uchodzący za faworyta wyborów, w świetle dostępnych sondaży, George Simion, reprezentujący całą prawicę rumuńską, z poparciem Georgescu wygrałby wybory w dniu, kiedy my będziemy głosować w pierwszej turze. Jeśli Bruksela znowu nie uzna głosu rumuńskiego suwerena, to siłą rzeczy to dotrze także do Polski. Może to nie być najistotniejszym, elementem mającym wpływ na preferencje w drugiej turze głosowania, ale na pewno będzie ważnym. Na przykład mobilizującym polskich wyborców antysystemowych.

Co na to USA? Administracja Trumpa raczej nie będzie biernie się przyglądała rozwojowi sytuacji zarówno w Rumunii, jak i w Polsce.

Zwracam uwagę, że na niedawnej konferencji w Monachium wiceprezydent USA J.D. Vance wspominał o odebraniu Rumunom ich woli wyrażonej w wyborach poprzez anulowanie ich pierwszej tury. To oznacza, że w odróżnieniu od poprzedniej ekipy Bidena, która wspierała „demokratyczne porządki” Brukseli, ta z Trumpem na czele ma zupełnie inne podejście.

Rumuńskie wygibasy w obronie demokracji odbywały się jeszcze przed zaprzysiężeniem Trumpa. Ich ewentualna kontynuacja, w tym w Polsce, z pewnością spotka się z brakiem akceptacji przez Waszyngton. Jak zdecydowanie? Na dziś trudno to wyrokować. To obserwowane w ostatnim czasie przyspieszenie eurokratów w domykaniu projektu federalizacji UE wynika m.in. z tego, że ekipa Trumpa jest i będzie na kursie kolizyjnym z Brukselą, w jej obecnej postaci, zarządzanej przez miłośników totalitarnej demokracji. Są Orbán, Fico, Meloni. Gdyby mieli dojść Simion w Rumunii i prezydent Polski z PiS czy Konfederacji, toby się układ sił z całą pewnością zachwiał na niekorzyść ekipy von der Leyen i sił systemowych w Brukseli.



Rafał A. Ziemkiewicz

Co może zrobić władza, jeśli nie uda się jej w żaden sposób „zorganizować” odpowiedniego wyniku wyborów prezydenckich? Najbardziej prawdopodobne wydaje się ogłoszenie stanu nadzwyczajnego. A Donald Tusk może być jednego pewien: Unia Europejska w obecnym kształcie żadnych jego działań nie zakwestionuje, a wręcz przeciwnie – poprze je

Donald Tusk nagrał i upowszechnił w Internecie filmik, na którym zawiesza banner wyborczy Rafała Trzaskowskiego i gorąco zachęca do tego samego wszystkich swych zwolenników. Z pozoru rutyna kampanii wyborczej, w istocie decyzja przełomowa: do tego momentu premier trzymał się od prezydenckich usiłowań Rafała Trzaskowskiego na dystans. Nawet zapowiadając „marsz patriotów”, akcentował, że ma on być odpowiedzią na „marsz PiS” (w istocie – marsz dla uczczenia 1000-lecia Korony polskiej) i nie wiązał go bezpośrednio z wyborami prezydenckimi. Zrobił to dopiero sam Trzaskowski, tydzień później ogłaszając przesunięcie terminu marszu o dwa tygodnie, by mogli w nim wziąć udział wszyscy koalicjanci.

Fakt, że Tusk postanowił rzucić na wyborczą szalę swą osobistą popularność, musi zaskakiwać. Wszyscy komentatorzy są zgodni, że Rafał Trzaskowski w starciu z Karolem Nawrockim albo ewentualnie Sławomirem Mentzenem ma szansę, jedynie jeśli będzie to starcie wizerunkowe. Wszyscy są też zgodni, że najgorsze, co może się kandydatowi Platformy Obywatelskiej w tych wyborach zdarzyć i do czego, rzecz oczywista, dążą jego rywale, to zamiana głosowania w plebiscyt nad popularnością rządów Tuska. Sondaże nie pozostawiają wątpliwości: jedynie niecałe 10 proc. Polaków



Czy Tusk rozważa wprowadzenie stanu wyjątkowego

FOT. XCOM/OLUDISK

deklaruje, że przez ostatnie półtora roku żyje im się lepiej, i jedynie jedna trzecia wyraża zadowolenie z tego, że premierem jest Donald Tusk, natomiast odpowiedzi przeciwnych udziela ponad połowa respondentów. Analogicznie jest w sondażach partyjnych – gdyby kilka ostatnich potwierdziło się w wyborach, Tusk znalazłby się z tej samej sytuacji jak jego antagonistą w październiku 2023 r.: zbierając jedną trzecią głosów, wygrałby wprawdzie arytmetycznie, ale straciłby władzę, bo ten arytmetyczny sukces zawdzięcza zepchnięciu koalicjantów pod próg wyborczy.

NIEPEWNOŚĆ SYTUACJI

Osobiste zaangażowanie premiera może więc Trzaskowskiemu raczej zaszkodzić, niż pomóc. Chyba że jest ono obliczone na zdecydowany, „żelazny” elektorat, tę jedną trzecią, która – w miarę, jak słabnie popularność rządu – zwiiera szeregi wokół Tuska i partii stanowiącej trzon antypisowskiej koalicji. Tylko po co mobilizować zmobilizowanych? Po co „utwardzać beton” i tak już maksymalnie utwardzony histerią nienawiści, „rozliczeń” i zagrożenia?

Jeśli odrzucić teorie spiskowe, oparte na hipotezie, że Tusk z jakichś względów chce przegranej Trzaskowskiego, to pozostaje tylko jedno wyjaśnienie: dlatego że, wbrew pozorom, już i ten „beton” się kruszy. Platformę, z jej ogromną materialną przewagą nad rywalami, stać na pogłębione badania opinii publicznej i nie jest wykluczone, że wykazały one zniechęcenie jej żelaznego elektoratu. Wydaje się to bardzo prawdopodobne. Żadne z określonych przez badania fokusowe oczekiwań, które wiązali wyborcy „koalicji 13 grudnia” ze zmianą władzy (przedstawione po wyborach np. przez szefa IBRiS Marcina Dumę w rozmowie z Grzegorzem Sroczynskim), nie zostało przez Tuska spełnione ani nawet nie stworzył on temu elektoratowi nadziei, że kiedyś zostanie spełnione. W dodatku ze względów taktycznych Trzaskowski zupełnie ten elektorat porzucił i na każdym kroku stara się dziś być bardziej PiS-owski i bardziej konfederacki niż kandydaci PiS i Konfederacji. W kampanii wyborczej wyborcy PO właściwie nie słyszą swojego głosu, muszą go tylko domniemywać i w prywatnych rozmowach

oraz na forach internetowych przekonywać samych siebie, że „Rafał na razie musi tak mówić”, żeby omamić durne społeczeństwo i wyłudzić od naiwnych te niezbędne głosy, ale jak już wygra, to będzie taki jak dawniej. Możliwe, że z poufnych, pogłębionych badań wyszło Platformie, że pewność co do tego słabnie i że grozi demobilizacja, znacząca wyborcza absencja, wobec której odstraszenie umiarkowanego centrum bezpośrednim włączeniem się Tuska do kampanii będzie mniejszym złem.

Jeśli przyjąć taką interpretację, zgodnie z którą osobiste wieszanie przez Tuska bannerów swojego wiceprzewodniczącego jest przejawem „pływania rozpaczlivcem” – a lepszego nie widzę – to jasny stąd wniosek, że kręgi decyzyjne w PO zaczęły sobie uświadamiać niepewność sytuacji. Gdzieś tam muszą być przecież w partii rządzącej fachowcy, którzy nie wierzą we własną propagandę i w narzucony przez nią optymizm. Sondaże, które wciąż dają Trzaskowskiemu prezydenturę, analogicznie do sondaży partyjnych, wskazują kompletny upadek koalicjantów, który w niewielkim tylko stopniu przekłada się na jego wynik. Dlaczego w drugiej turze – jak na razie wynika z sondaży publikowanych w mediach – większość tych, którzy odwrócili się od Lewicy i Polski 2050 na rzecz Konfederacji, miałaby powrócić do obozu rządzącego, zasilanego dodatkowo także przez 100 proc. wyborców pomniejszych kandydatów, nawet Grzegorza Brauna? Jest to, delikatnie mówiąc, śmiałe założenie.

Należy więc przyjąć, że partia rządząca liczy się z możliwością przegranej. Wobec osobliwości polskiej konstytucji, która nie daje prezydentowi władzy pozytywnej, ale wyposaża go w szerokie kompetencje paraliżowania prac rządu, nawet w normalnej sytuacji byłoby to dla Platformy problemem. Jednak ta władza nie jest władzą normalną. Jak to sama na każdym kroku podkreśla, czuje się władzą „stanu wyższej konieczności”. Owa wyższa konieczność „przywrócenia demokratycznej normalności”, rzekomo naruszanej przez osiem lat rządów PiS, usprawiedliwiająca działania na pograniczu prawa oraz jawnie bezprawne, daje się jako usprawiedliwienie popełnianych przestępstw przeciwko konstytucji i ustawom obronić dopóty, dopóki prezydent reprezentuje

jeszcze stary, „przedrewolucyjny” porządek (pomijając kwestię jego słabości charakteru, czyniącej go dla PO łatwym do ignorowania). Jednak opowiedzenie się przeciwko „stanowi nadzwyczajnemu” większości wyborców i mocny takim poparciem polityk opozycji w Pałacu byłiby dla Tuska i jego kamaryli katastrofą. Nie tylko polityczną, lecz także metapolityczną – wyraźną delegitymizacją wszystkich dotychczasowych działań władzy, siłowego przejmowania mediów i instytucji, „pełniących obowiązki” niekonstytucyjnych prokuratorów, partyjnych „kierowników sądów” i tak dalej.

JAK W RUMUNII I WE FRANCJI

„Jeśli PiS wróci do władzy, to wszyscy na tej sali pójdziecie siedzieć” – mówił Tusk zupełnie otwarcie na nadzwyczajnym partyjnym aktywie już rok temu, co cytował przecież nie kto inny, jak otwarcie protuskiwsky Onet. Od tego czasu skala bezprawia, czynionego w beztroskim przekonaniu, że „za rok prezydentem zostanie Rafał i wszystko zalegalizuje”, narosła niepomniernie, i to nie tylko w wiodących w walce o „przywrócenie demokracji” resortach siłowych. Obsesja rozliczeń, którymi próbowała obecna ekipa uzasadnić swe poczynania w oczach przynajmniej części społeczeństwa, zamiast osiągnąć ten cel, doprowadziła do wielu precedensów, które kolejnej władzy pozwolą bez trudu wsadzać do aresztów tymczasowych i więzień ludzi, których podpisy figurują pod dysponowanymi obecnie funduszami, wnioskami aresztowymi etc. Last but not least należy się spodziewać, że przegrana walka o prezydenturę wywoła w obozie władzy panikę i ci „mniej umoczeni”, żeby się jakoś ratować i pojednać z opozycją, zaczną masowo wynosić „kwity” na swoich obecnych zwierzchników.

To wszystko musi prowadzić w otoczeniu Tuska do wniosku: władzy raz zdobytej oddać nie możemy. Bez oglądania się na prawo czy normy przyzwoitości, które zresztą, po precedensach w Rumunii i we Francji, już w Unii Europejskiej nie obowiązują.

Czas zatem, żeby opozycja zaczęła przygotowywać się do scenariusza „trzeciej tury”? Co może zrobić władza, jeśli nie uda jej się w żaden sposób „zorganizować” odpowiedniego wyniku wyborów?

Może wiele. Najbardziej prawdopodobne – wbrew powszechnie wskazywanemu wariantowi „nieuznania ważności wyboru przez Sąd Najwyższy” i przekazania funkcji prezydenta, mówiąc prawniczym językiem, substytutowi – wydaje mi się ogłoszenie stanu nadzwyczajnego. Jeśli z badań wynikać będzie jasno, że Polacy odwrócili się od PO, to kontrolowany przez Tuska Sejm może wybory zawiesić z uwagi na stan wyjątkowy. Pretekstem do jego ogłoszenia może być jakieś zdarzenie związane z napiętą sytuacją wokół wojny na Ukrainie (np. kolejne podpalenie jakiegoś centrum handlowego, uznanie za atak rosyjskich dywersantów na terytorium RP) albo rozruchy. Eskalowanie przez władzę dzień po dniu napięcia, kolejne prowokacje wobec opozycji, takie jak wypuszczenie z więzienia mordercy śp. Dariusza Rosiaka, spektakularne zنعanie się nad przypadkowymi osobami związanymi z dawną władzą, jak była szefowa gabinetu premiera Mateusza Morawieckiego, Anna W., prowadzą do sytuacji, w której ludziom Tuska łatwo może być sprowokować jakiś wybuch – np. podczas poprzedzającej o tydzień pierwszą turę wyborów kolejnej „miesięcznicy” smoleńskiej. Nic prostszego, niż przypisać taki wybuch Władimirowi Putinowi, w czym rządowa propaganda ćwiczy się dzień po dniu.

Warto tu przypomnieć sobie, co działo się w tygodniach poprzedzających ubiegłoroczny Marsz Niepodległości – przeszukiwanie pod absurdalnymi zarzutami siedziby organizującego go stowarzyszenia, przesłuchania, oficjalne pismo Adama Bodnara do warszawskiego ratusza, przestrzegające przed wykrytymi przez niego „prawdopodobnymi wystąpieniami” o charakterze faszystowskim etc. Wyraźnie szykowała wtedy PO jakąś grubą prowokację, z której w ostatniej chwili zrezygnowano, pozwalając Marszowi przejść w spokoju. Czy było to skutkiem uświadomienia sobie przez władzę swej słabości czy też uznano sprawę za „próbę generalną” i zebranie doświadczeń na wypadek, gdyby przyszedł właściwy moment na „rozwiązanie siłowe”?

Takie rozwiązanie ma oczywiście wady – nawet przy stworzeniu przekonującego pretekstu, według konstytucji stan wyjątkowy wprowadza na wniosek rządu prezydent. Tusk może oczywiście,

Sondaże nie pozostawiają wątpliwości: jedynie jedna trzecia Polaków wyraża zadowolenie z tego, że premierem jest Donald Tusk

na podstawie opinii prof. Marka Safjana i innych autorytetów prawnych, zgodę prezydenta sobie „domniemać”, ważne jest bowiem, że Państwowa Komisja Wyborcza, w obecnym składzie, podporządkuje się Sejmowi, a nie prezydentowi. Ale nawet jeśli wybory zostaną skutecznie odwołane, to problem utraty władzy zostanie tylko odepchnięty w czasie. W końcu przecież trzeba je będzie przeprowadzić.

CO ZROBIAJĄ POLACY?

Chyba że 90 dni stanu wyjątkowego wykorzysta Tusk do ogłoszenia, że w tzw. międzyczasie kadencja Andrzeja Dudy się skończyła, a ponieważ nie wybrano jego następcy, to „pełniącym obowiązki” zostaje marszałek Sejmu, który – nikt chyba nie ma co do tego wątpliwości – podpisze liderowi PO wszystko, co ma podpisać, by zalegalizować zamach stanu (zresztą Sejm zawsze może wybrać innego marszałka). Do takiej operacji potrzebny jest „Sąd Najwyższy”. Używam cudzysłowu, ponieważ w ramach ogólnego delegitymizowania wszystkiego, co odziedziczyła obecna ekipa po poprzednikach, zdołano już rozmyć rozumienie pojęć, kiedy Sąd Najwyższy jest w istocie najwyższym sądem, a kiedy rząd go po prostu nie uznaje. To, która izba właściwa jest do orzekania o ważności wyborów, wynika z prawa tylko pośrednio: konstytucja określa jedynie, że robi to właśnie „Sąd Najwyższy”. Łatwość, z jaką była prezes Małgorzata Gersdorf skrzyknęła swego czasu trzy izby tegoż sądu, że zdominowane przez „swoich”, do podjęcia bezprawnej uchwały, że sędziowie nieautoryzowani przez środowiskowy establishment nie są sędziami, i uporczywość, z jaką ta uchwała, nieumocowana w żaden sposób konstytucyjnie jako źródło prawa i podjęta przez gremium samozwańcze, niemające do tego żadnych kompetencji,

jest obecnie stosowana przez prorządową judykaturę, aż do uwalniania od kary brutalnych morderców włącznie, dobrze rokuje ewentualnym planom posłużenia się jakimiś arbitralnie wskazanymi sędziami SN do utrzymania władzy.

Możliwe są różne kombinacje tych działań – takie scenariusze, w których do wyborów ostatecznie nie dochodzi, i takie, w których Trzaskowski je przegrywa, ale PKW albo SN nie uznaje wyniku, albo też Sejm nie uznaje orzeczeń PKW i Sądu Najwyższego, czy może „peowscy” sędziowie SN buntują się i Tusk sam sobie wybiera, które z „orzeczeń SN” mu pasuje. W każdym wariancie Tusk może być pewien jednego: Unia Europejska w obecnym kształcie, Berlin Friedricha Merza i Olafa Scholza, Paryż Emmanuela Macrona i Bruksela Ursuli von der Leyen żadnych jego działań nie zakwestionują, przeciwnie – poprą je. A sprzeciw USA może się wyczerpać na deklaracji podczas konferencji prasowej, podobnie jak w wypadku uniemożliwienia udziału w wyborach Marine Le Pen.

Wciąż mam nadzieję, że najważniejsze będzie jednak to, jak zachowają się sami Polacy. Jaki jest stopień ich zniechęcenia, społecznej dezintegracji i podatności na propagandę przyklejonego do władzy establishmentu, jaka sprawność i zdecydowanie opozycji oraz jaka rzeczywistość, a nie propagandowa siła obecnego reżimu?

Jeśli zadawanie tych pytań wydaje się państwu zupełnie niepotrzebne, to proszę przeprowadzić na sobie małe ćwiczenie z wyobraźni. Proszę sobie wyobrazić, że jest, powiedzmy, sierpień 2023 r. i czytają państwo artykuł publicysty, który w przybliżeniu wieszczyło natchnienia opisuje państwu dokładnie to, co robi Donald Tusk w przyszłym roku, jeśli zdobędzie władzę: rządy „prawa, jak my je rozumiemy”, bandyterkę Bartłomieja Sienkiewicza w TVP i PAP, lewych partyjnych nominatów Bodnara w prokuraturze i sądach, lipne zarzuty dla opozycji i ubeckie dręczenie wytypowanych do zeznań w „aresztach wydobyczych”. Wszystko opisane tak właśnie, literalnie, jak rzeczywiście się potem stało. Jak by wtedy państwo odebrali taki artykuł?

Proszę o tym pomyśleć, zanim uznają państwo próbę rozstrzygnięcia przez PO wyborów w „trzeciej turze” za niemożliwą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rafała Trzaskowskiego kontredansy z wiarą



Piotr Semka

Jest już pewną tradycją, że wraz z kolejną kampanią prezydencką prezydenta Warszawy wraca kwestia jego stosunku do wiary. Formalnie Rafał Trzaskowski jest ochrzczonym katolikiem, co zaznacza w wywiadach. Ale czy jest też świadomym wyznawcą tej religii? W Polsce, kraju, w którym wierzący katolicy to spora część wyborców, musi to budzić zainteresowanie

Najbardziej wyrazistą deklarację co do swojej duchowości kandydat Koalicji Obywatelskiej złożył w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” w 2020 r. Wyznał wówczas, że „Wierzy w Boga Spinozy”. Wywołało to spore kontrowersje. Liberalni publicyści, tacy jak socjolog i historyk idei Karolina Wigura, lansowali tezę, że deklaracja taka ma charakter czysto filozoficzny. Wigura streszczała ją tak: „Trzeba odrzucić przesady i pogodzić się z tym, jaki jest świat. To da wewnętrzny spokój. Najważniejsze, byśmy nie żywili wobec nikogo nienawiści, nikogo nie potępiali, nikomu nie zazdrościli”.

Szła za tym niewyrażana wprost sugestia, że poglądy Trzaskowskiego muszą być sprzeczne z wyznawaniem wiary katolickiej. Z kolei konserwatyści wskazywali, że nie można mienić się katolikiem w wywiadach prasowych, a jednocześnie wyznawać idee tożsame z systemem panteistycznym. Katolicki portal Opoka.org.pl pisał: „Myśl Spinozy jest w teorii teistyczna, to ostatecznie stanowi tylko niereligijny, sztuczny konstrukt intelektualny, z konieczności skażony arbitralnością i chwiejnością. W systemie panteistycznym trudno w ogóle mówić o Bogu jako takim. Używa się tego pojęcia raczej siłą przyzwyczajenia. Panteizm – to opinia wielu cenionych katolickich filozofów – jest w gruncie rzeczy romantyczno-fantasmagoryjnym ateizmem”.

FOT. MAREK GADOMSKI/PAP

W 2018 r., w jednym z wywiadów, żona prezydenta, Małgorzata Trzaskowska, pytana o religijne wychowanie dzieci, odpowiedziała: „Kościół nie zdał egzaminu, gdy PiS atakował sądy czy prawa kobiet, gdy protestowali niepełnosprawni czy mamy dzieci ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi. Dlatego nie wysłałam Stasia na komunię i nasze dzieci nie chodzą już na religię”. Pani Trzaskowska dodała, że do Kościoła ma duży żal jako „potężnej instytucji wpływającej na opinie społeczeństwa”.

W maju 2024 r. prezydent Warszawy wydał rozporządzenie nakazujące usunięcie krzyży z podległych mu urzędów oraz zakazujące eksponowania symboli religijnych przez pracowników magistratu. Rafał Trzaskowski mówił wówczas: „To jest urząd i tam, gdzie są obsługiwani mieszkańcy, jest przestrzeń, w której nie powinno być miejsca na symbole religijne”. Trzy miesiące później Trzaskowski złagodził nieco rozumienie rozporządzenia, wycofując się z zakazywania stołecznym urzędnikom prezentowania symboli religijnych. Chodziło głównie o małe obrazki czy też znaczki na biurku.

Wojna o krzyże stała się tak dalece jednym ze znaków firmowych prezydentury Trzaskowskiego w Warszawie, że publicyści „Gazety Wyborczej” wieszczyli, iż decyzja ta może zaszkodzić Trzaskowskiemu w kolejnej kampanii prezydenckiej.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji od jesieni 2024 r. sztab prezydencki Koalicji Obywatelskiej dbał o pokazywanie swego kandydata jako osoby życzliwej wierze. 13 grudnia 2024 r. Trzaskowski złożył kwiaty na grobie ks. Jerzego Popiełuszki, przed Bożym Narodzeniem uczestniczył w wieczorze kolęd nagrywanych na potrzeby TVN w bazylice Najświętszego Serca Jezusowego na warszawskiej Pradze. A w trakcie jednej z wizyt u strażaków fotografował się z portretem św. Floriana. W orędziu bożonarodzeniowym w 2024 r. umieścił cytat z ks. Józefa Tischnera.

Jedni katolicy uznawali te działania za czysto koniunkturalną próbę zatarcia złego wrażenia po akcji zdejmowania krzyży, inni dopuszczali myśl, że Trzaskowski dokonał jakiegoś powrotu do tradycyjnego katolicyzmu. Z tym większym zainteresowaniem przyjęto fragmenty jego wyborczego wywiadu rzeki „Rafał”. Czego



Rafał Trzaskowski z portretem św. Floriana
FOT. RAFAŁ TRZASKOWSKI/FACEBOOK



Kandydat KO składa kwiaty na grobie
bł. ks. Jerzego Popiełuszki
FOT. RAFAŁ TRZASKOWSKI/FACEBOOK

z tej książki dowiadujemy się o stosunku kandydata prezydenckiego do wiary?

ZWOLENNIK KORONY Z KRZYŻEM?

„Byłem wcześniakiem i miałem umrzeć. Słaby, nieodporny, nie chciałem jeść. Odratowała mnie położna, która karmiła mnie łyżeczką. Powiedziała, że przeżyję, ale do końca życia będę mały i cherlawy”. To szczerze wyznanie pojawia się w opowieści o okolicznościach chrztu małego Rafała. Ale nie staje się okazją do żadnej refleksji na temat ludzkiego życia. Przecież Trzaskowski w swojej kampanii wypowiada się zdecydowanie na rzecz aborcji na życzenie. W czasie tzw. strajku kobiet jesienią 2020 r. Trzaskowski wspierał werdykt Trybunału Konstytucyjnego, którego zapisy miały zmniejszyć liczbę przypadków, w których aborcję usprawiedliwiano. Teraz w swoim wywiadzie rzecze nie podejmuje tematu religijnego stosunku do aborcji.

Widać też, że tradycja katolicka kojarzy mu się z przemocą. Jak mówi: „W wielu polskich rodzinach panowała silna tradycja katolicka, a to się nieraz wiąże z wychowywaniem poprzez zawstydzanie i karcenie. U mnie w domu niczego takiego nie było, rodzice nigdy wobec mnie nie stosowali żadnych tego typu krzywdzących metod. Kościół uznawali po prostu za ostoję wolności i część tradycji, która konstytuuje nas jako Polaków”.

Te słowa są jednak punktem wyjścia do wyznania o wielkim rozczarowaniu tym, co stało się z Kościołem po 1989 r. Tak naprawdę jest to pójście drogą znanej

dewizy Adama Michnika, który mówił, że Kościół był dla niego kiedyś znakiem wolności, a teraz zaczyna się obawiać, że może być symbolem przymusu. Niespecjalnie wiarygodnie brzmi deklaracja Trzaskowskiego, że skoro w latach 80. Kościół był wzorem postawy patriotycznej, to na początku lat 90. Trzaskowski miał rzekomo – jak twierdzi – „chcieć korony na głowie orła w godle i krzyży w urzędach”. Czyżby? Jedynymi, którzy wysuwali wtedy postulat zamiany korony umieszczonej na głowie heraldycznego polskiego orła na tzw. koronę zamkniętą, uwieńczoną znakiem krzyża, były środowisko Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego i wiele mniejszych ugrupowań narodowych oraz monarchistycznych. Żadnego dowodu na to, że Trzaskowski wówczas był za koroną z krzyżem na głowie orła, bohater wywiadu nie przytacza.

Jak zaznacza: „Jeszcze w 2013 r., kiedy zostałem ministrem, kończyłem przysięgę słowami: »Tak mi dopomóż Bóg«, liczyły się tradycja, szacunek do wiary... [...]. Kiedy zostałem posłem w 2015 r., to nie powiedziałem. Kościół na świecie ewoluje, staje się bardziej otwarty np. w sprawach uchodźców czy LGBT. Natomiast polski Kościół milczy, sprzeniewierzył się wartościom, dał się upolitycznić. Zabiera głos tylko w tych sprawach, w których doktryna pokrywa się z narracją PiS”. I znów Trzaskowski nie podaje ani jednego przykładu takiego bezpośredniego wspierania PiS ze strony Episkopatu.

ROZCZAROWANY

Trzaskowski protestuje, gdy pada pytanie, czy walczy z Kościołem: „Nie jestem antyklerykałem. Gdybym był, to życzyłbym Polsce biskupów Jędraszewskich we wszystkich diecezjach, bo za 15 lat kościoły świeciłyby pustkami, a tego nie chcę. Nie mam nic przeciwko instytucji Kościoła, ludzie potrzebują absoliutu”.

Pytany, czy Polska ma być państwem świeckim czy wyznaniowym, odpowiada: „Polska nie jest krajem laickim, nie jesteśmy Francją. Ale obiecaliśmy obywatelom rozdział Kościoła od państwa. Jestem za tym, żeby w przyszłości wyprowadzić religię ze szkół, ale tylko, jeśli będą tego chcieli rodzice”.

Dość dziwne wrażenie robi też pewien kontrast. Z jednej strony Trzaskowski zaznacza, że ma ze swoją żoną ślub kościelny

ny, ale parę akapitów dalej ujawnia, że do chrztu ich dziecka doszło dopiero w 10. rocznicę ich ślubu. Co więcej, jak wyjawia, przygotowanie do chrztu odbyło się na zasadzie zaskoczenia żony. Jak wspomina: „Gośka była w szoku. A ja, na boku, mówię do teściowej: »Mam jeszcze niespodziankę dla mamy, jutro są chrzciny Stasia«”.

Trudna do weryfikacji jest opowieść Trzaskowskiego o jego teściowej Gizeli, która zmarła parę lat temu. Jak twierdzi: „Dwie godziny przed śmiercią przyszedł do niej, do szpitala onkologicznego, ksiądz na ostatnie namaszczenie. A ona kazała mu wyjść. Powiedziała: Za to, co robiliście przez ostatnie lata, za to, jak niszczyście polskie życie, za to, jak zaangażowaliście się w politykę, nie chcę z wami mieć nic wspólnego. Sama rozliczę się z Bogiem”. Oczywiście każdy taki przypadek jest indywidualny, ale opowieść o umierającej kobiecie, która na łożu śmierci chce ukarać Kościół za wspieranie PiS-owskiej władzy, brzmi nieco jak projekcja poglądów państwa Trzaskowskich.

Tak samo jak nie sposób stwierdzić prawdziwości opowieści z okresu, kiedy

Można przyjąć, że kandydat KO zgodził się na zalecenia sztabu, pokazując się na koncercie kolęd czy pozując do kamer z podarowaną przez strażaków ikoną św. Floriana. Ale swych poglądów nie zmienił

miął siedem lat. I kiedy to ksiądz w trakcie odwiedzin w domu Trzaskowskich po kolędzie miał odkryć, że rodzice nie mieli ślubu kościelnego. I w rezultacie miał wygłosić do siedmioletniego chłopca słowa: „To jesteś bękartem”. Jak opowiada Trzaskowski, jego ojciec wyprosił tego księdza z domu i kazał mu się zająć biednymi.

GESTY I ŚWIADOMOŚĆ

Ten całkiem spory fragment wywiadu rzeki z Trzaskowskim dotyczący stosunku do wiary pokazuje – wbrew solennym deklaracjom bohatera książki – kogoś, kto tak naprawdę pozostaje z dala do katolicyzmu. Postrzeganie każdego kapłana jako ukrytego uczestnika propisowskiej propagandy objawia z kolei zaciętrzewienie polityczne.

A sam koncept ukarania Kościoła nieposyłaniem dzieci na religię wiele mówi.

Można przyjąć, że kandydat KO zgodził się na zalecenia sztabu, pokazując się na koncercie kolęd czy pozując do kamer z podarowanym przez strażaków portretem św. Floriana. Ale swych poglądów nie zmienił. Owszem, unika już dywagacji o filozofii Spinozy, ale swoimi wyznaniem na łamach książki pokazuje, że z zasad katolicyzmu zbyt wiele nie rozumie. W sumie dość charakterystyczne dla części liberalno-lewicowej inteligencji warszawskiej. Wspomnienie o pewnym zbliżeniu z kościołem w epoce PRL, rozczarowanie w latach 90. i erupcja niechęci wobec Kościoła po wygranej PiS. Typowe i dość banalne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Przekaż 1,5% podatku

FUNDACJI RADIA NIEPOKALANÓW

1,5% KRS 0000332816 **pp**

Nr konta bankowego:

Bank Pekao S.A. 47 1240 1822 1111 0010 2800 3921



**Pomóż nam kontynuować dzieło
św. Maksymiliana Kolbego**

SAM ZDECYDUJ, GDZIE TRAFI 1,5% TWOJEGO PODATKU.

wykorzystaj go na Maksa!

www.fundacjarn.pl
facebook.com/fundacjarn
e-mail: kontakt@fundacjarn.pl

Protest w Zgorzelcu pod hasłem „Stop zalewaniu Polski migrantami przez Niemcy” FOT. MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP

Tama na Odrze



Radosław Wojtas

Narastają protesty przeciwko polityce migracyjnej UE i relokacji migrantów. Ludzie, którzy biorą udział w demonstracjach organizowanych pod hasłem „Stop zalewaniu Polski migrantami przez Niemcy”, nie wierzą w zapewnienia polskiego rządu, że Polska nie będzie przyjmowała migrantów odsyłanych do nas z innych krajów UE

Symboliczne drewniane szlabany z napisami „Halt!” oraz „Stop!” po polskiej stronie i blokada drogi po niemieckiej stronie mostu. Transparenty z hasłami „Niemcy, nie podrzucajcie nam swoich gości na próg”, „Stop relokacji”, „Polska chrześcijańska, nie muzułmańska”. Okrzyki: „Tu jest Polska”, „Precz z Unią Europejską”. I wiele biało-czerwonych flag. Tak wyglądał chyba największy protest – przynajmniej do momentu oddania tego tekstu do

druku – przeciwko przyjmowaniu przez Polskę nielegalnych, obcych kulturowo migrantów, m.in. z krajów afrykańskich, których mają do nas odsyłać Niemcy. 22 marca w Zgorzelcu zgromadziło się kilkuset manifestantów. O takiej liczbie mówią media, bo Robert Bąkiewicz, prezes stowarzyszenia Roty Marszu Niepodległości, który współorganizował to wydarzenie, pisał o kilku tysiącach ludzi, którzy tego dnia mieli pojawić się na granicy: „Morze biało-czerwonych flag. Nad granicę przybyło kilka tysięcy osób – wiele z nich pokonało setki kilometrów, by stanąć w obronie Polski. To pokazuje ogromną determinację i głębokie poczucie odpowiedzialności za los naszej wspólnoty”.

Nie był to ani pierwszy, ani ostatni taki protest. Polacy obawiają się, że mimo zapewnień premiera Donalda Tuska do Polski i tak będą kierowani uchodźcy m.in. z krajów afrykańskich, którzy nielegalnie przedostali się do Niemiec. Na protestach się nie kończy. Robert Bąkiewicz zwywa chętnych do pilnowania przejść granicznych z Niemcami.

MĄDRY POLAK PRZED SZKODĄ

Jakiś czas temu spotkałem się z pewnym profesorem z Zachodu, który doskonale zna Polskę i który podróżuje

zawodowo po całym świecie. Umówiliśmy się w Fabryce Norblina – zabytkowej przestrzeni w Warszawie, gdzie dziś, w odrestaurowanych pofabrycznych budynkach, mieści się spore centrum handlowo-usługowe. Zajęliśmy stolik w dużym, przelotowym pomieszczeniu i poszliśmy poszukać miejsca, gdzie moglibyśmy kupić kawę. I kiedy ją zamawialiśmy, a ja zerkałem nerwowo przez ramię na plecak pozostawiony przy stoliku, który niemal straciłem z oczu, profesor się uśmiechnął i powiedział: – Niech się pan nie boi, nie zginie. Jesteśmy w Warszawie.

Zmieszałem się, że gość z zagranicy musi mi przypominać, w jakim kraju żyję. Jednak czasem to właśnie ludzie potrafiący spojrzeć na Polskę z dystansu mogą skutecznie nam uświadomić, że pod pewnymi względami naprawdę jesteśmy „zieloną wyspą”. Pierwsze skojarzenia wielu Niemców, Francuzów czy Włochów związane z Polską coraz częściej krążą dziś nie wokół kilku nazwisk znanych na całym świecie, lecz wokół bezpieczeństwa i czystości polskich miast, o których oni mogą już tylko poczytać w pożółkłych gazetach.

Protesty, które zaczęły się na granicy z Niemcami, a które rozlewają się także na inne miasta, są efektem obaw, że Warszawa, Wrocław czy Gdańsk będą niebawem przypominać Berlin, Paryż czy Sztokholm.

– Boimy się o swoje bezpieczeństwo, bezpieczeństwo naszych dzieci. Mamy wnuki, synowe... Boję się – mówiła jedna z protestujących w materiale pokazanym przez telewizję w Polsce24. – Widzimy, co się dzieje na Zachodzie, czasami ktoś wstawa w Internecie, ale to jest albo szybko usuwane, albo mówią, że to są pojedyncze przypadki. Ja bym nie chciał nawet pojedynczych przypadków – dopowiadał młody mężczyzna. „Musimy obronić Polskę przed zalewem przez imigrantów. To nasz obowiązek względem przodków i młodego pokolenia” – komentowano w mediach społecznościowych.

Kilkanaście dni wcześniej podobna demonstracja odbyła się w przygranicznych Słubicach. Kolejny protest zorganizowały 30 marca w Gdańsku środowiska zbliżone do Prawa i Sprawiedliwości.

– Przede wszystkim należy podkreślić, że nie sprzeciwiamy się legalnym migrantom, którzy przyjeżdżają do naszego miasta, żeby pracować, zakładać rodziny, żyć i integrować się z polskim społeczeństwem. Przeszkadza nam to, co tak naprawdę teraz jest ukrywane pod płaszczykiem pewnych metafor czy kwiecistych przemówień w wykonaniu pana premiera, czyli tego, że już teraz jest, w pewnym sensie, realizowany pakt migracyjny, który został niestety podpisany przez państwa Unii Europejskiej – mówił Aleksander Jankowski, radny miejski z PiS. – Jako odpowiedzialni gdańszczanie nie możemy się godzić na stwarzanie zagrożenia dla naszego bezpieczeństwa. Widzimy, jak wygląda problem migracji w Europie Zachodniej. Nie psujemy sobie reputacji państwa bezpiecznego, nie ryzykujemy bezpieczeństwa naszych obywateli dla ideologicznych pobudek czy dlatego, że Niemcy chcą się pozbyć problemu, którzy sami sobie wytworzyli – dodawał.

Na 5 kwietnia – już po oddaniu tego wydania do druku – zwołano protest na granicy w Gubinie, 6 kwietnia strajkować miał Toruń, 11 kwietnia w Otwocku ma się odbyć zjazd powołanego przez Roberta Bąkiewicza Ruchu Obrony Granic, a na 26 kwietnia planowany jest Wielki Marsz Przeciwko Masowej Imigracji w Warszawie. A to przecież nie koniec.

NIE MA POWODÓW DO OBAW?

Ruch Obrony Granic się rozkręca, a jego lider uderza w najpoważniejsze tony. Sytu-

ację na naszej zachodniej granicy nazywa – symetrycznie do napięcia panującego na granicy z Białorusią – wojną hybrydową. „Mężczyźni! To na nas spoczywa obowiązek obrony Ojczyzny, naszych rodzin, żon, dzieci i wnuków! Rzym upadł, bo zabrakło mężczyzn gotowych do walki. Gotowych odważnie stanąć naprzeciw zagrożenia. Czy my, Polacy, powtórzymy ten tragiczny błąd? Dziś Polska jest w niebezpieczeństwie. Jeśli się nie zmobilizujemy, to bezpieczny i zamożny kraj, w którym dotąd żyliśmy, zostanie bezpowrotnie utracony. Dlatego musimy stanąć do walki. Niech Polska stanie się bastionem wolnym od masowej imigracji! Dołącz do nas! Pokażmy, że są jeszcze mężczyźni, którzy nie wahają się stanąć w obronie tego, co w życiu najdroższe!” – zaapelował na X.

Wezwał też chętnych, by w ramach samoorganizacji pilnowali wszystkich przejść granicznych z Niemcami. – Będziemy przekazywali sobie informacje, będziemy nagrywali tych, którzy dokonują przestępstwa. Będziemy pokazywali niemiecką policję, która wjeżdża tutaj bezprawnie. Będziemy pokazywali polskich policjantów i Straż Graniczną, jeśli również będą brali udział w tym przestępstwie – mówił w Zgorzelcu.

Ruch Obrony Granic podnosi trzy postulaty. Jest to po pierwsze przywrócenie kontroli na granicach na zasadzie wzajemności wobec Niemiec, które takie kontrole przywróciły już w 2023 r. Po drugie, zaprzestanie budowy ośrodków dla migrantów („żadnej infrastruktury dla nielegalnej migracji w Polsce”). I po trzecie, ruch domaga się natychmiastowego wypowiedzenia paktu migracyjnego bez jakichkolwiek negocjacji.

WIERZYĆ CZY NIE WIERZYĆ

Jeszcze przed protestem w Zgorzelcu premier Donald Tusk studził nastroje i zapewniał, że Polska i jej granice są bezpieczne. Mówił, że zamykanie granicy z Niemcami i przywracanie sytuacji sprzed wejścia do Unii Europejskiej jest niepotrzebne i uderzałoby w interesy zwykłych ludzi. Dodawał, że zdaje sobie sprawę z tego, że Polska ma wieloletnią umowę z Niemcami o tzw. readmisji migrantów. – Większość państw europejskich ma takie umowy. Ale poinformowałem partnerów niemieckich, że ze względu na to, ile przyjęliśmy uchodźców z Ukrainy i ze względu na

presję migracyjną na wschodniej granicy, Polska nie będzie przyjmowała imigrantów przyjeżdżających z innych krajów europejskich – mówił Tusk.

Protestujący nie dają temu wiary. Zwłaszcza że ze strony naszych zachodnich sąsiadów płyną niepokojące doniesienia. Jeszcze w lutym Olaf Scholz stwierdził w telewizyjnej debacie, że wymusił pewne decyzje na przywódcach państw ościennych. – Wydalenia z Niemiec są całkowicie zgodne z prawem, ponieważ dotyczą przypadków, w których nie ma wniosku o azyl. Ja to umożliwiłem. Zadzwoniłem do wszystkich szefów państw i premierów krajów sąsiadujących z Niemcami i powiedziałem: „Robimy to teraz i musicie to zaakceptować, bo jest to możliwe na podstawie europejskiego prawa” – mówił kanclerz Niemiec. Pod koniec ubiegłego miesiąca portal dziennika „Bild” informował o „tajnym planie dotyczącym migracji”, który jest przedmiotem rozmów koalicyjnych między CDU/CSU i SPD. „Od wyniku porozumienia między ugrupowaniami ma zależeć przyszłość koalicyjnych rządów w Niemczech” – donosi PAP.

Internet zaś rozgrzewają nagrania i zdjęcia muzułmanów na ulicach polskich miast. – Zaczęło się! – mówi mężczyzna, który na jednej z wrocławskich ulic nagrał grupę wyznawców islamu. Krótki film z napisem: „Wrocław, przyjazd inżynierów 30.03.2025” stał się wiralem. I na niewiele się zdają głosy prostujące tę manipulację – że film (podobnie jak inne materiały wrzucane do sieci pod koniec marca) nie przedstawia „lekarzy” i „inżynierów” wkraczających właśnie do Polski, a muzułmanów mieszkających w Polsce gromadzących się na zakończenie ramadanu. Jak jednak zauważył jeden z internautów publikujący podobne zdjęcia z Gdańska: „W zeszłym roku było ich o połowę mniej i nie zajmowali ulicy”. „W dużych polskich miastach coraz bardziej wielokulturowo. Albo nastąpił gwałtowny wzrost pobożności muzułmanów w Polsce, albo jesteśmy świadkami szybkiego wzrostu ich liczby” – skomentował Krzysztof Bosak.

Niezależnie od tego, jak jest w istocie, grające na emocjach zdjęcia będą często zagrywaną kartą z wyborczych talii. Od tego, kto lepiej nią zagra, może wiele zależeć. A od tego, czy tama na Odrze wytrzyma naciski ze strony Niemiec, zależeć może jeszcze więcej. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Rafał Trzaskowski, postanka KO Małgorzata Pepek i marszałek województwa śląskiego Wojciech Saługa podczas gminnego Dnia Kobiet we wsi Łękawica, 8 marca 2025 r.

FOT. JAREK PRASZKIEWICZ/PAP

Śląsk w ogniu wyborczych frazesów



Andrzej Krzystyniak

Przemysłowe niegdyś miasta Śląska od wielu już lat pustoszeją, wyludniając się, strasząc bezrobociem i brakiem perspektyw dla młodzieży. Czy w odpowiedzi na pogłębianie się dezindustrializacji, czyli mówiąc wprost: biedy, najlepszym sposobem jest zamknąć się w wiecowej sali, krzycząc: „Tu jest Polska!”? Nie przywróci to przemysłowi ani nawet polskości. W przynajmniej trzech ostatnich kampaniach prezydenckich pojawiały się slogany przywrócenia „polskiemu górnictwu należnego miejsca” w polskiej gospodarce. Jak wygląda to w rzeczywistości? Na zmniejszaniu wydobycia i imporcie węgla z zagranicy. Na tym zresztą nie koniec, rokrocznie Polska zmuszona jest importować energię elektryczną

Śląsk pozostaje jednym z najważniejszych regionów Polski, gospodarczo i demograficznie. Poza tym jest to obszar, na którym skupionych jest kilka milionów mieszkańców, co dla polityków oznacza potencjalnych wyborców, więc powinien być traktowany przez nich ze szczególną powagą. Nic takiego nie ma miejsca, co łatwo zaobserwować podczas toczącej się właśnie kampanii prezydenckiej. Śląsk, podobnie zresztą jak inne regiony kraju, znalazł się w morzu banałów przygotowywanych naprędce według zużytych już od dawna schematów.

WYJŚĆ Z BAŃKI FRAZESÓW

Jeśli ktoś chciałby naprawdę zajrzeć w śląską duszę i przekonać ją do siebie, to nie wystarczy sztampowe żonglowanie frazesami będącymi pustymi deklaracjami. Nie wystarczy zapowiedź zawetowania czy też z drugiej strony podpisania ustawy o języku śląskim. Mowa oczywiście o dwóch liderach wyścigu o fotel głowy państwa: Karolu Nawrockim i Rafale Trzaskowskim. Biegunowo różni pod względem poglądów, wydają się bardzo podobni w poziomie zrozumienia Śląska. Od skandowania: „Tu jest Polska!” czy też „Nie ma Polski bez Śląska!”, do szukania poparcia w ruchach, które nawet jeśli nie są wprost separatystyczne, to balansują na granicy głoszenia wprost oderwania Śląska od Polski. Jednak nie to jest w tym najistotniejsze. Dziwić może postawa przedstawiciela obozu patriotycznego po-

pieranego przez Prawo i Sprawiedliwość, który nie próbuje wyjść z wyborczych spotkań w salach pełnych zwolenników na zewnątrz, by spojrzeć, jak naprawdę wygląda rzeczywistość. Proponowałbym, a nie powinno to być trudne z racji pełnionych przez Karola Nawrockiego funkcji prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, by spojrzeć na Śląsk głębiej, a zacząć można od historii, na którą zresztą, co naturalne, często się powołuje, od złożenia kwiatów na jednym z opuszczonych grobów polskich żołnierzy, obrońców Śląska poległych we wrześniu 1939 r. czy mogli oznaczonych jako „żołnierz nieznany”, których pełno na Śląsku. Przy okazji można wyjść z bałki frazesów i spojrzeć na śląską ziemię realistycznie, widząc, w jakim stanie pozostają rdzenne śląskie dzielnice w prawie każdym śląskim mieście. To tam znajdziemy klucz do Śląska. Leży on w poczuciu krzywdy i opuszczenia, którego nie zmienia wyborcze hasła „Tu jest Polska!”.

Swego czasu jedna z kandydatek ze Śląska w wyborach do europarlamentu apelowała o głosy Ślązaków zdaniem: „Jesteście od was”. Jeden z moich znajomych zaproponował, niestety, już po wyborach, by któryś z polityków z takim zdaniem zwrócił się do mieszkańców Śląska bezpośrednio najlepiej pod którymś z zamkniętych i często zdewastowanych, a takich znajdziemy tutaj sporo, zakładów przemysłowych. Tymczasem można dostrzec, że to nie byt mieszkańców Śląska jest najważniejszy. To sprawa uznania języka śląskiego zdaje się dla Śląska najistotniejsza. Ciekaw jestem, czy w przypadku wygranej Karola Nawrockiego oprze się on naciskom podobnym do tych, które były kierowane w formie apeli o podpisanie ustawy przez wszelakie środowiska do prezydenta Andrzeja Dudy, i – co jeszcze bardziej interesujące – czy posłowie obozu patriotycznego ze Śląska udzielą mu takiego samego zerowego wsparcia, by jako prezydent nie podpisywał ustawy. Przypomnijmy, że śląscy parlamentarzyści prawnicy zachowali w zdecydowanej większości wobec ustawy o języku śląskim bierność i milczenie.

CZAS ZMARNOWANYCH OKAZJI?

Czy Karol Nawrocki będzie w stanie ich zmobilizować do działania na rzecz śląskiej ziemi? Czy też kolejna prezydentura przedstawiciela obozu patrio-

tycznego, o ile do niej dojdzie, będzie wyglądała podobnie jak wtedy, gdy wspomniany obóz patriotyczny posiadał pełnię władzy? Znowu będzie czasem zmarnowanych okazji? Gdy polskość manifestuje się jedynie od rocznicy do rocznicy wydeklamowaniem tych samych frazesów o „odwiecznej polskości Śląska”. Frazesów, które zdają się puste w momencie, gdy śląska ziemia gospodarczo, a polskość kulturowo zostały już dawno zwinięte i rzucone w kąt, jak coś niepotrzebnego czy wręcz wstydlivego. Polskość zredukowana do pustostowania w przemówieniach przedstawicieli władz państwowych, np. zmieniających się wojewodów, z których to żaden niezależnie od opcji politycznej nie bardzo wie, jak wyjść poza rolę odczytywania tych samych górnołotnych banałów czy otwierania kolejnych inwestycji typu przedszkole czy mostek nad niewielką rzeczką. Zwinięta i rzuconą w kąt polskość, bezsilną wobec „regionalizmu” tak jak wówczas, gdy radnym śląskiego sejmiku przeszkadzała nazwa Instytutu Myśli Polskiej tak bardzo, że postanowili ją zmienić na „regionalną”. Może nie to jest najważniejsze, a to, że gospodarczo Śląsk znika. Czy którykolwiek z kandydatów widzi w tym zagrożenie dla naszego bytu? Czy ma pomysł na przeciwstawienie się temu? Oczywiście gwoili sprawiedliwości trzeba przyznać, że w przynajmniej trzech ostatnich kampaniach prezydenckich pojawiały się slogany przywrócenia „polskiemu górnictwu należnego miejsca” w polskiej gospodarce. Jak wygląda to w rzeczywistości? Na zmniejszaniu wydobycia i imporcie węgla z zagranicy. W ciągu ostatnich 10 lat krajowe wydobycie węgla zmniejszyło się o 25 mln ton, co daje procentowo zmniejszenie o 32 proc. Z kolei import węgla z zagranicy wzrósł o 15 mln ton. Na tym zresztą nie koniec, rokrocznie Polska zmuszona jest importować energię elektryczną. Jako ciekawostkę można podać, że jednym z importerów, od którego kupowaliśmy prąd w 2024 r., była Ukraina.

Nasi zachodni sąsiedzi skrupulatnie zbierali resztki, które zostały po latach uprzemysłowienia Śląska i Ziemi Odzyskanych, i nie próżnują do dziś, zresztą trudno mieć o to do nich pretensje. Na początku bieżącego roku zrobiło się

głośno, gdy Niemcy na poważnie zaczęli się przysmyrzać do przejęcia złóż węgla kamiennego po kopalni „Dębieńsko”. Skądinąd nie tylko Śląsk jest obiektem ich zainteresowania. Spoglądając na drugi koniec Polski, na naszą gospodarkę morską, niemieccy sąsiedzi są już właścicielami portu w Szczecinie, niebawem może przejmą Gdynię. Przemysłowe niegdyś miasta Śląska pustoszeją, wyludniają się, strasząc bezrobociem i brakiem jakichkolwiek perspektyw dla młodzieży. Same Katowice – stolica województwa śląskiego – wyludniają się niezmiennie od kilkudziesięciu już lat, między rokiem 2002 a 2023 ubyło z miasta ponad 45 tys. osób. Szybsze tempo w „znikaniu” mieszkańców w skali kraju posiada tylko Łódź. Łatwiej budować велоstrady, czyli „autostrady rowerowe”, co jest jednym z największych sukcesów Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii.

Czy w odpowiedzi na pogłębianie się deindustrializacji, czyli mówiąc wprost: biedy, najlepszym sposobem jest zamknąć się w wiecowej sali, krzycząc: „Tu jest Polska!”? Nie przywróci to przemyśłu ani nawet polskości. Euforyczny okrzyk nawet w pobliżu portu w Szczecinie nie przywróci go interesom polskiej gospodarki, o ile takowa jeszcze istnieje. Zamiast tego proponowałbym każdemu z kandydatów zastanowić się na poważnie, bez pustych sloganów, co jest może nazbyt optymistyczne z mojej strony, co zrobić, aby tu naprawdę była Polska. Nie tylko w pustostowie obowiązkowych akademii ku czci i wieców wyborczych. Co należy uczynić, aby Śląsk nie zamienił się w poprzemysłowy skansen – choć nietrudno domyślić się, że wielu marzy, by tak właśnie się stało – z urzędowo uznaną za język śląski gwarą, z dwujęzycznymi napisami na drogowych znakach na велоstradzie? Idealnym miejscem skupiającym w sobie powyższe cechy będzie Muzeum Śląskie. Skądinąd politycy są w tym jednym zgodni – to przykład udanej transformacji, kiedyś w tym miejscu była kopalnia, dziś jest muzeum. Nie łudźmy się, że inny los czeka to, co jeszcze zostało ze śląskiego przemysłu. Chociaż można dodać złośliwie, że pewną gwarancją przetrwania tej pozostałości może się okazać to, że będzie ona własnością obcego kapitału.

Urodzona w 1907 r. Frida Kahlo była z pewnością postacią nietuzinkową i pełną sprzeczności. Autorka ponad 140 prac najchętniej tworzyła autoportrety, a jej styl mieszał ze sobą realizm, surrealizm i wpływy rdzennej kultury meksykańskiej.

Wymykała się wszelkim konwencjom, co dobrze widać na krakowskiej ekspozycji, gdzie z autoportretami odwzorowującymi wygląd Fridy Kahlo z fotograficzną szczegółowością sąsiadują fantasmagoryczne wizje, w których Jezus Chrystus i Mahomet sąsiadują z Włodzimierzem Leninem oraz Józefem Stalinem, a uzdrowicielska moc marksizmu sprawia, że – by odwołać się do języka biblijnego – „chromy skacze jak jelen”. Pokazuje to eklektyczny świat wewnętrzny artystki, wychowanej w tradycyjnej katolickiej rodzinie, a w dorosłym życiu zaangażowanej w ruch komunistyczny. Jawnym tego dowodem jest prezentowany na ekspozycji obraz „Autoportret ze Stalinem”, powstały rok po śmierci sowieckiego dyktatora.

Inna rzecz, że Frida była w swoim oddaniu sprawie sierpa i młota zadziwiająco niekonsekwentna. Sympatia do Stalina bynajmniej nie stała jej na przeszkodzie w nawiązaniu romansu z największym przeciwnikiem „wielkiego językoznawcy” Lwem Trockim, który po ucieczce ze Związku Sowieckiego przez pewien czas gościł pod dachem Błękitnego Domu, rodzinnej posiadłości malarki, dzieląc ową przestrzeń (i wdzięki gospodyni) z mężem kochanki Diego Rivera.

JAK „GOŁĘBICA ZE SŁONIEM”

Skoro zaś przy postaci Diego Rivery jesteśmy, to warto, byśmy zapoznali się bliżej z owym dżentelmenem (choć określanie go tym słowem jest zbytnią uprzejmością), który odegrał w życiu artystki kluczową, lecz niestety głównie destrukcyjną rolę. Starszy od Fridy o 21 lat malarz początkowo był mentorem młodziutkiej dziewczyny, której podziw wobec uznanego twórcy stopniowo przerodził się w miłość. Obustronna, dodajmy – bo Diego oświadczył się Fridzie i został przyjęty, mimo że matka panny kręciła nosem, wieszcząc kłopoty („To będzie jak związek gołębiczy ze słoniem” – powiedziała). Niestety, proroctwo okazało się trafne – od chwili, gdy małżonkowie powiedzieli sobie sakramentalne „tak”, nie minął

Pasje rewolucjonistki



Łukasz Czarnecki

W krakowskim Hangarze Czyżyny oglądać można wystawę „Frida Immersive”, poświęconą jednej z najwybitniejszych artystek XX stulecia – meksykańskiej malarce Fridzie Kahlo. To nadarżająca się okazja do tego, by przybliżyć biografię i twórczość tej niezwyklej kobiety

rok, a Rivera już zaczął zdradzać żonę. Prawdziwy cios spadł na naszą bohaterkę, kiedy na jaw wyszło, że Diego miał romans nie z kim innym, jak z Cristiną, jej młodszą siostrą, najbliższą przyjaciółką i powiernicą lat dziecińczych. Wściekła artystka wyprocedowała się od męża i w geście buntu ścięła na krótko swe pyszne czarne włosy, po czym namalowała autoportret w nowej fryzurze, wysłała go niewiernemu mężowi. Ostatecznie para się pogodziła, ale dalsze lata ich związku były nie mniej burzliwe, aż w końcu zakończył się on rozwodem w 1939 r. Jednak Frida i Diego wytrzymali bez siebie zaledwie rok, po czym w roku 1940 ponownie wzięli ślub.

Życie Fridy trudno nazwać szczęśliwym. Oprócz toksycznej miłości do Rivery nękał ją chroniczny ból. Czarna seria spadających na nią nieszczęść zaczęła się, gdy jako sześciolatka zapadła na polio, a jako 18-latką padła ofiarą strasznego wypadku komunikacyjnego – autobusu, którym jechała, zderzył się z tramwajem. Obrażenia, które odniosła, były tak rozległe i poważne (kręgosłup złamany w trzech miejscach, przebita macica, a to tylko początek dłu-

giej listy), że na cud zakrawa, iż dziewczyna w ogóle przeżyła, a jeszcze większym podziwem napędza to, jak wielki wysiłek włożyła w to, by ponownie nauczyć się chodzić. Niestety, zarówno choroba, jak i wypadek odcisnęły niezatarte piętno na dalszym życiu Fridy. W przeciągu następnych 29 lat, spędzonych na tym ziemskim padole, artystka przeszła aż 35 operacji kręgosłupa mających ułatwić jej poruszanie się i wyzwolić od chronicznego bólu, który towarzyszył jej egzystencji. Niestety, nadzieje rozbudzone przez kolejnych chirurgów za każdym razem okazywały się złudne, a niektóre zabiegi wręcz pogarszały stan pacjentki. Pod koniec życia artystka poruszała się na wózku, a gdy zorganizowano pierwszą meksykańską wystawę jej twórczości, brała w niej udział, leżąc w łóżku z baldachimem. Przypieczętowanie tej drogi krzyżowej stanowiła amputacja nogi, której Frida musiała się poddać z racji ataku gangreny. Z więzienia własnego ciała wyzwoliła ją dopiero śmierć 13 lipca 1954 r. Dopiero po jej zgonie niewierny Diego zrozumiał, jak bardzo kochał żonę, i zapłakał – ujmując



Styl Fridy Kahlo mieszał realizm, surrealizm i wpływy rdzennej kultury meksykańskiej

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zapoznanie się z prezentowanymi w Hangarze Czyżyny dziełami artystki uświadamia też, jak ważną rolę w jej życiu odgrywał Diego Rivera oraz jak bardzo toksyczna była ich relacja. Temat męża i jego rozlicznych zdrad powraca raz za razem na kolejnych płótnach. Frida nie potrafiła zerwać uczuciowego łańcucha, który przykuwał ją do niewiernego Diega. Trwała przy nim wręcz z jakąś dozą sadomasochizmu, dodając tym samym do cierpień fizycznych także te natury psychicznej oraz emocjonalnej. W dzisiejszych czasach artystka trafiłaby zapewne na terapię lub do grupy wsparcia i z czasem wyzwoliłaby się spod destrukcyjnego wpływu Riverę. Niestety, w jej epoce psychologia wciąż była w powijkach, a w Meksyku prawdopodobnie o tej nowej nauce nawet nie słyszano. Wydaje się jednak, że gdyby madame Kahlo zdecydowała się na drastyczne rozwiązanie i rozwód już w momencie, gdy odkryła, iż Diego miał romans z Cristiną, jej życie mogłoby się ułożyć o wiele lepiej.

Prace, które obejrzeć można na wystawie, nie są oryginalnymi obrazami Fridy, lecz ich licencjonowanymi, wysokiej klasy reprodukcjami, odtwarzającymi płótna meksykańskiej malarki w skali 1:1. Każdemu towarzyszy tabliczka zawierająca nie tylko jego tytuł i datę powstania, lecz także okoliczności, w których został stworzony. Wędrując między stanowiskami, zapoznajemy się z kolejnymi epizodami z życia Kahlo i ich artystycznymi interpretacjami, dzięki czemu przyjmujemy jej perspektywę, co jest nadzwyczaj poruszającym doświadczeniem.

SZOKUJĄCE WRAŻENIE

Ekspozycje uzupełniają oryginalne stroje ludowe z południa Meksyku i pochodząca z tego rejonu biżuteria. Po wyjściu za Diega Frida pod wpływem męża rozkochała się w tradycyjnym meksykańskim ubiorze i zaczęła nosić barwne spódnice, bluzki oraz ciężkie naszyjniki. Na nieprzygotowanych na ten widok jej image robił szokujące wrażenie. Pewnego razu, gdy przebywali z mężem w USA, grupa bawiących się na ulicy dzieci podbiegła do nich i zapytała, gdzie rozłożył się ich cyrk! Prezentowane stroje dają wyobrażenie o genezie stylu madame Kahlo. Ciekawie prezentuje się również biżuteria i choć te konkretne eksponaty nigdy nie wisiały na

szy artystki, to można przypuszczać, że przypadłyby jej do gustu. Niestety, oryginalne ozdoby Fridy zostały rozkradzione, i to jeszcze w tym samym dniu, w którym umarła! Jak widać, nie każda pomoc domowa zasługuje na zaufanie.

Zwieńczeniem wystawy jest dział prezentujący wpływ meksykańskiej malarki na sztukę polską datujący się od roku 1955, kiedy to Warszawę i Kraków odwiedziła wielka wystawa sztuki meksykańskiej odbywającej właśnie tournée po krajach mających nieszczęście znaleźć się po wschodniej stronie żelaznej kurtyny. Wśród eksponowanych prac znalazły się również płótna Fridy Kahlo, w tym „Zraniony stół”, który wtedy widziany był po raz ostatni, ponieważ po opuszczeniu Polski obraz dosłownie...wyparował. Jego zniknięcie jest jedną z największych zagadek w XX-wiecznej historii sztuki i stanowi temat godny co najmniej jednej powieści sensacyjnej bądź hollywoodzkiej superprodukcji. Osobiście przypusz-

Być może obraz „Zraniony stół” wisi w dacy jakiegoś powiązanego z dawnym KGB rosyjskiego oligarchy

czam, że bezcenne dzieło wisi w dacy jakiegoś powiązanego z dawnym KGB rosyjskiego oligarchy. Jak wiadomo, Moskal ukradnie wszystko, co nie jest przyśrubowane do ziemi, a i w takim przypadku nie odpuszcza.

„Frida Immersive” jest bez wątpienia jedną z ciekawszych propozycji na kulturalnej mapie Krakowa. Dlatego warto wybrać się do Hangaru Czyżyny, by w niekonwencjonalny sposób zapoznać się bliżej z jedną z najważniejszych kobiecych i artystycznych ikon XX w. Wybory polityczne madame Kahlo mogą irytować, ale nie ona jedna spośród twórczej braci swoich czasów uległa złudnemu urokowi komunizmu. Niezależnie jednak od naszej oceny zaangażowania malarki w ruch marksistowski trudno nie podziwiać damy, która mimo ciągłych cierpień fizycznych i psychicznych do ostatniej chwili kierowała się mottem: „Viva la vida!” („Żyj życiem!”).

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wiosna pisarzy



Błażej Torański

Spór autorki „Chłopek” z jej wydawcą obnaża systemowy problem rynku książki w Polsce. Czy debata, której dotychczas nie było, doprowadzi do zmian?

W połowie marca Joanna Kuciel-Frydryszak, autorka „Chłopek” – fenomenu wydawniczego ostatnich dekad (ponad 500 tys. sprzedanych egzemplarzy!) – zagroziła sądem swemu wydawcy – Marginesom. „Wielkie korzyści, które osiągnęło wydawnictwo Marginesy, są nieproporcjonalnie wysokie względem mojego wynagrodzenia. Dlatego zamierzam skorzystać ze znowelizowanego ostatnio art. 44 prawa autorskiego, czyli tzw. klauzuli bestsellerowej, która zakłada, że »w przypadku gdy wynagrodzenie twórcy jest niewspółmiernie niskie w stosunku do korzyści nabywcy autorskich praw majątkowych lub licencjobiorcy, twórca może żądać stosownego podwyższenia wynagrodzenia przez sąd«” – napisała na Instagramie.

Riposta Marginesów była błyskawiczna: wypełniamy wszystkie zapisy wynikające z umowy na „Chłopki”. „Od sierpnia 2024 r. prowadzimy rozmowy na temat podwyższenia jej wynagrodzenia. Wydawnictwo Marginesy przedstawiło autorce różne rozwiązania gratyfikacji finansowej wynikające z sukcesu rynkowego książki, plasujące się znacznie ponad normami rynkowymi [...]. Wyrok w tej sprawie może stać się istotnym precedensem dla całej branży wydawniczej i wyznaczyć kierunek dla przyszłych rozwiązań w tego typu sporach”.

REWOLUCJA NA BAGNIE

Słowo przeciwko słowu. Ale czy będzie pozew? Czy dojdzie do procesu? Jaką umowę podpisała autorka „Chłopek”? Jak wyglądała negocjacje? Na te pytania nie ma odpowiedzi, bo wydawcy od lat narzucają pisarzom w umowach klauzulę poufności, która knebluje usta. Tylko pisarze z bardzo silną pozycją rynkową, jak Szczepan Twardoch, odważają się omijać te zakazy i ujawniają konkretne liczby jako wskazówki, jak należy czytać umowy wydawnicze. Jedno jest pewne: ewentualny proces będzie testem dla nowego przepisu, klauzuli bestsellerowej, o niewspółmierności wynagrodzenia i korzyści.

Konflikt autorki z wydawcą wyzwolił jednak demony. W sieci pojawiła się fala nienawiści. Przeciwko pisarzom i wydawcom. „Chłopska chciwość”. „Wiosna pisarzy”. „Bunt autorów”. „Strajk”. „Począ-

tek lawiny”. „Przymieranie głodem jako sztandarowa pisarska tradycja”. „Pisarz musi być przedsiębiorcą, a nie czekać na natchnienie”. „Mogła wiedzieć, co podpisywała”. „Musicie szanować wcześniej ustalone zasady gry”.

Osoby zawodowo zajmujące się pisaniem, poza wyjątkami, solidarnie poparły Joannę Kuciel-Frydryszak, nazywając ją „cichą rewolucjonistką”. „Zasługuje na premię”. Kolejny etap publicznej dysputy zdominowały argumenty, że wbrew pozorom nie tylko o kasę chodzi, lecz także o godność zawodu pisarza. Potwierdziła to Joanna Kuciel-Frydryszak: „Zdecydowałam się na tak mocny krok nie wyłącznie z powodu pieniędzy, ale by zwrócić uwagę na niską pozycję pisarek i pisarzy w Polsce. Chciałabym, i to się już dzieje, aby moja sytuacja – przecież nietypowa – była pretekstem do szerokiej społecznej dyskusji o konieczności zmian systemowych, które dotyczą większości pisarzy – ubezpieczeń, ceny książki, przejrzystości danych i umów, z których niekorzystne zapisy powinny zniknąć raz na zawsze, w tym klauzula poufności, która pomaga utrwać patologię”.

Kolejni pisarze zwierniają się ze swoich doświadczeń. Ujawniają, ile zarabiają na literaturze i jakie są ich relacje z wydawcami.

Dorota Kotas, pisarka, laureatka Nagrody Literackiej Gdynia i Nagrody Conrada (dla Onetu): „Żyję za ok. 666 zł miesięcznie”. „Szczepie mówiąc, więcej zarabiam na Vinted, sprzedając tam

swoje stare ubrania. Albo znajdując na śmietniku różne stare meble i wystawiając je na olx. Nieustannie wymyślam sprytnie sposoby na to, jak obniżyć swoje koszty życia”.

Pisarz, poeta (prosi o niepodawanie nazwiska): „Od zawsze w tej branży czułem się jak kupa pociągana kijem w przerebłu – która się musi ratować a to terapią, a to alkoholem, a to bogowie wiedzą, czym jeszcze”.

Michał Rzeźnik, autor książki „Piotr Rzeźnik – zdrajca z Izbicy”: „W kontakcie z topowymi wydawcami poczułem, że w zasadzie mają mnie w części ciała na jachtach zwanej rufą”.

Kilka przykładów, jak wydawcy traktują autorów:

– autor ma przedłużyć prawa do książki na pięć lat, w zamian za 1 proc. więcej. Podpisuje aneks, głupi, nie czytając go. W aneksie zaś: prawa do książki oddane na 6,5 roku i ani słowa o jednym procencie więcej;

– autor jedzie na spotkanie autorskie za granicę i chce zwrotu poniesionych kosztów za benzynę, 80 euro. Żeby dostać ten zwrot, musi podać godzinę rozpoczęcia podróży, godzinę przekroczenia granicy, godzinę dotarcia na miejsce i przesłać akt własności samochodu do wydawnictwa;

– autor dostaje stypendium na napisanie książki, dowiaduje się o tym wydawca i żąda, by aneksować umowę i pomniejszyć zaliczkę z tytułu otrzymania przez autora stypendium;



Joanna Kuciel-Frydryszak, autorka „Chłopek”

FOT. RAFAŁ GUZ/PAF

– zaliczki dla debiutanta w wysokości 4,7 tys. zł za napisanie książki reporterskiej (2024).

Zygmunt Miłoszewski (dla „Gazety Wyborczej”): „Rynek książki to bagno”. Dyrektor ArtRage Michał Michalski w podcaście „Wcale nie podcast/Wszystko, co jest nie tak z polskim rynkiem książki”, na pytanie „Co jest pięknego w polskim rynku wydawniczym?” odpowiada: „To, że jesteście ru...any na każdym możliwym etapie”. Stowarzyszenie Unia Literacka: „Spór Joanny Kuciel-Frydryszak z wydawcą [...] uważamy za czubek góry lodowej czy też papierki lakmusowej pozycji osób piszących wobec wydawców, dystrybutorów i całego rynku”.

Szczepan Twardoch na Facebooku: „Każdego poważnego wydawcę stać na zapłaceniu nam 10 proc. od okładowej. Po prostu nie chce tego zrobić, bo chce zarobić więcej, w końcu prowadzi biznes. Ale stać go. Jeśli wasz wydawca twierdzi inaczej, to albo mija się z prawdą, albo nie jest poważnym wydawcą”.

CZYJ SUKCES?

Wydawcy wypowiadają się rzadziej. Kij w mrowisko włożyła jednak Ewa Wieleżyńska, szefowa wydawnictwa Filtry (w wypowiedzi dla Gazeta.pl): „Rynek książki jest patologiczny, ale nie dlatego, że wydawcy systemowo oszukują pisarzy. Jeśli ktoś uchybił, to pokażmy te gangsterskie zapisy, a nie mówmy, że wszyscy wydawcy to złodzieje”. Błyskawicznie odpowiedział jej Jacek Dehnel, prezes

Stowarzyszenia Unia Literacka: „Doskonale sobie zdaje sprawę, że nie możemy ujawniać zapisów umowy, ponieważ wydawcy narzucają klauzulę tajności”.

Karolina Głowacka, Radio Naukowe, Wydawnictwo RN: „W naszym modelu, gdyby któraś z książek powtórzyła sukces »Chłopek«, autor/autorka zarobiłby/zaarobiłaby kilka milionów złotych”.

Mój wydawca, redaktor naczelny Prószyński Media, Michał Nalewski, powiada, że napisanie książki „jest kosmosem”. Doskonale wie, że bez pisarza i jego książki nie ma rynku. Tymczasem Marginesy wyliczają, jak wiele zawdzięczają im „Chłopki”: „Jesteśmy dumni, że dzięki naszemu wieloletniemu doświadczeniu rynkowemu zapewniliśmy książce należytą promocję, dystrybucję i wsparcie marketingowe, które przełożyły się na tak wysoką sprzedaż [...]”. Z satysfakcją przyjmujemy, że ryzyko poniesione przez Wydawnictwo Marginesy przewyższyło pierwotne założenia sprzedażowe [...]. Na sukces wydawniczy składają się również redakcja, korekta, projekt okładki, druk, logistyka, kanały dystrybucji i szeroko zakrojona kampania promocyjna.

Investujemy znaczne środki finansowe w każdy tytuł, współpracując z najlepszymi specjalistami i artystami na rynku [...]”. Jakby nie było w tym... autorki (sic!). Jedynie pół zdania mówi o „zaangażowaniu i talencie” Joanny Kuciel-Frydryszak.

Ale jest coś znacznie ważniejszego: nikt nie przewidział takiego sukcesu wydawniczego. Nikt na polskim rynku wydawniczym nie ma recepty na bestseller.

Skalę wysiłku autorki może prawdziwie docenić tylko inna pisarka. Małgorzata Rejmer, laureatka Paszportu „Polityki” i Nagrody Kościelskich, o „Chłopkach”: „Znakomita książka”.

Renata Lis: „Zarówno autorka, jak i wydawca mają w tym sukcesie swój udział. Udział Joanny jest oczywisty i ofiarnie promuje, objeżdżając cały kraj. Ale przecież nie byłoby »Chłopek« na rynku bez struktury, jaką jest wydawnictwo, i wszystkich poniesionych przez wydawcę nakładów, wykraczających daleko poza goły koszt produkcji. Organizacja produkcji, promocja i reklama, magazyn i dystrybucja oraz ogólnie obsługa bestsellera to też jest praca”.

Barbara Sadurska, pisarka i prawniczka Unii Literackiej: „Skóra mi cierpnie,

gdy czytam w Internecie, że wydawca zainwestował w książkę »prawdziwe pieniądze« i jeśli będzie kłapa, to on poniesie stratę, a autora co najwyżej będzie »bolało serduszko«. Otóż, proszę państwa, autor też wiele zainwestował i wiele może stracić [...]”.

Gołym okiem widać, że problem nie jest indywidualny, nie dotyczy wyłącznie autorki „Chłopek”, ale jest systemowy. Nierówny podział zysków dotyczy wszystkich pisarzy w Polsce. Dowodzi jednak, jak bardzo uważnie pisarze muszą czytać umowy wydawnicze. Zwracać uwagę na to, ile wynosi wynagrodzenie. Czy jest ono liczone od ceny okładowej czy od ceny zbytu? Jest ryczałtowe czy procentowe? Jeżeli jest określone procentowo, to więcej sprzedanych egzemplarzy oznacza więcej pieniędzy dla pisarza.

Barbara Sadurska w imieniu Unii Literackiej: „Autorzy doskonale zdają sobie sprawę z tego, w jakich warunkach rynkowych pracują ich wydawcy. To oni są naszymi reprezentantami. Dlatego apelujemy, żeby reprezentowali nas godnie”.

GROSZE I MILIONY

Czy debata, której dotychczas nie było, doprowadzi do zmian na rynku książki? Życie nie znosi próżni. Wydawnictwo Jakuba Żulczyka i Juliusza Strachoty Newhomers, które właśnie pojawiło się na rynku, opublikowało ogłoszenie o pracę. Szuka pisarzy i oferuje połowę zysków ze sprzedaży książek oraz wypłatę tantiem co miesiąc. „Nasze główne zasady to uczciwość i transparentność. Chcemy budować relacje oparte na jasnych zasadach współpracy i wspólnym sukcesie” – zapewniają.

Niezależna infografika z raportu „Jeszcze książka nie zginęła”, powstałego na zlecenie Instytutu Książki, pokazuje, że przychód autorki i autora z jej/jego książki mającej na okładce cenę 57 zł 50 gr wynosi 2 zł 87 gr.

Barbara Sadurska: „Gdybym miała wydawnictwo, to kogoś takiego, kto sprzedaje książkę w nakładzie pół miliona, nosiłabym na rękach”.

Jakub Żulczyk nie ma wątpliwości: „Uczciwym zarobkiem przy umowie wydawniczej, przy sprzedaży 500 tys. egzemplarzy, jest moim zdaniem 5 mln zł”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Gniew Boga



Piotr Gociek

Biblijna fantasy o upadku króla Saula i wyniesieniu Dawida to pierwsze dzieło nowego chrześcijańskiego studia Wonder Project

Wtedy wystąpił z obozu filistyńskiego pewien harcownik imieniem Goliat, pochodzący z Gat. Był wysoki na sześć łokci i jedną piędź” – czytamy w Księdze Samuela. Goliat urgał Izraelitom i wezwał ich: „Wybierzcie spośród siebie człowieka, który by przeciwko mnie wystąpił. Jeżeli zdoła ze mną walczyć i pokona mnie, staniami się waszymi niewolnikami, jeżeli zaś ja zdołam go zwyciężyć, wy będziecie naszymi niewolnikami i służyć

nam będziecie”. Naprzeciwko potężnego Goliata staje drobny procarz Dawid. Wiemy, jak skończy się ta historia. Ale czy pamiętamy ją w całości?

Dzięki serialowi „Dom Dawida” („House Of David”, 2025 r. – do obejrzenia w Amazonie) trafiamy do czasów o tysiąc lat poprzedzających narodziny Chrystusa. Rzec można, że to „Izraela dzieje bajeczne”. Wspomniany Saul to pierwszy król zjednoczonych plemion żydowskich. Dawid – skromny pasterz pięknie

grający na harfie, najmłodszy z synów Jessego Betlejemity, namaszczony przez proroka Samuela na przyszłego władcę Izraela. Pyszny król Saul zawiódł bowiem i proroka, i Boga, grzesząc nieposłuszeństwem. Wtedy usłyszał: „Pan odebrał ci dziś królestwo izraelskie, a powierzył je komu innemu, lepszemu od ciebie”.

HITY DLA CHRZEŚCIJAN

Nowa produkcja biblijna to dzieło powołanego dwa lata temu do życia studia Wonder Project, które założyła grupa twórców wywodzących się z kręgu niezależnych producentów coraz popularniejszych christian movies – ale nie tylko stamtąd. Na przykład jednym z założycieli była Kelly Hoogstraten, wcześniej dyrektor zarządzająca Netflix, która pracowała też dla YouTube. „Celem Wonder Project jest zbudowanie zaufanej marki, która będzie służyć szerokiej, ale niedostatecznie dostrzeganej publiczności, opowiadając odważne historie przywracające wiarę w rzeczy, w które warto wierzyć” – czytamy na stronie internetowej Wonder Project.

Najważniejszą figurą nowego studia jest Jon Erwin, który wcześniej wraz z bratem założył Kingdom Story Company. Bracia Erwinowie nakręcili i wyprodukowali kilka hitów dla chrześcijańskiej widowni: „Kaźde życie jest cudem” („October Baby”, 2011), „Dotknij nieba” („I Can Only Imagine”, 2018) czy „Wierzę w Ciebie” („I Still Believe”, 2020). Dwa lata temu niespodziewanym przebojem w amerykańskich kinach był film „Jesús Revolution” (2023) nakręcony przez Jona Erwina i Brenta McCorkle’a (o kontrkulturowym Jesus Movement powstałym w latach 60.). A rok temu – film „Aniołowie są wśród nas” („Ordinary Angels”, 2024), wyreżyserowany przez Jona Gunna, a wyprodukowany przez braci Erwin.

To właśnie Jon Erwin jest głównym pomysłodawcą serialu „Dom Dawida”. Liczy osiem odcinków, których akcja obejmuje łącznie mniej więcej rok – od złamania Bożych nakazów przez króla Saula do bitwy z Filistynami, podczas której dojdzie do pojedynku Dawida z Goliatem. Początkowo miała to być produkcja finansowana ze skromnych środków własnych oraz przez crowdfunding i dystrybuowana niezależnie. Ale światowy sukces serialu „The Chosen.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wybrani” sprawił, że giganci streamingu zaczęli się rozglądać za podobnymi projektami. Netflix zamówił współczesny serial na motywach biblijnej Księgi Rut u duetu Tyler Perry i DeVon Franklin. Z kolei Amazon podpisał umowę o współpracy właśnie z Wonder Project. Nie oznaczało to jednak, że nowe studio będzie miało nagle do dyspozycji miliardowe budżety. Taki był wybór właścicieli Wonder Project: woleli mniejsze pieniądze, ale większą niezależność i kontrolę nad produkcjami. A „Dom Dawida” stał się pierwszą okazją do współpracy.

WIĘCEJ ZA MNIEJ

Twórcy christian movies, funkcjonujący dotąd na obrzeżach Hollywood, musieli nauczyć się w tym czasie trudnej sztuki robienia więcej za mniej. Jon Erwin pokazuje w „Domu Dawida”, że potrafi mądrze wydawać pieniądze. Serial kręcono głównie w Grecji, kilkadziesiąt kilometrów na południe od Aten, gdzie malownicze krajobrazy gmin wschodniej Attyki (Saronikos i Lawreotiki) z powodzeniem udawały Ziemię Świętą. Ekipa zainstalowała się też w Epirze, szukając pejzaży górskich. Wstydu nie ma – realizacyjnie dzieło Jona Erwina sytuuje się na tej samej półce co popularne seriale „Upadek królestwa” czy „Brytania”.

Wcześniejsze ekranizacje opowieści o królu Dawidzie wsparte były na hollywoodzkich gwiazdach. U Bruce’a Beresforda („King David”, 1985) Dawida grał Richard Gere. W europejsko-amerykańskiej telewizyjnej koprodukcji dla TNT („David”, 1997) królem Saulem był Jonathan Pryce, a prorokiem Samuelem – Leonard Nimoy.

U Erwina w „Domu Dawida” dostajemy w większości nieograne dotąd twarze

(przynajmniej dla światowej widowni; spora część obsady znana doskonale jest natomiast widowni izraelskiej). Michael Iskander sprawdza się jako Dawid, a Indy Lewis (to akurat Brytyjka) jako Mikal, córka Saula. Ali Suliman gra Saula, Ayelet Zurer, popularna aktorka izraelska – jego żonę. Prorokiem Samuelem został Stephen Lang, którego pamiętamy jako złowrogięgo płk. Quaritcha w „Avatarze” Jamesa Camerona. Dobrze wypadają postacie z drugiego planu: żądny zemsty król Filistynów, starsi bracia Dawida czy nawet królewski specjalista od tortur i szpiegostwa.

Twórcy „Domu Dawida” sprytnie łączą opowieść ze Starego Testamentu i popkulturowe przyzwyczajenia współczesnego widza. Narratorka, córka króla Saula, wprowadza nas w akcję niczym Galadriela w prologu do „Władcy Pierścieni”. Żona króla Saula zmienia się na naszych oczach niemal w lady Makbet, a prorok Samuel przypomina mądrego czarodzieja Merlina. Niewinni padają ofiarą łotrów zachowujących się, jakby ich żywem wyjęto z kart „Gry o tron”, wątek plemienia gigantów przenosi nas w krainę fantasy, nie brak knoń politycznych i rodzinnych waśni. Nie uniknięto pewnej koturnowości, można podśmiewać się z nadmiernie cukierkowych efektów komputerowych (od cyfrowego lwa do tła), ale wszystko to pasuje do ducha opowieści. Serial podzielił krytyków – jednym się podoobało, inni narzekali na nudę lub efekty specjalne – ale publiczności przypadł do gustu. Amazon już ogłosił, że zamawia



„DOM DAWIDA”
NETFLIX 2025

drugi sezon, który ma ukazywać drogę Dawida do tronu Izraela.

Owa biblijna fantasy to opowieść starotestamentowa, Bóg Samuela i Saula jest więc wymagający i bezlitosny. W sercu opowiadanej historii jest napomnienie, by nigdy nie przedkładać własnych planów ponad plany Boże. Lekcja jest oczywista w przypadku króla Saula, który zaczął stawiać pomniki nie ku sławie Pana,

lecz własnej (i swego rodu), ale przecież targany wątpliwościami Dawid też nie ma pojęcia, dlaczego właściwie siła wyższa miałaby wobec niego jakieś specjalne zamiary. W równym stopniu dotyczy to braci Dawida i jego ojca, którzy mają kłopot z zaakceptowaniem przepowiedni Samuela. Jest i dyskretne nawiązanie do współczesnych powinności mieszkańców Izraela – gdy słyszymy, że w koalicji Filistynów, którą trzeba pokonać, biorą udział także żołnierze z Gazy.

W przedostatnim odcinku prorok Samuel mówi wprost: nie powinniśmy zastanawiać się nad tym, czy Bóg jest po naszej stronie, lecz czy to my jesteśmy po stronie Boga. Studio Wonder Project zaczyna od sukcesu i ma przed sobą przyszłość, jednak według badań Pew Research wciąż ponad 65 proc. widzów w USA identyfikuje się jako chrześcijanie, tymczasem skierowana do nich oferta jest nader skromna. A gdyby ktoś był ciekaw poprzednich projektów braci Erwin, to znaleźć je można w Polsce w streamingu, przede wszystkim w serwisach Katoflix i RafaelKino.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Radio nr 1 w Polsce

RMF NAJLEPSZA
MUZYKA



FOT. 20TH CENTURY FOX LICENSING/MERCHANDISING/EVERETT COLLECTION/EAST NEWS



PIOTR GOCIEK

POŻEGNANIE

Bohater nieoczywisty

Najbardziej pamiętają go reżyserzy, z którymi nieustannie się kłócił. Bywał wielki, ale bywał też nie do zniesienia. Dzięki roli w „Top Gun” u boku Toma Cruise’a stał się gwiazdą lat 80. Potem został symbolem (na dobre i na złe) kina lat 90. – Jim Morrison w „The Doors”, Batman w „Batman Forever”, Simon Templar w „Świętym”.

Kiedy był w formie – dorównywał najlepszym. Jako Doc Holiday w „Tombstone” przebijał w roli karciarza rewolwerowca wszystkich innych odtwórców tej postaci. W debiutanckim „Top Secret” był przeżabawny. W „Gorączce” nie wypadł gorzej od Ala Pacino i Roberta De Niro. Jego idolem był Marlon Brando, ale gdy spotkali się na planie filmu „Wyspa doktora Moreau”, skończyło się to katastrofą (załamaniem nerwowym

reżysera i potężnymi kłopotami samej produkcji). Kiedy nie był w formie – rozmieniał się na drobne; konia z rzędem temu, kto pamięta wszystkie filmy i filmiki po roku 2000. Ale gdy trafiał na mądrego reżysera, znów rozkwitał – w filmie Coppoli „Twist” był świetny jak za dawnych lat.

Jego biografowie odnotowują, że gdy przychodziło mu wybrać między rolą trudną i nieoczywistą a bezpieczną i wysokopłatną, zwykle wybierał tę pierwszą. Za młodu chorobliwie nieśmiały, potem pożerał serc niewieścich. Jego brat opowiadał, że Val miał kłopoty ze związkami, bo nie miał się od kogo nauczyć, jak powinny wyglądać.

„Przytłaczają mnie zmartwienia i fizyczny ból” – wyznawał w autobiografii „I’m Your Huckleberry”, wydanej w roku 2015. Był już

w piątym roku walki z rakiem gardła. Opowiadał o tym, że znów się modli. Nie porzucił nadziei. „Piszę dla ulgi. Piszę dla uzdrowienia. Piszę, aby spojrzeć na przeszłość wyraźniej i umieścić się mocno w centrum Miłości”, „[...] piszę, ponieważ dobrze jest dzielić się ze światem tym, czym świat podzielił się ze mną”. Po operacji nie mógł mówić. „Jestem gawędziarzem, któremu odebrano podstawowe narzędzie pracy” – zapisał w pamiętnikach.

Ostatnia rola to powrót do postaci Iceman w filmie „Top Gun: Maverick”; głos Kilmera trzeba było wspomagać cyfrowymi sztuczkami. Ten sam głos, który w „Księżu Egiptu” był głosem Mojżesza i głosem Boga. Okrutny żart losu. Val Kilmer zmarł 1 kwietnia 2025 r. na zapalenie płuc. Miał 65 lat. ©

GRA TYGODNIA: „XENONBLADE CHRONICLES X: DEFINITIVE EDITION”

Nintendo zaprezentowało niedawno następcę Nintendo Switch. Rewolucji nie będzie, raczej rozwinięcie bardzo udanego konceptu (Switch to jedna z najlepiej sprzedających się konsol w historii). To m.in. lepsza specyfikacja, większe rozmiary i nowe funkcje.

Ekran, choć jest dużo lepszy i większy, to niestety LCD, a nie OLED. Pierwszy Switch żegna się mocnym akcentem – remasterem hitu z Wii U. Gra wyciska wszystkie soki z NS, przynosi nową zawartość fabularną, świetną eksplorację i wiele więcej. Jeśli wasze



FOT. MATERIAL TRASSONE

★★★★★

konsole zaczęły zbierać kurz, to jest powód, by go zdmuchnąć. ©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** RPG, TPP
- **Platforma:** Nintendo Switch
- **Producent, dystrybutor:** Monolith Soft; Nintendo (PL: ConQuest)

Belgijska hańba

Ostatni sprawiedliwy kontra system. Moda na takie filmy trwa od półwiecza i nic nie wskazuje, by miała kiedyś minąć. W PRL zarządzający kinematografią latami zwlekali ze sprowadzaniem hollywoodzkich przebojów, ale import filmów demaskujących moralną nicość Ameryki kwitł w najlepsze. Nikomu nie przyszło do głowy, że widzowie pod wrażeniem fabuł rodem ze zgniłego Zachodu mogą się zainteresować stanem socjalistycznej praworządności. Zmiana ustroju sprawiła, że nawet największym idealistom spadły łuski oczu: nasza policja, prokuratura oraz sądy okazały się równie nieudolne i skorumpowane jak we włoskim serialu „Ośmiornica”. Na zegarze historii wybiła godzina Franza Maurera i Olgierda Halskiego.

„Operacja Maldoror” otwarcie nawiązuje do pedofilskiej afery, która pod koniec XX w. wstrząsnęła Belgią. Potwór z Charleroi, czyli Marc Dutroux, nazywa się tu inaczej, fikcyjną postacią jest również młody żandarm Paul, który obsesyjnie próbuje wyjaśnić sprawę zaginięcia dwóch dziewczynek. Tytułowa



★★★★★
REŻ. FABRICE DU WELZ
„OPERACJA MALDOROR” („MALDOROR”)
BELGIA 2024

wyst. Anthony Bajon, Alba Gaia Bellugi, Alexis Manenti

operacja ma polegać na obserwacji podejrzanych, jednak nasz bohater jest w gorącej wodzie kąpany. Mówiąc wprost: to furia. Na domiar złego cierpi na nieuleczalną skłonność do lekceważenia poleceń zwierzchników i naruszania procedur.

Akcja długo się rozpędza, ohydnie mentalnej towarzyszy odstręcająca stylówka. Zdarzają się sceny, które u co wrażliwszych widzów film mogą wywołać odruchy wymiotne. Cóż, Fabrice Du Welz zawsze lubił taką estetykę. Z ekranu padają szydercze słowa o „typowo belgijskiej historii”. Nawet emigranci z Sycylii są zdegradowani niedołęstwem organów ścigania. Przestępcy są nietykali, jako że w centrum UE powstała „sieć”, która oplotła wymiar sprawiedliwości tudzież elitę biznesu i świata polityki. Sądząc z medialnych

doniesień, ta diagnoza jest nadal aktualna, tyle że erotomanów zwyrodnialców zastąpili handlarze narkotyków. Nikomu nie odbieram prawa do przypomniania skandali sprzed 30 lat. Oczekuję jednak, że Du Welz pokaże teraz, jaki z niego kozak, i równie bezkompromisowo sportretuje brukselskie kręgi islamskich fanatyków albo sprzedajnych eurokratów. Do dzieła, panie reżyserze! ©©

Wiesław Chelminiak

SMUTEK I ZAMĘT

Propozycja dla tych, którzy chcą uczcić Rok Wojciecha Jerzego Hasa, lecz nie mają czasu na obcowanie z „Rękopisem znalezionym w Saragossie”. Filmowa adaptacja „Pożegnań” Stanisława Dygata opiewa tylko na 97 minut i traktuje o czasach przełomu. II RP umiera, rodzi się Polska Ludowa. Has przekierował rozliczeniową, gombrowiczowską z ducha prozę przyjaciela do krainy melancholii. Wypełniona dziełami sztuki willa w Podkowie Leśnej, w której koczują krewni i znajomi hrabiego Bęc-Walskiego, to Titanic. Panicz Paweł nie jest człowiekiem czynu, jednak utonąć nie chce. Zwłaszcza że w jednej z dam rozpoznał przedwojenną znajomą – fordanserkę. Sława Przybylska śpiewa o jesieni, a „monumentalne zwłoki Warszawy” zniechęcają do kontynuowania desperackiej walki o suwerenność. Dziwię się ludziom, którzy wolą „Popiół i diament”. ©©



★★★★★
REŻ. WOJCIECH JERZY HAS
„POŻEGNANIA”
POLSKA 1958

wyst. Tadeusz Janczar, Maria Wachowiak, Gustaw Holoubek

35mm >

DO ZOBACZENIA

Made in Ghetto



RADOSŁAW WOJTAS

GDZIE? Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi
KIEDY? do 1 lutego 2026 r.

Chaim Rumkowski, przełożony Starszeństwa Żydów w Łodzi, wierzył, że „jedyną drogą do przetrwania jest praca”. Łódzkie getto pracowało więc pełną parą, wytwarzając – zgodnie z tradycją miasta – głównie tekstylia. Z getta wyjeżdżały mundury dla armii oraz odzież dla niemieckich obywateli. Była to w szczególności konfekcja: sukienki, płaszcze, kostiumy i bielizna. A także luksusowe



FOT. CENTRALNE MUZEUM WŁÓKIENICTWA

dotatki: kapelusze, torebki, buty, galanteria skórzana, pasmanteria. Na zlecenie Rumkowskiego powstawały albumy, które prezen-

towały wysiłek robotników i miały udowadniać pożyteczność rzemieślników artystów z getta. Temu służyły ekspozycje tak dekoracyjne, jakby nie tworzone ich w ponurych czasach w środku piekła, ale w domach towarowych wolnego Paryża. Tak próbowano wykreować markę getta.

O tym wszystkim opowiada wystawa „System mody. Ubrania w strategiach przemocy i taktykach przetrwania w getcie łódzkim”. ©©

MOJA PÓŁKA

Wyjątkowe narzędzie pisarskie

KRZYSZTOF
MAŚŁOŃ

Ponad 20 lat temu zadebiutował Mariusz Maślanka powieścią „Bidul”, poruszającą historią chłopca dorastającego w domu dziecka. Książka wzbudziła zainteresowanie, także ze względu na zawarte w niej wątki autobiograficzne. Później autor wróci do postaci swojego dziecięcego bohatera w powieści „Jutro będzie lepiej”. W jego pisarstwie zawsze zresztą obecne będzie dziecko szukające bezpieczeństwa i miłości, odrzucone, nieszczęśliwe, przez dorosłych krzywdzone lub w najlepszym razie lekceważone. Jeśli coś mogło niepokoić w kolejnych wydawanych przez niego książkach (m.in. „Kroki” i „Na imię mam Jestem”), to pewien schematyzm w nie wpisany i niekiedy zbyt brutalizm w naturalistycznym ukazywaniu zła tego świata.

Pod tym względem „Chłopiec, który łowił uchem” nie odstaje od poprzednich tytułów Maślanki, a nawet je przewyższa. Autor przedstawia nam istne panoptikum żalosnych w gruncie rzeczy postaci, ograniczonych, pazernych, wulgarnych. Jeśli nawet ktoś tu pod jakimkolwiek względem odstaje od szablonu, jak wujek 13-letniego Kacpra, bohatera i zarazem narratora powieści, to, niestety, okazuje się alkoholikiem, i to tak zatwardziałym, że nie chce się wierzyć, by w jego wypadku cokolwiek pomógł odwyk, na który niechętnie, bo niechętnie, ale daje się w końcu namówić.

Warto jednak zaufać specjalistom – usiłuje przekonać czytelników, a – jak się zdaje – i siebie Mariusz Maślanka. Oto mieszkający w Łysokurach dziadek bohatera, przez ojca Kacpra nazywany „pisowskim dzbanem i ciurmoikiem”, który „w publicznej telewizji ogląda pisowską propagandę nienawiści skłócającą nasz naród” (rzecz dzieje się między czerwcem a sierpniem 2023 r.), a Tuska wyzywa od „oszukistów”, zmienia się, i to diametralnie pod wpływem – uwaga – „młodej i mądrej psycholog z Kielc”. I to ona temu doświadczonemu, a i byłemu w świecie 60-letniemu mężczyźnie, skądinąd obsesyjnie gustującemu w miłości francuskiej, uświadamia, że „to jest niepojęte, żeby praktykujący katolik miał w sobie tyle nienawiści”. „Psiajucha – powiada dziadek – jak na jesieni pójde na wybory, to na pewno nie zagłosuję na tych, na których dotychczas głosowałem. Bo, psiajucha, miałeś rację – zwraca się do zięcia, ojca Kacpra, stałego uczestnika manifestacji antyrządowych, które nazywał »manifestacjami antypisierskimi« – że... Zi zynd Hurrapatrioty und Dibe. Zi haben miß getojszt... Ech, psiajucha, w sumie to chyba wszyscy politycy to podszczuwacze, oszukiści i złodzieje, ale na wybory trzeba chodzić i kogoś wybrać z tego parszywego zestawu, bo może w tym zestawie trafi się jakaś uczciwa perełka”. Z dużą dozą prawdopodobieństwa przewidywać można, że przywróci

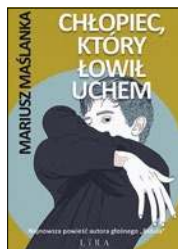


FOT. MARIUSZ MAŚLANKA/FACEBOOK

zagłosuje w tej sytuacji na Trzecią Drogę.

Tytułowy bohater nowej powieści Maślanki ma tylko i aż 13 lat. I to, że dla niego polityka to jedna ściema i nuda, nie dziwi wcale. A że postrzega w niej „same wrzeszczące stare dziady i stare babsztyły”, to dowodzi jedynie jego bystrości. I niechby sobie nadal nagrywał smartfonem kłótnie rozpolitykowanych dorosłych, ale ni z tego, ni z owego pod sam koniec książki, zapewne pod wpływem przemiany zaszłej w dziadku, postanawia i on zmienić coś w życiu i nawet obiecuje temuż dziadkowi, że pójdzie do kościoła i poprosi Boga o poprawę relacji z tatą. Kacper uważa się wprawdzie, wzorem ojca, za ateistę („nie wierz w bajki o Bogu, bo Bóg to pustka”), ale postanawia uczynić to ustępstwo, tyle że na ofiarę nie da ani grosza. Jeszcze czego! Wujek alkoholik, a także artysta też kiedyś rzeźbił Jana Pawła II, ale odkąd dowiedział się, że ten polski papież tuszował pedofilię i bronił księży pedofilów, już tego nie robi.

Kacperek, jak widzimy, dorosłeje, przymierza się do czekającej go, a niecierpliwie wyczekiwananej inicjacji seksualnej (najprawdopodobniej z hożą Ukrainką), a choć kończy już pisanie e-maili do swojej zmarłej na COVID mamy (bo to one składają się na tę książkę), to zamierza dalej opisywać swe fascynujące życie w formie bloga. Niewykluczone więc, że „Chłopiec, który łowił uchem” mieć będzie swą kontynuację. Czy będzie dalej podsłuchiwał rzeczywistość, wszystko jedno – uchem czy smartfonem, tego nie wiem. Mam za to powody, by przypuszczać, czym napisze tę swoją następną książkę Mariusz Maślanka. Otóż tym samym. ©



★★★★★

MARIUSZ
MAŚLANKA„CHŁOPIEC,
KTÓRY ŁOVIŁ
UCHEM”LIRA, WARSZAWA
2025



POCZYTANKI

Ruchome obrazy

Wiele mam powodów do chwaleń tej opowieści. Po pierwsze, nie znam historii życia Eadwearda Muybridge'a, choć przecież przypominam sobie, że widziałem owoce jego pracy w Filmmuseum w Düsseldorfie. A było to życie wielce skomplikowane, materiał na kilka sezonów dobrego serialu telewizyjnego.

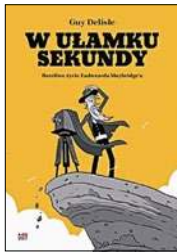
Po drugie, owo skomplikowane życie obfitowało w wydarzenia doprawdy nietuzinkowe. Dowiemy się z powieści graficznej Guya Delisle'a, co może być lepsze od wysadzenia głowy młotem dynamitem, czy można zabić kochankę własnej żony i nie ponieść za to kary, dlaczego uniwersytet w Pensylwanii finansował zdjęcia grubych golasów, oraz poznamy przemyslenia Rodina na temat ruchomych obrazów. A to tylko dosłownie garstka z bardzo wielu wydarzeń, które relacjonuje Delisle, oddając swym komiksem wielki hołd czytelnikowi, na którego pracach do dziś uczą się fachu animatorzy i malarze.

Niemal wszystko przy nazwisku Muybridge musi być opatrzone słowem „pionierskie”: fotografie rezydencji, które zniknęły bezpowrotnie, bo padły ofiarą trzęsienia ziemi w San Francisco; zdjęcia amerykańskiej dziczy oraz południowoamerykań-

skiej dżungli i opuszczonych kościołów. Wreszcie przełom – seria błyskawicznie wykonanych po sobie fotek, które udowodniły, że w galopie koń odrywa wszystkie kopyta od ziemi. Od tego już tylko krok był do odtworzenia ruchu na ekranie, do początków filmu, i rzeczywiście, Muybridge trafił do historycznych ksiązek także jako premier kina. Nigdy nie zarobił fortuny na swoich pracach, spierał się z dziennikarzami, artystami i naukowcami, trzy lata sądził się ze swym bogatym sponsorem milionerem Lelandem Stanfordem (i miał ku temu dobry powód).

Opowiadam i opowiadam, a czuję się, jakbym chciał wyczerpać morze łyżeczką. Komiks Delisle'a to wzorowe połączenie rozrywki z edukacją. I opowieść głęboko emocjonalna, bo szurnięty brodac zbył szczęśliwy nie był, a przecież budzi naszą sympatię. „W ułamku sekundy”, wzbogacone o reprodukcje dager-

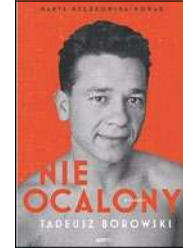
typów, zdjęć, klatek filmowych, przekona największego nawet niedowiarka, że komiks to wspaniały język do opowiadania poważnych opowieści. Mnie na szczęście przekonawać nie trzeba było, czerpałem więc z lektury czystą przyjemność. Przy okazji: 9 kwietnia mija 195 lat od urodzin pana Muybridge'a (1830–1904). ©©



★★★★★
GUY DELISLE
„W UŁAMKU
SEKUNDY”
KULTURA GNIEWU
2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Modlił się za niego Zbigniew Herbert, wierszem pożegnał Miłosz („Na śmierć Tadeusza Borowskiego”). Autor wstrząsających opowiadań, komunista miażdżony depresją. Pasjonująca biografia autora „Pożegnania z Marią”.



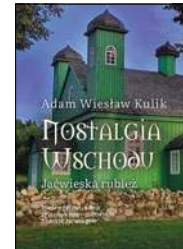
MARTA BYCZKOWSKA-
NOWAK
„NIEOCALONY”
ZNAK

Jedna z najlepszych pisarek chińskich, znana z „Ulicy Żółtego Błota”, wraca niepokojącą, kafkowską z ducha krótką powieścią o nieznanym z pociągu w podróży do kresu znaczeń: bo życie jest podróżą, której objaśnić się nie da.



CAN XUE
„TAJEMNICZY
POCIĄG”
PIW

Niby o historii, ale rzeczywistość skrzeczy: tu rząd Tuska zwija państwo, tam park krajobrazowy zrujnował interesy, a gdzie indziej trwa spór o to, czy unia sprzed wieków korzystna była dla Polski czy dla Litwy. Wędrówka i gawęda.



ADAM WIESŁAW
KULIK
„NOSTALGIA
WSCHODU.
JAĆWIESKA
RUBIEŻ”
NOVAE RES

Nie tylko cykl o Szererze – zmarły w 2022 r. polski twórca fantasy ma w dorobku także trylogię „Zjednoczone Królestwa”, wznowioną w twardej oprawie. Pozostałe tomy to „Piekło i szpada” oraz „Strażniczka istnień”. ©© recenzuje Piotr Gciek



FELIKS W. KRES
„KLEJNOT
I WACHLARZ”
VESPER

KOMIKS TYGODNIA: ZAKOCHANI

Petar: poeta i lekkoduch, włóczęga, ekszołnier. I Liza: tancerka „pachnąca górkimi kwiatami”, z sercem na dłoni dla wszystkich w potrzebie. Love story w duchu prozy Bukowskiego czy czeskiego undergroundu Jana Pelca. Jeden z najlepszych albumów roku, imponująca grafika i koronkowa narracja godna



MIROSLAV
SEKULIC-STRUJA
„PETAR & LIZA”
TIMOF COMICS
2025

Italo Calvino. Plus mnóstwo współczucia dla zapomnianych i poniżonych.

Piotr Gciek

Zrobić, co tylko się da



Krzysztof Masłoń

Miał 20 lat, gdy pojawił się w Olsztynie na Spotkaniach Zamkowych „Śpiewajmy poezję”, od razu zwracając uwagę tym, co i jak śpiewa. Na Famie w Świnoujściu dwukrotnie w latach 80. zdobywał laury w kategorii piosenki poetyckiej. Wielu słuchaczy poznało jednak jego utwory dopiero za pośrednictwem radiowej Trójki i prowadzonego tam przez Macieja Zembatego magazynu „Zgryz”, do którego wprowadził go Andrzej Garczarek. Zembatemu wdzięczny był Czyżykiewicz także za, rzecz można, zainfekowanie Leonardem Cohenem, artystą bardzo dla niego ważnym. Jakże Cohenowski właśnie będzie jego utwór „Do poetów”, dedykowany zresztą twórcy „I’m Your Man”:

*Możesz ty dziwka, a możesz ty Anioł
w oczach tegom nie dojrzał jak
z progu patrzyłaś
w rękach szklankę zaciskasz i minę
masz tanią
i wiem, że już z niejednym niejedno
przeżyłaś
Siadasz w kącie i cicho pytasz mnie,
czy warto
„nad tym losem sobaczym tak szaty
rozrywać
kiedy życie jak szuler gra z rękawa
kartą
a my wciąż nie umiemy w tej walce
przegrywać”*

[...] *Może ona i dziwka, a może to Anioł
w oczach tegom nie dojrzał jak za
mną patrzyła
nalejcie po brzegi w szklanki i wypijcie
za nią
za poezję, psiakrew, co ze mną znowu
was zdradziła.*

„Czy przyzwyczałeś się do tego, że jesteś artystą niszowym? – spytano go w jednym z wywiadów. – Oczywiście, że tak – odpowiedział – a nawet utwierdzam swoich słuchaczy tym, co robię, w tej niszowości. Nie potrafię i nie staram się pisać ani wykonywać utworów, które miałyby »przebojowe« pretensje. To, co robię, do końca nie jest piosenką, to utwory poetycko-muzyczne, mające niezbyt wielką publiczność, za to bardzo wdzięczną i wierną”.

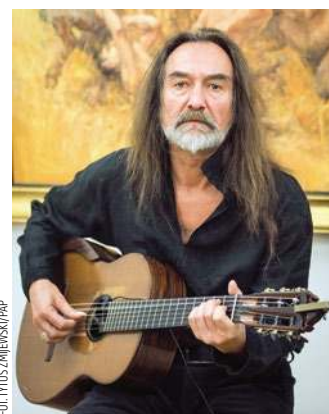
Jak to wyjaśniał Czyżykiewicz w „Tańcz! Parlando”?
[...] *tak się zaczyna każda misja,
znaleźć człowieka, swoją przystań
urządzić po swojemu fragment świata
zwracać się z nim (tak czyni)
i nie żałować słowa dobrego,
mądrego słowa, po drogach
wędrować,
zrobić co tylko się da, aż się dopełni
czas.*

Jest Czyżykiewicz kompozytorem i poetą, ale prócz swoich autorskich piosenek ma w repertuarze utwory wypożyczone od innych twórców, także tych najwybitniejszych. A sprawia, że w jego ustach brzmią pięknie i prawdziwie. Tak było i jest ze śpiewaniami przez niego wierszami noblisty Jospa Brodskiego. W 1992 r. zaprezentował je w recitalu „Świat widzialny”, na płycie wydanej dopiero po 12 latach. Poszczególne utwory Brodskiego, najczęściej w przekładzie Stanisława Barańczaka, a także m.in. Romana Kołakowskiego, wykonywał przez cały ten czas, niewątpliwie popularyzując tę znakomitą i ważną twórczość. Dość wspomnieć tylko „Piosenkę o Bośni” czy „Melodię muru berlińskiego”. Kogo zresztą nie śpiewał ten charyzmatyczny artysta: Thomasa Hardy’ego

i Tadeusza Różewicza, Marię Pawlikowską-Jasnorzewską i Jarosława Iwaszkiewicza, Gałczyńskiego i Stachurę, a przecież i Jana Wołkę, i Wojciecha Kassę, i Michała Zabłockiego. A przytrafił mu się nawet autor sławnego poematu prozą „Moskwa – Pietuszki”, z tym, że wykonywany przez Czyżykiewicza, i to kongenialnie, „Wieniczka” jest formalnie utworem Andrzeja Poniedziałskiego, który zgrabnie z najbardziej pamiętnych fraz Wieniedikta Jerofiejewa złożył ten utwór:

*Jeden mój znajomy mawiał
Że kalendarzka dziła nieludsko
Wzmocnia członki ale dusza,
dusza osłabiona, próchno
Ze mną wyszło coś odwrotnie
Dusza bardzo mi okrzepła,
Członki zaś osłabły srodze
Ale, że to jest nieludzkie
to się zgodzę
To się zgodzę
Anioły Pańskie
[...]
Bezsilna poro życia tego ludu
O, ty haniebna półgodzino
Ileż siwizny wplątałaś we włosy
Nam bezdomnym melancholijnym
szatynom
Bezsilna poro życia tego ludu
O, ty haniebna półgodzino
Idę...
Ooo...*

Czyżykiewicz zrobił z „Wieniczki”, promującej album „Odchodzę, wracam” z 2015 r., istny majstersztyk. A, nawiasem mówiąc, nagrał artysta tych płyt wcale niemało, bo trudno nie wspomnieć o m.in. „Ave” (1999), „Allelu!” (2005), „Ma chérie” (2013), „Piano” (2021) nagranej z żoną Magdaleną, wreszcie o „Czy? Sześć stopni oddalenia” firmowanej już przez Czyżyki, bo do Czyżykiewiczów dołączył Grzegorz Bukowski.



FOT. TYTUŁ: ZŁOTY/PAP

Urodzony w Gorlicach Miroslaw Czyżykiewicz jest muzykiem, a także malarzem. Ukończył Akademię Sztuk Pięknych i o tym pamięta w twórczości swojej, uprawiając – powiedzmy – płodozmian. Niektórzy pamiętają może jego tom utworów wydany w końcu zeszłego wieku przez „Twój Styl” w „Bibliotece Bardów”. Sam go wtedy zilustrował, a w kolejnych latach grafika i malarstwo odgrywały rolę coraz bardziej znaczącą.

Na festiwalach piosenki w Opolu występował dość dawno, bo jeszcze w tamtym stuleciu, podobnie na Festiwalu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Dbą jednak o swoich słuchaczy, niezmiennie świetnie przyjmujących jego piosenki miłosne, delikatne, czułe, a także – bywa – wręcz przesycone erotyką. Wciąż też porywa jego niezwykła interpretacja „Koni narowistych” Włodzimierza Wysockiego, a z utworem tym przecież zmagala się cała plejada naszych twórców.

Gitarę wzięł do ręki w wieku 14 lat i od tamtej pory, jak się zdaje, nie rozstaje się z nią. To przy jej dźwiękach wzrusza słuchaczy, skłania do refleksji, a każdym swoim utworem przypomina, czym jest poezja. Z łatką barda zaś czasem mu może niewygodnie, chociaż jeszcze w 1995 r. w utworze „Jazz” śpiewał:

[...] *sam tego chciałem tak już jest
gdy się za barda robić chce
z kulawą nogą wdepnie pies
telefon milczy pada deszcz
Madame, Monsieur – jazz... © ©*

OBUDŹ W NAS nadzieję



pomóż zdolnej młodzieży
z małych miast i terenów wiejskich.



www.dzielo.pl

Przekaż nam **1,5%**
swojego podatku. KRS: 0000 **150 776**

Możesz nas wesprzeć także przez:
PL 75 1240 2034 1111 0000 0306 8582

Publicystyka gorącej głowy



FOT. ANDRZEJ STOK



Łukasz Warzecha

Piotr Zaremba stawia w centrum osi zła „Do Rzeczy”, kolejny raz pomawiając nas o szerzenie rosyjskiej narracji oraz stwierdzając, że nigdy nie pojawiły się u nas wskazania, jak Polska powinna była się zachować. Odpowiem na to, sięgając po frazę, której Zaremba użył wobec mnie: gdyby autor „Rzeczpospolitej” czytał cokolwiek poza własnymi tekstami, to wiedziałby, że takie koncepcje ja sam przedstawiałem wielokrotnie

Realizm polityczny odmawia utożsamiania moralnych aspiracji konkretnego narodu z uniwersalnymi prawami, które rządzą wszech-

światem. Czyni rozróżnienie między prawdą i opinią, podobnie jak między prawdą a bałwochwalstwem. Wszystkie narody są wystawiane na pokusę – a niewiele umiało długo się jej opierać – by używać moralnych celów wszechświata jako przykrywkę dla swoich partykularnych aspiracji i działań. Wiedzieć, że narody są poddane prawu moralnemu, to jedno, ale twierdzić, że posiada się pewność, co jest dobre, a co złe w stosunkach między narodami, to zupełnie inna kwestia. Istnieje niezmierzona przepaść między wiarą w to, że wszystkie narody podlegają boskiemu osądowi, nieprzeknionemu dla ludzkiego umysłu, a błuźnierczym przekonaniem, że Bóg jest zawsze po czyjejś stronie i że tego, czego my chcemy, chce też Bóg”.

Niejeden raz przypominałem ten cytat z „Polityki między narodami”, fundamentalnego dla realizmu politycznego dzieła amerykańskiego prawnika niemieckiego pochodzenia Hansa Morgenthaua, wydanego w roku 1948. Tym razem również nim muszę rozpocząć trudną polemikę z tekstem Piotra Zaremby „Trump nauczył ludzi PiS pogardzać

Ukrainą”, opublikowanego w „Plusie Minusie” (wydanie z 29 marca), dodatku do „Rzeczpospolitej”, obecnie najbardziej antytrumpowskiej gazety w Polsce, śmiało konkurującej o to miano z „Gazetą Wyborczą” (jednak w przypadku „Rzeczpospolitej” to linia wyznaczona przez nowego redaktora naczelnego). Polemika jest trudna, bo ciężko polemizuje się z autorem, który przeinacza opinie, z którymi rzekomo się nie zgadza, stawia chochoły albo sięga po uproszczenia tak radykalne, że tworzy fałsz.

SKAŻENIE EMOCJONALNOŚCIĄ

Jednym z takich fundamentalnych fałszów, na których zresztą Zaremba opiera większość swoich wywodów publikowanych w różnych miejscach, jest następujący fragment: „Finałem zwycięstwa »realistów« w debacie miało być wyrzucenie kryteriów etycznych z oceny polityki. Miało to uzasadniać presję wywieraną na Ukrainę, która zaczęła zawadzać”.

To zasadnicze niezrozumienie realizmu politycznego. Wbrew twierdzeniu Zaremby realizm nie abstrahuje od etyki.

Wskazuje jedynie, że przyjmowanie etyki międzyludzkiej jako kryterium oceny działań państw jest absurdalne – a uzasadnia to w początkowym cytacie w tym tekście Morgenthau. Natomiast przywódców obowiązuje etyka odpowiedzialności – by sięgnąć po termin Weberowski – za powierzone im państwo i jego mieszkańców. Dlatego elukubracje Zaremby na temat chociażby „nieracyskiej” reakcji polskiej „prawicy” (Zaremba uporczywie stosuje taki kwantyfikatory) na konfrontację w Gabinetie Ovalnym między Donaldem Trumpem a Wołodymyrem Zełenskim są, najdelikatniej mówiąc, wyrazem skrajnej infantylizacji i w oczywisty sposób utrudniają racjonalną analizę. Przenoszą ją zresztą na pole psychologii jednostek, podczas gdy jednym z podstawowych założeń realizmu jest to o racjonalności podmiotów międzynarodowej gry (o czym piszą w książce „Jak myślą państwa. Racjonalność w polityce zagranicznej” John J. Mearsheimer i Sebastian Rosato).

Nieracjonalne i skażone emocjonalnością spojrzenie Zaremby oraz zwyczajne braki wiedzy sprawiają, że autorytetem i punktem wyjścia dla jego tekstu są rozważania Zbigniewa Szczęsnego, podobnież „znanego blogera”. Pytałem – nikt z moich znajomych Zbigniewa Szczęsnego nie zna. Najwyżej Wojciecha Szczęsnego, ale to chyba inna parafia.

Zaremba mógł odbić się choćby od bardzo ciekawego, nawet jeśli w wielu punktach mylnego eseju „The World Trump Wants” („Świat, jakiego chce Trump”) Michaela Kimmage’a w najnowszym „Foreign Affairs” albo od artykułu republikańskiego członka Izby Reprezentantów Dona Bacona, byłego generała lotnictwa USA, opublikowanego pod koniec marca w „New York Timesie”, a zatytułowanego „My Fellow Republicans and President Trump, We Must Stand Up to Putin” („Koledzy republikanie i prezydencie Trump – musimy postawić się Putinowi”). Zamiast tego wołał się odbić od Szczęsnego (nie Wojciecha). Cóż, każdy sam wybiera sobie punkty odniesienia.

Ów rzekomo znany Szczesny stwierdza w cytowanym przez Zarembę wywodzie: „Zachodzi bowiem możliwość, że to, co obecnie robią [USA], sprowadza się do zaproponowania Moskwie wspólnego »podzielenia się« Europą i utworzenia razem

bloku mocarstw balansującego rosnącą siłą Chin”. Szczesny powiela zatem tezę o tzw. odwróconym manewrze Kissingera (wtedy chodziło o wyjęcie Chin z duetu z Rosją; teraz miałyby chodzić o wyjęcie Rosji) – tezę uznawaną za całkowicie błędną przez ogromną większość analityków. W Polsce m.in. przez Marka Budziszę ze Strategy & Future. Na tej jednak tezie buduje Zaremba swoje dalsze wywody.

Zacytujmy wybitnego analityka Szczęsnego: „[...] państwa europejskie de facto są wywłaszczone ze wszelkiej podmiotowości, a stają się co najwyżej »Lebensraum« – przestrzenią życia ludów eksploatowanych. Zarazem wszelkie amerykańskie »gwarancje« bezpieczeństwa dla krajów naszego regionu stają się wątpliwe, gdyż możliwości wpływu Amerykanów na Rosję, po odzyskaniu przez nią silnej pozycji, w nowej konfiguracji będą zupełnie znikome, a korzyści dla USA z ewentualnej »obrony« państw Europy Środkowo-Wschodniej – marginalne. Cała bowiem dotychczasowa równowaga w Europie sprowadzała się do tego, że Europa i USA ze sobą współpracowały”.

Roi się tu od absurdów. Po pierwsze – a dokładnie ten sam błąd popełnia Zaremba już we własnych autorskich rozważaniach – mamy tu założenie, że jest jakaś jedna, spójna Europa. To oczywiście nieprawda. Europa jest niespójna, zarówno gdy idzie o potencjał obronny poszczególnych państw – a dla USA ma to znaczenie – jak i o podejście do integracji i relacje z USA. Niewielkie Węgry są np. dzisiaj bliżej Waszyngtonu niż znacznie większa Polska. Francja gra o centralizację, przykrycie problemów wewnętrznych i zbyt na własne produkty militarne. Niemcy ogłaszają wielkie dobrojenie (na razie wirtualne), ale marzą o wznowieniu dostaw surowców z Rosji. Nic tu nie jest spójne.

Założenie, że będzie jakaś „nowa konfiguracja”, w ramach której Rosja ma odzyskać pozycję i nawet przebić pod tym względem USA, opiera się na wspomnianym „odwróconym Kissingerze”, a więc na podstawie fałszywej, w dodatku zakładając, że Moskwa w jakiś sposób przebijie potencjał amerykański. Związki Rosji z Chinami i szerzej – z globalnym Południem – są dziś jednak tak mocne, że USA nie próbują absolutnie doprowadzić do ich zerwania, bo jest to niemożliwe.

Nawet opchnięcie Rosji całej Ukrainy nic by tu nie dało. Można natomiast w pewnym stopniu osłabić relacje rosyjsko-chińskie – i to jest plan Trumpa. Ale to z kolei oznacza, że reszta wspomnianej fantazji jest bez sensu.

Podobnie jak błędne jest stwierdzenie o opieraniu równowagi w Europie na współpracy USA i Europy. Administracja Trumpa słusznie wskazuje, że znaczna część naszego kontynentu jechała na gapę – co wytknął w głośnej konwersacji na Signalu wiceprezydent J.D. Vance.

Nawiasem mówiąc, opisanie tej właśnie konwersacji pokazuje, jak lekko i bezrefleksyjnie – za to zgodnie z przekazem polskiego antytrumpowskiego mainstreamu – Zaremba feruje daleko idące tezy. Czytamy u niego, że Jeffreya Goldberga dodano do konwersacji „przez pomyłkę” (można założyć, że Zaremba w ogóle nie czytał tekstu w „The Atlantic”). Tymczasem hipotez jest tu o wiele więcej i nieuprzedzony publicysta po prostu nie pisałyby o tym jako o pomyłce, tak jakby rzecz była jednoznaczna. Nawet w Polsce alternatywne wyjaśnienia – obejmujące konflikt administracji z tzw. głębokim państwem (deep state) – formułują tacy analitycy jak Bartłomiej Radziejewski z „Nowej Konfederacji”.

Skupmy się jednak na głównej linii argumentacji Zaremby. Twierdzi on mianowicie, że po raz pierwszy co najmniej od czasów Franklina Delano Roosevelta Ameryka jest do tego stopnia „cyniczna” i że jest to zjawisko dla nas negatywne. Owszem, USA miały okresy idealizmu, często przeplatane okresami realizmu. I zwykle okresy idealizmu kończyły się jak najgorzej.

Takim okresem była np. prezydentura Billa Clintona, podczas której Ameryka zaczęła toczyć fatalną „wojnę Madeleine” o Kosowo (1998–1999), nazywaną tak od imienia ówczesnej sekretarz stanu Madeleine Albright. Nie tylko była to wojna sprzeczna z prawem międzynarodowym, nie tylko Amerykanie popełnili w trakcie prowadzonych przez siebie bombardowań Serbii „błędy”, skutkujące wieloma ofiarami cywilnymi. Przede wszystkim za sprawą swojej naiwności i „idealizmu” ówczesnej administracji dali się zrobić kosowskim Albańczykom, posługującym się propagandą i oszustwem. Tak się składa, że wiele lat temu ■

■ dogłębnie przestudiowałem ten temat i na tej podstawie opublikowałem tekst w „Studiach Międzynarodowych” – znam więc problem dokładnie.

Podobnym „idealizmem” charakteryzowała się neokonserwatywna pierwsza administracja George’a Busha juniora, która – ponownie łamiąc prawo międzynarodowe – uderzyła na Irak w 2003 r., sięgając po pretekst w postaci informacji o rzekomych wielkich zapasach broni chemicznej Saddama, na co potem nie znaleziono dowodów i co do dzisiaj uznawane jest albo za gigantyczną wpadkę CIA, albo za celowe oszustwo.

KONFLIKT ZASTĘPCZY

Natomiast – wbrew wyobrażeniom Zaremby – administracja Bidena kierowała się idealizmem w bardzo ograniczonym stopniu. Aby to pojąć, warto sięgnąć do źródła bynajmniej nie krytycznego wobec poprzedniej amerykańskiej władzy: „New York Timesa”. W sierpniu ubiegłego roku ukazał się w tej gazecie obszerny tekst Adama Entousa i Michaela Schwirtza „The Spy War: How the C.I.A. Secretly Helps Ukraine Fight Putin” („Wojna wywiadów: jak CIA skrycie pomaga Ukrainie walczyć z Putinem”). Tekst pokazywał współpracę wywiadowczą obu państw ciągnącą się od 2014 r. Omawiając obecność amerykańskich agentów na Ukrainie oraz akcje, w których ukraińskim siłom specjalnym pomagali Amerykanie, stanowił pośredni dowód na to, że rosyjskie argumenty o wykorzystywaniu przez Waszyngton Ukrainy jako swojego lądowego „lotniskowca” były trafne. I nie chodzi tutaj o rozpatrywanie, czy w związku z tym Rosja „miała prawo” zaatakować Ukrainę, ale stwierdzenie prostej zależności: głęboka infiltracja i współpraca wywiadów obu państw, skierowane przeciwko Rosji, mogły być jednym z czynników, które wpłynęły na decyzję Władimira Putina.

W ubiegłym zaś tygodniu „NYT” opublikował kolejny fascynujący, bardzo obszerny raport Adama Entousa: „The Partnership: The Secret History of the War in Ukraine” („Partnerstwo: tajna historia wojny na Ukrainie”). Abstrahując od wielu detali poszczególnych operacji oraz opisu bardzo ciekawych napięć wewnątrz politycznej i wojskowej elity ukraińskiej (w pewnym momencie

prezydent Zełenski praktycznie rozwałił z pietyzmem układany plan dużej operacji na południowym wschodzie Ukrainy, bo chciał mieć szybszy sukces, którym mógłby się pochwalić w ONZ), jedno w tym tekście jest kluczowe: dowodzi on bez najmniejszych już wątpliwości, że mieliśmy do czynienia z wojną zastępczą, czyli taką, którą główni przeciwnicy toczą za pośrednictwem innych. Takie konflikty były powszechne w czasach zimnej wojny. Klasycznymi przykładami są wojny koreańska (1950–1953), wietnamska (1955–1975), angolska (1975–1991) czy afgańska (1979–1989). Często jedna z faktycznych stron uczestniczyła w wojnie bezpośrednio – jak to było choćby w najechanym przez Rosjan Afganistanie.

W artykule w „NYT” możemy przeczytać, że współpraca i kontrola Amerykanów nad działaniami Ukraińców były w niektórych okresach tak ścisłe, że ukraiński dowódca baterii artyleryjskiej na polu walki otrzymywał wytyczne do ostrzału bezpośrednio z kwatery współpracy wywiadów USA i Ukrainy mieszczącej się w Niemczech, w Wiesbaden, która otrzymała kryptonim Task Force Dragon. Oczywiście za dostarczenie informacji odpowiadał Amerykanie. Dbali oni jednak, żeby formalnie być w porządku. Dlatego CIA nie podawała „celów” – podawała points of interest („punkty zainteresowania”). „Amerykanie stali się częścią łańcucha zabijania” – miał się zdumieć jeden z pracowników jednego z europejskich wywiadów, według relacji „NYT”.

Ta wiedza pozwala sformułować dwa sądy, radykalnie sprzeczne z ocenami Zaremby. Po pierwsze – nie mamy do czynienia z żadną romantyczną wojną małego Dawida z wielkim Goliatem, ale z typowym konfliktem zastępczym, w którym USA rywalizują od początku z Moskwą. Po drugie – amerykańska pomoc była znacznie większa, niż sobie wyobrażaliśmy. Obejmowała nie tylko pieniądze i sprzęt, lecz także bezcenne informacje wywiadowcze. W praktyce Amerykanie przez całe miesiące byli oczami Ukraińców. Bez nich Kijów byłby ślepy. A to oznacza, że USA mają wymierne powody, aby oczekiwać od Ukrainy wynagrodzenia, co ma postać negocjowanego cały czas traktatu o dostępie do złóż naturalnych.

Zresztą na tle historycznych analogii Amerykanie, negocjując z Kijowem umowę, zachowują się dość przyzwoicie. Trzeba bowiem przypomnieć, że np. Wielka Brytania po drugiej wojnie światowej po prostu przejęła kilkanaście ton przechowywanego tam polskiego złota, uzasadniając to nieudokumentowanymi kosztami, które miała ponieść na rzecz naszego kraju.

NA PRYWATNEJ WOJNIE

Zaremba stawia w centrum osi zła „Do Rzeczy”, kolejny raz pomawiając nas o szerzenie rosyjskiej narracji oraz stwierdzając, że nigdy nie pojawiły się u nas wskazania, jak Polska powinna była się zachować. Odpowiem na to, sięgając po frazę, której Zaremba użył wobec mnie: gdyby autor „Rzeczpospolitej” czytał cokolwiek poza własnymi tekstami, to wiedziałby, że takie koncepcje ja sam przedstawiałem wielokrotnie.

Problem z ludźmi takimi jak Zaremba polega na tym samym, na czym polega zasadniczy problem ogromnej części polskiego komentariatu: zamiast na chłodno rozważać, jak jest i na ile możemy zmienić sytuację na swoją korzyść oraz jak to robić, trudni się lamentami, że jest niemoralnie, brzydko, nieładnie i niesłusznie. I kompletnie nic z tego nie wynika. My w „Do Rzeczy” staramy się natomiast przedstawić sytuację bez upiększania i moralizowania.

Jeśli Zaremba chce wzorca mądrej analizy, to proszę bardzo. Wróć do dwóch nazwisk, które już się w tym tekście przewinęły. Marek Budzisz – z którym w przeszłości zdarzało mi się mocno nie zgadzać – dziś przedstawia rzeczowe koncepcje wzmocnienia polskiej obronności wraz z krajami regionu i nie zajmuje się zbędnym moralizowaniem. Bartłomiej Radziejewski opublikował 21-punktowy program przygotowania naszego kraju do skutków zmiany strategicznej. Z niektórymi punktami można się nie zgadzać, ale zamiast biadolenia mamy propozycje do rzeczowej dyskusji, oparte na zimnej analizie.

Zaremba tymczasem wciąż jest na etapie prywatnej wojenki z naszym tygodnikiem i realizmem w polityce. Obawiam się jednak, że realizm niespecjalnie przejmuje się elukubracjami Zaremby.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jan Fiedorczuk

Na czołówki portali powrócił pomysł wysłania polskich żołnierzy na Ukrainę. Taka misja pozornie brzmi efektownie, jednak w rzeczywistości to igranie z ogniem. Rzecz nie dotyczy strachu przed Rosją czy niechęci wobec Ukrainy. Chodzi o chłodną analizę: dla Polski taka misja jest po prostu zbyt ryzykowna

Od kilku tygodni strona rosyjska regularnie deklaruje, że nie zgadza się na obecność europejskich żołnierzy na Ukrainie, podczas gdy strona europejska równie regularnie powraca do pomysłu zorganizowania „koalicji chętnych” w celu wysłania tam takowych żołnierzy. O możliwej „misji stabilizacyjnej” na Ukrainie dyskutowali podczas niedawnego szczytu w Londynie Keir Starmer oraz prezydent Francji Emmanuel Macron, a w ciągu ostatnich miesięcy przychylnie o takim rozwiązaniu wypowiadały się też rządy Kanady, Australii, Litwy, Estonii, Portugalii czy Holandii. Ogólnie do „koalicji chętnych” ma należeć ok. 30 państw, chociaż należy zaznaczyć, że nie wszystkie jeszcze zadeklarowały wysłanie wojsk. Także z sondaży wynika, że spora część europejskich społeczeństw akceptuje taką misję, w tym te trzy najważniejsze – 49 proc. Niemców popiera bowiem pomysł wysłania europejskich żołnierzy (sondaż dla tygodnika „Stern”), 58 proc. Brytyjczyków (sondaż dla YouGov) oraz aż 67 proc. Francuzów (sondaż dla BFM TV).

Tym, co dominuje w przestrzeni publicznej, jest chaos informacyjny. Siergiej Ławrow niedawno przekazał, że Rosja nie akceptuje wysłania europejskich wojsk, a kilka dni później Donald Trump publicznie oznajmił, że rozmawiał na ten temat z Władimirem Putinem, który nie widzi problemu. W środę (26 marca) Reuters donosił, że Europa wycofuje się z wysłania wojsk, aby dosłownie dzień

później Emmanuel Macron oznajmił, że na Ukrainę zostaną wysłane „siły reasekuracyjne”. Prezydent Francji przekazał, że w kwestii wysłania wojsk nie jest istotna zasada jednomyślności i w najbliższym czasie na Ukrainę ma się udać misja francusko-brytyjska w celu przygotowania „przyszłego formatu armii ukraińskiej w przypadku ewentualnego rozmieszczenia sił międzynarodowych na Ukrainie, w razie zawarcia rozejmu w wojnie z Rosją”.

Wszystko zatem wskazuje na to, że może nie dziś i nie jutro, ale w ciągu kilku kolejnych tygodni bądź miesięcy Europa jednak wyśle swoich żołnierzy. Szczególnie że takie dokumenty jak tzw. Biała księga UE, w której podkreślono znaczenie rosyjskiego zagrożenia czy deklaracje o niezachwianym wsparciu dla Kijowa, zdają się świadczyć

udział. Przyznał to niedawno szef Sztabu Generalnego WP gen. Wiesław Kukuła, który zapewniał, że Polska w obecnej chwili co prawda nie ma zamiaru wysłać żołnierzy, ale jednocześnie dodał: „Liczymy się z faktem, że nie jest możliwe przeprowadzenie tej operacji bez udziału Polski, choćby z uwagi na nasze specyficzne położenie geopolityczne. Graniczymy z Ukrainą i to z Polski na Ukrainę przebiega najbardziej dogodna sieć połączeń drogowych i innych połączeń logistycznych”.

ARGUMENTY JASTRZĘBI

Już teraz w debacie publicznej coraz częściej pojawiają się postulaty dotyczące konieczności wysłania polskich wojsk. Jednoznacznie za takim rozwiązaniem opowiedział się m.in. Bronisław Komorowski, który zasugerował też w rozmo-

Polacy na front?

o tym, że w Europie coraz więcej środowisk godzi się z odejściem Amerykanów i koniecznością wzięcia przez samych Europejczyków odpowiedzialności za swoje bezpieczeństwo.

Inaczej rzecz ma się nad Wisłą. Tutaj polityków nadal hamują naddciągające wybory prezydenckie, jednakże zaraz po zakończeniu II tury w czerwcu temat w oczywisty sposób powróci. Sama geografia sugeruje kluczową rolę Polski w takiej misji, a w zależności od sytuacji geopolitycznej na świecie zachodnie ośrodki mogą zacząć coraz mocniej naciskać na Warszawę, aby ta wzięła w niej

wie z Polskim Radiem, że Donald Tusk może zmienić zdanie na temat wysłania żołnierzy po zwycięstwie wyborczym Rafała Trzaskowskiego. Również szef BBN, gen. broni rez. Dariusz Łukowski, ocenił, że w przyszłości nie można wykluczyć wysłania polskich żołnierzy na Ukrainę. Jak dodał, będzie „duża presja na to, żebyśmy się w to zaangażowali”. Z kolei Cezary Kaźmierczak, prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, stwierdził, że „jakieś kompletne zdurnienie ogarnia część klasy politycznej. Wojska do Afganistanu czy Iraku NA WOJNĘ to OK, ale na misję pokojową na Ukrainę

to już nie – co leży w naszym najbardziej żywotnym interesie, zmniejszenia ryzyka wojny na naszym terytorium”. Podobnie sprawę widzi Konrad Piasecki. „Aż tak bardzo populistyczne hasła mają zawładnąć naszymi strategicznymi interesami i przysłonić historyczną odpowiedzialność?” – pytał dziennikarz TVN24. Publicysta Jakub Bierzyński zżymał się natomiast na deficyt męstwa w polskim społeczeństwie. „Jak widać, Czesi są od nas i odważniejsi, i rozsądniejsi. Tak przegrywa się pozycję lidera tej części Europy. Z tchórzami nikt nie będzie się liczył” – napisał. Takich głosów było znacznie więcej, a ich ogólny wydźwięk był następujący: Polacy stchórzyli, prze-gapili szansę na stanie się czempionem Europy albo wręcz po prostu „zdradzili” Ukrainę.

Najbardziej uderzające jest w tych wypowiedziach, że zwolennicy wysyłania polskich wojsk na Ukrainę właściwie nie podnoszą żadnych racjonalnych argumentów. Główny bowiem powód sprowadza się do tego, że wysłanie wojsk jest w polskim interesie, gdyż zwiększy to bezpieczeństwo państwa. To jednak pusty chwyt, za którym nic się nie kryje, a nie poważny argument w dyskusji.

Pewnym wyjątkiem są tutaj jednak dwa głosy publicystów z dwóch odmiennych stron debaty – Witolda Jurasza z lewicowo-liberalnego Onetu oraz Pawła Musiałka, prezesa chadeckiego Klubu Jagiellońskiego, którzy starali się argumentować na rzecz udziału Polaków w misji. Musiałek uważa, że choćby wstępna zgoda polskiego rządu jest niezbędna, aby jakiegokolwiek pertraktacje na temat europejskiej misji mogły się w ogóle rozpocząć, i choćby już z tego powodu nie należy wykluczać takiej ewentualności. Argumentacja dziennikarza Onetu jest natomiast co najmniej zadziwiająca. Otóż Jurasz, były dyplomata, obecnie publicysta, wylicza pięć powodów za wysłaniem polskich żołnierzy na Ukrainę. Brzmiały one następująco: 1) Polska wyśle armię po zakończeniu działań wojennych, a zatem nie na wojnę jako taką; 2) Politycy muszą czasem podejmować trudne decyzje w imię racji stanu [sic!]; 3) Po wysłaniu wojsk Polska przestanie być państwem frontowym; 4) Argument moralny – Polska nie może zachować się jak alianci w 1939 r.; 5) Argument gospo-

darczy – Polska będzie miała możliwość wzbogacenia się poprzez partycypację w odbudowie Ukrainy.

BEZ EMOCJI

Rozważając te i podobne głosy, należy od razu odeprzeć pojawiający się nieustannie zarzut, jakoby przeciwnicy wysyłania wojsk chcieli się „mścić” za to, jak państwo ukraińskie traktowało Polskę przez ostatnie dwa lata. Ani ekshumacje wołyńskie, ani aroganckie, momentami wręcz bezczelne działania ukraińskich elit nie mogą odgrywać tutaj żadnego znaczenia. Sprawy historii i zasady politycznego *savoir-vivre*’u, jakkolwiek istotne, nie powinny wpływać bowiem na podejmowanie decyzji o wymiarze strategicznym. Emocje należy odłożyć na bok i kierować się wyłącznie interesem państwa. I to właśnie nie emocje, ale chłodna analiza każe krytycznie oceniać pomysł wysłania wojsk na Ukrainę.

Po pierwsze, zauważmy już na wstępie, że NATO jest sojuszem obronnym, a nie obronno-zaczepnym, i idea interwencji w państwie trzecim, którym pozostaje Ukraina, odbywałaby się w ramach dobrowolnej misji państw NATO, ale nie NATO jako takiego („koalicji chętnych”, o której mówił Keir Starmer). Stanowisko USA jest wszak jednoznaczne – Ameryka nie wyśle swoich żołnierzy na Ukrainę. A skoro Trump tego nie robi, to nie ma mowy o jakimkolwiek parasolu ochronnym NATO. Reasumując – art. 5 traci w tym wypadku moc i gdyby konflikt rozlał się na państwa uczestniczące w misji, to pozostaną one zdane wyłącznie na siebie. To nie jest kwestia strachu, który jastrzębie zarzucają przeciwnikom wysyłania żołnierzy, tylko rzetelnej oceny sytuacji. Jeżeli chcemy wysłać wojska, to miejmy świadomość, że w razie czego nie będziemy mogli liczyć na pomoc sojuszników.

To nas prowadzi do punktu drugiego – misja na Ukrainie musiałaby składać się z żołnierzy europejskich, na których obecnie Rosja się nie zgadza, a zatem mogłaby ich traktować jako agresora, a nie siły stabilizacyjne. Obecnie mówi się, że Europa mogłaby wystawić ok. 30–40 tys. żołnierzy, jednak aby taka misja miała jakikolwiek sens, a wojska mogły obsadzić całą granicę między Ukrainą a Rosją, konieczny byłby wielokrotnie większy kon-



tyngent. Sam Zełenski mówił, że 200 tys. żołnierzy to absolutne minimum, co – biorąc pod uwagę stan rozbrojenia Europy – oznacza, że sama Polska musiałaby wysłać co najmniej kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Pomysły, że Polacy wzięliby udział w misji, ale koniec końców osłanialiby jedynie tyły wojsk francuskich, brytyjskich itd. oraz zajmowali się logistyką, brzmią mało realnie. Czemu inne kraje miałyby się na to zgodzić?

Po trzecie, jest dla mnie zrozumiałe, że państwa z historią imperialną, jak Francja czy Wielka Brytania, które są oddalone od Moskwy o setki kilometrów, a w dodatku dysponują bronią atomową, nie czują powagi sytuacji i inaczej oceniają ryzyko, niż robią to Polacy. Polska jednak nie jest odległym mocarstwem atomowym, więc nie powinna prowadzić polityki jak odległe mocarstwo atomowe. Wysłanie żołnierzy na misję do Iraku i Afganistanu – kolejny argument jastrzębi – nie stanowiło dla nas poważnego niebezpieczeństwa, gdyż oba państwa nie mogły nam bezpośrednio zagrozić. Te sytuacje są po prostu nieporównywalne. „Argument” moralny Witolda Jurasza (a także innych komentatorów uderzających w podobnie emocjonalne tony) jest niedorzeczny, gdyż państwa i ludzie nie



FOT. ADRIAN STOLIK

Polscy żołnierze nie pojechaliby na wycieczkę krajoznawczą, tylko bronić obcego państwa przed Rosją

działają podług tej samej logiki – państwa nie mają przyjaciół i uczuć, a jedynie interesy i sojusze. Wartości przynależą do serc ludzkich, a nie organizmów prawno-politycznych. Państw nikt nie sądzi moralnie i przykładów na poparcie tej tezy mamy setki. Z kolei argument ekonomiczny dotyczący odbudowy Ukrainy i rzekomych polskich szans na wymierne zyski jest tak nieprawdopodobnie naiwny, że aż trudno mi uwierzyć, że padł z ust tak doświadczonego analityka. Po ostatnich trzech latach widzimy, że Polska nic nie zarobi na odbudowie Ukrainy, a między Warszawą a Kijowem nie wytworzyła się żadna szczególna więź.

KOGO BĘDZIEMY BRONIĆ?

Pojawia się tutaj jeszcze jedno poważne zagadnienie. Jeżeli polscy żołnierze trafiliby faktycznie na Ukrainę, to staliby się de facto zakładnikami

tegoż żarzącego się konfliktu. Taka misja pozbawiona amerykańskiego parasola ochronnego byłaby dla Władimira Putina doskonałym narzędziem do testowania wytrzymałości Zachodu. Rosja mogłaby dowolnie intensyfikować napięcie na granicy i prokurować kolejne kryzysy oraz incydenty, aby ośmieszać państwa europejskie, które po każdej śmierci Francuza, Brytyjczyka czy Polaka musiałyby organizować kolejny pilny szczyt, na którym ponownie by ustalano, że jeszcze tym razem zachodnie mocarstwa nie podejmą decyzji o równomierniej odpowiedzi. Gdyby jednocześnie ziścił się najgorszy scenariusz (a taki należy zakładać), to kilkaset tysięcy europejskich żołnierzy musiałyby wziąć udział w działaniach stricte wojennych – państwa Europy dosłownie weszłyby do wojny, co dla Polski sąsiadującej z Białorusią i okragiem kaliningradzkim byłoby tragicznym wariantem.

Co więcej, zapominamy w tej całej układance, że Ukraina też jest samodzielnym podmiotem z własnymi ambicjami i planami, które niekoniecznie muszą pokrywać się z celami Polski czy państw europejskich. Mówiąc wprost, ekipa Zełenskiego może chcieć wykorzystać obecność zachodnich żołnierzy do per-

manentnego związania Europy z Ukrainą i trwałego zantagonizowania jej z Rosją poprzez wplatanie państw zachodnich w otwarty konflikt. Brzmi to obrazoburczo, ale przecież taki scenariusz należy poważnie rozważać. Zełenski już raz próbował takiego manewru, gdy na Polskę spadła rosyjska rakietka, zabijając dwie osoby. Ukraińskie elity stawiały wówczas na głowie, aby udowodnić, że za atak odpowiadała Moskwa. Z jednej strony Kijów nie chciał przeproszać za tę tragedię, ale z drugiej liczył na możliwość eskalacji konfliktu na pozostałe kraje NATO. Z punktu widzenia Ukrainy jest to zrozumiałe – lepiej, żeby Rosja prowadziła wojnę z dwoma, trzema albo z pięcioma państwami. Tylko – co podkreślam od samego początku wojny w kolejnych tekstach na łamach naszego tygodnika – cele Polski i Ukrainy nie były, nie są i nie mogą być tożsame w 100 proc.

Wysłanie wojsk oznacza ponadto, że oddziały mające bronić Rzeczypospolitej zostałyby de facto zaangażowane do walk na Ukrainie, gdyż tego przecież w rzeczywistości dotyczyłaby misja. Nie żadnej „stabilizacji”, cokolwiek miałyby to oznaczać, tylko obrony Kijowa przed kolejną agresją. Jest zastanawiające, że żaden z orędowników misji nie chce tego otwarcie przyznać – polscy żołnierze nie pojadą na wycieczkę krajoznawczą, tylko bronić obcego państwa przed Rosją.

Można argumentować za albo przeciw takiemu rozwiązaniu, ale najpierw trzeba otwarcie przyznać, jaki jest prawdziwy cel samej misji. Zakładając najgorszy scenariusz, czyli wejście Rosjan do wojny, musimy uznać, że fiaszko europejskiej misji oznaczałoby, że oddziały, których podstawowym celem jest obrona Polski, nie mogłyby już zostać wykorzystane do chronienia własnej ojczyzny. Innymi słowy, przełamanie linii europejskich wojsk oznaczałoby, że – po porażce Ukrainy – droga do Warszawy stałaby otworem. Jeżeli „koalicja chętnych”, tak jak mówił Zełenski, liczyłaby ponad 200 tys. żołnierzy europejskich, to oznaczałoby, że znacząca część wojsk UE zostałaby pozbawiona możliwości ruszenia Polsce z pomocą. Warszawie pozostałby jeszcze słynący z wiarygodności, słowny, przewidywalny i godny zaufania Donald Trump, siedzący rzut beretem, po drugiej stronie oceanu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Kilkadzieci lat żyliśmy w luksusie. Byliśmy bezpieczni i korzystaliśmy z dobrodziejstwa rozwoju gospodarczego. Ten szczęśliwy czas opierał się na porządku międzynarodowym, który wyznaczany był przez dwa traktaty. Jeden to traktat waszyngtoński a drugi to Traktat o Unii Europejskiej. Opublikowana przez władze Unii Europejskiej „Biała Księga w sprawie obronności” podważa oba te traktaty. Zatem unijni liderzy rozpoczynają bardzo ryzykowną grę. Podważają to, co przez wiele lat zapewniało nam bezpieczeństwo i rozwój. Projektują nowy układ sił, który może okazać się dużo mniej skuteczny, czyli gorszy. Czy warto zatem podejmować ryzyko i zmieniać porządek, który tyle lat zapewniał nam korzyści?

PLAN BERLINA

Niemiecki plan wobec Europy, ten z XX w., to był plan podboju kontynentu i zjednoczenia go siłą. Dla niemieckich nazistów narzędziem zjednoczenia był przymus. Celem było podporządkowanie państw europejskich władzy polityków z Berlina. Hitlerowi chodziło o to, by Niemcy mogli używać potencjału całej Europy dla realizacji niemieckich interesów. Idea wyższości rasowej Niemców i wynikająca z tego polityka niemieckiej dominacji nad innymi narodami przekreśliły szanse na skuteczną realizację zjednoczenia kontynentu pod dyktando Niemiec. Powstaje pytanie, czy obecne dążenia Niemiec do zdominowania Unii Europejskiej mają szanse. Czy politycy niemieccy wyciągają wnioski z historii i rozumieją, że nie można zjednoczyć Europy środkami przymusu?

Groźba sankcji gospodarczych czy pozbawienia kraju prawa głosu w UE to wprawdzie co innego niż podbój militarny, ale przymus finansowy i prawny pozostaje przymusem. Czy rzeczywiście warunkiem zwiększonych zbrojeń państw Unii Europejskiej musi być pozbawienie państw członkowskich kompetencji w kwestiach bezpieczeństwa? Czy poszczególne państwa nie mogą tak jak dotychczas same decydować o swojej polityce zagranicznej i wojskowej? Kilka lat temu Polska, pod rządami Zjednoczonej Prawicy, na podstawie własnych decyzji zwiększyła nakłady na zbrojenia do ponad 4 proc. PKB. Na szczęście nasz kraj nie potrzebował wówczas wsparcia ani

Plan Berlina kontra Europa gen. de Gaulle'a



Jan Parys

W Unii Europejskiej trwa debata nad tym, jak dalej ma funkcjonować Europa. Czy ma kontynuować sojusz z USA czy zmienić swe procedury decyzyjne? Debata dotyczy również tego, czy Unia ma przejąć od państw członkowskich kompetencje w dziedzinie polityki zagranicznej i w kwestiach bezpieczeństwa

zgody Unii Europejskiej, by decydować o zwiększeniu liczebności Wojska Polskiego. Być może odejście od podejmowania decyzji w Unii na podstawie consensusu jest zatem głównym celem liderów Unii, którzy przy okazji programów zbrojeniowych chcą przejąć kontrolę nad wszystkimi sferami polityki państw Unii.

Jest faktem, że dziś Europa znowu jest słaba. Chociaż nie jest to wynikiem przegranej wojny, jak po 1945 r. Dziś słabość Europy wynika z błędnej polityki władz Unii Europejskiej, które bezkrytycznie słuchały kanclerz Merkel. Reset z Rosją, program zielonej energii, otwarte granice to najważniejsze przyczyny słabości państw unijnych na tle osiągnięć USA. W rezultacie znowu, 80 lat po zakończeniu drugiej wojny światowej, Europa z własnej winy jest przedmiotem, a nie podmiotem polityki międzynarodowej.

Kiedy skończyła się druga wojna światowa, politycy na Zachodzie zdali sobie sprawę, że gdy rozbito imperium niemieckich nazistów, Europa musi się

przeciwstawić imperium Stalina. Było jasne, że Europa podzielona na rywalizujące państwa nie da rady konkurować z bolszewizmem. Czyli międzynarodowce komunistycznej postanowiono przeciwstawić własną ideę ponadnarodową, czyli projekt integracji kontynentu.

Nie ma potrzeby przekonywać kogokolwiek, że dziś żaden kraj europejski w pojedynkę nie rozwiąże problemów swego bezpieczeństwa i że nikt sam przed Rosją się nie obroni. Zatem trzeba wyjść poza interesy pojedynczych państw. Powstaje pytanie: Jak tego dokonać? Po doświadczeniach z okresu międzywojennego i z czasów drugiej wojny światowej wiemy, że Europa zbyt liberalna jest po prostu słaba. Gdy zwycięża zbyt ni nacjonalizm, to kończy się to katastrofą rasizmu i dyktaturą, jak za czasów Hitlera.

Jesteśmy w okresie przełomowym, kiedy trzeba podejmować trudne decyzje. W takim momencie warto spojrzeć wstecz i przypomnieć sobie dorobek intelektualny i polityczny ludzi zasłużonych dla od-

budowy i organizowania Europy w ciągu ostatnich 80 lat, czyli po 1945 r. Uczenie się od innych to dowód na pokorę wobec przeszłości, wstydem jest ignorowanie doświadczenia poprzedników.

Generał Charles de Gaulle sprawował władzę ponad pół wieku temu. Możemy zatem spokojnie i bez emocji rozważać jego działalność i poglądy. Był politykiem, który niewątpliwie wpłynął na bieg wydarzeń na naszym kontynencie. Całe życie ubolewał nad tym, że Europa tak długo była słaba, że podczas pierwszej i drugiej wojny nie była w stanie sama wygrać oraz że musiała korzystać z protekcji mocarstw pozaeuropejskich. Był zatem nie tylko Europejczykiem z urodzenia. Można powiedzieć, że był także europejskim patriotą, bo pragnął Europy silnej.

Niektórzy mówią, że polityka generała, czyli gaullizm, była ufundowana na nacjonalizmie. Generał uważał, że trzeba odróżnić zły skrajny nacjonalizm od normalnego szacunku dla poszczególnych narodów. Nie uważał się za nacjonalistę, raczej był narodowcem. Chciał Francji silnej, ale nie kosztem krzywdy innych państw. Wierzył, że narody są głównymi elementami życia międzynarodowego. Generałowi nie chodziło o to, by tylko Francji zapewnić miejsce w świecie. Chciał, by wszystkie kraje miały poczucie narodowe. On popierał swój naród i jednocześnie szanował inne narody.

Uważał, że Europa ma być zbudowana z państw, a nie wbrew nim czy zamiast nich. Jego ideę europejską dobrze ilustruje pewien cytat z jego wypowiedzi: „Narodów nie da się jednaczyć, tak jak jednaczyć się kasztany w purée z kasztanów. Trzeba szanować ich osobowość”. W „Pamiętnikach nadziei” podkreślał cywilizacyjną jedność Europy. Nie chciał, by ktokolwiek jednaczył Europę siłą. Stąd mimo zafascynowania epoką napoleońską nie uważał Napoleona za prawdziwego Europejczyka, za właściwy wzór do naśladowania.

Odrzucał zatem przymusowe zjednoczenie, mechaniczną unifikację i pomysł na ponadnarodowe władze Europy. To go różniło od takich zwolenników integracji kontynentu jak Richard Coudenhove-Kalergi, Jean Monet czy Józef Retinger.

RODZINA NARODÓW

Spór o sposób jednoczenia Europy objawił się już w 1948 r., gdy na kongresie

haskim Winston Churchill wezwał do zjednoczenia kontynentu. Już wtedy nastąpiło pęknięcie. Jedni byli za stworzeniem superpaństwa europejskiego, a inni za współpracą międzyrządową. Dla de Gaulle'a w Europie nie ma nic poza narodami, które budują swoje państwa. Uważał, że państwa mogą upadać czy przegrywać wojny, ale narody trwają przez wieki. To państwa są wynikiem umowy społecznej. Poszczególne narody mają swoją tożsamość i swoją historię. Zatem de Gaulle odrzucał ideę władzy ponadnarodowej, jako że byłby to twór sztuczny i niedemokratyczny.

Skoro nie ma narodu europejskiego, to nie można być państwem europejskiego. Europa to rodzina narodów, a nie jeden naród. Swoją koncepcję Europy gen. de Gaulle przedstawił wprost w poufnym memorandum z 30 lipca 1960 r., które skierował do kanclerza Adenauera. Nie

Kraje UE mogą przyszłość Europy budować drogą niemiecką lub drogą gen. Charles'a de Gaulle'a

ma wątpliwości, że chciał nadal umacniać ten model integracji, który ustanowiono 25 marca 1957 r., podpisując traktaty rzymskie. Wtedy powołano EWG, której celem była budowa jednolitego rynku. W memorandum pisał, że Europa ma się opierać na sile narodów i na współpracy państw. Uważał, że wszelkie ponadnarodowe instytucje Europy mają być podporządkowane rządowi i nie mogą mieć żadnych uprawnień decyzyjnych. Decyzje organów wspólnych nie mogą dotyczyć polityki wewnętrznej ani ustroju poszczególnych państw. W polityce zagranicznej i w sprawach bezpieczeństwa ma obowiązywać solidarność. Te decyzje mają zapadać jednomyślnie, ale obowiązują tylko te kraje, które za nimi głosowały, natomiast nie obowiązują krajów, które wstrzymały się od głosu. Zdaniem generała Europa nie ma być ani federacją, ani superpaństwem, lecz związkiem państw narodowych.

Organy europejskie nie mogą osłabiać państw narodowych, bo są od tego, by realizować ich decyzje.

W ślad za memorandum de Gaulle'a w 1961 r. ówczesny ambasador Francji Christian Fouchet zaproponował utworzenie Unii Państw Europejskich. Główną instytucją takiej unii miała być rada złożona z premierów lub prezydentów z poszczególnych państw. Generał nie używał określenia „Europa ojczyzn”. Natomiast podkreślał, że fundamentem Europy są nie tylko tradycja i kultura, lecz także państwa. Główny cel generała to uwolnienie Europy od zależności mocarstw pozaeuropejskich. Uważał, że jest to możliwe tylko na drodze współpracy międzyrządowej, a nie pod przymusem.

Dziś stajemy przed pytaniami, które były już rozważane w czasach gen. de Gaulle'a, mianowicie: Jak dalej prowadzić projekt europejskiej integracji? Kiedy Europa będzie silna? Czy deprecjonować znaczenie narodów i państw, co pozwoli na zbudowanie superpaństwa, czy też stawiać na Europę opartą na współpracy międzyrządowej?

W sporze o model europejskiej integracji gen. de Gaulle zajmuje bardzo wyraźne stanowisko. Dziś wielu zwolenników Unii Europejskiej nie podziela jego poglądów. Czy to znaczy, że generał nie był dobrym Europejczykiem? Kto w sporze między federalistami a zwolennikami współpracy międzyrządowej ma rację? Skąd mamy wiedzieć, która koncepcja integracji jest lepsza?

Na razie wiedzę na ten temat mamy tylko z historii. Z niej wynika jednoznacznie, że jednoczenie Europy za pomocą przemocy, wbrew woli narodów i kosztem uprawnień poszczególnych państw, kończyło się katastrofą lub zbrodnią. Tą drogą próbował zjednoczyć nasz kontynent Napoleon. Także Niemcy takiej drogi już próbowali. Zatem chyba nie warto powtarzać ich błędów.

Kraje Unii Europejskiej mają problem. Mogą przyszłość Europy budować drogą niemiecką, którą forsuje przyszły kanclerz Friedrich Merz, lub drogą gen. Charles'a de Gaulle'a. Najwyższy czas, by mieszkańcy naszego kontynentu zabrali głos i w referendum zdecydowali, jakiej pragną Europy. W końcu demokracja jest uznana za główną cechę Unii Europejskiej. Wkrótce zobaczymy, czy elita rządząca w Brukseli pozwoli zwykłym obywatelom zabrać głos w referendum i wypowiedzieć się na temat naszej przyszłości.

Kościół jako egalitarna demokracja



FOT. MARCO WLODARZ/PA-AGENCYJNE/IMAGO SPORT/FORUM



Paweł Chmielewski

Papież Franciszek rozpoczął przygotowania do huczego aktu „demokratyzacji” katolicyzmu. Chce ograniczyć rolę biskupów, zwołując egalitarne Zgromadzenie Kościelne. Czegoś takiego nie było jeszcze nigdy w historii

W połowie marca, kiedy papież przebywał jeszcze mocno osłabiony w szpitalu, Stolica Apostolska opublikowała niezwykle list. Podpisał się pod nim szef Sekretariatu Synodu Biskupów, kard. Mario Grech. Zadeklarował, że ogłasza wolę schorowanego Franciszka. Papież chce – pisał – żeby przez trzy kolejne lata katolicy na całym świecie dyskutowali nad „synodalnością”, kończąc to wszystko bezprecedensowym wydarzeniem. W październiku 2028 r. w Rzymie zbierze się Zgromadzenie Kościelne, wprowadzając katolicyzm na nowe tory. Czytelnicy „Do Rzeczy”, którzy

śledzą sytuację w Kościele, mogą mieć déjà vu. Czy podobny trzyletni proces dyskusji o wszystkim i niczym właśnie się nie zakończył? Rzeczywiście, tak właśnie było. W 2021 r. Franciszek postanowił rozpocząć tzw. Synod o synodalności. Nakazał katolikom debatować najpierw w parafiach i diecezjach. Później wymagał od episkopatów sporządzenia stosownych raportów. Wreszcie specjalne komórki synodalne zorganizowały wielkie spotkania na wszystkich kontynentach. Na końcu odbyły się w Rzymie dwa synody, które przyjęły w październiku 2024 r. „Dokument końcowy” mający nadać konkretny kierunek Kościołowi w XXI w.

KOŚCIELNA NOWOMOWA

„Dokument” składał się w dużej mierze z kościelnej nowomowy. Czytaliśmy, że „trzeba podróżować razem”, „wysłuchiwać się w głos Ludu Bożego”, przeżywać „synodalne nawrócenie relacji”. Gdyby jakiś nieznający kontekstu katolik wziął ten świstek do ręki i jakimś cudem przez niego przebrnął, za nic nie zrozumiałby, o co w tym chodzi. A gdyby mu powiedzieć, że to owoc trzyletnich, ogólnoswiatowych konsultacji... Oczywiście Franciszek nie wymyślił całej inicjatywy

bez celu. W „Dokumencie końcowym” zawarto kilka kluczowych zdań, które mówią o decentralizacji Kościoła. Chodzi o to, żeby w przyszłości katolicy w różnych krajach mogli kształtować doktrynę i moralność na własny sposób, w pewnej niezależności od innych.

Papież, najpewniej widząc brak treści finalnego tekstu „Synodu o synodalności”, wydał jeszcze w listopadzie krótką „Notę wyjaśniającą”, gdzie wskazał na jeden aspekt koniecznych zmian, właśnie na decentralizację. Problem w tym, że choć papier przyjmie wiele, to świat niekoniecznie się od tego zmieni. Być może dlatego Franciszek postanowił teraz „poprawić” Synod o synodalności – i poniekąd zwołać go jeszcze raz.

Zgodnie z listem kard. Maria Grecha wielkie synodalne dyskusje ruszą już w czerwcu – w każdej diecezji. Biskupi wraz z grupami synodalistów mają się zastanawiać, jak ukonkretnić demokratyczną rewolucję w Kościele. Co zrobić, żeby mniej było klerykalizmu, a więcej partycypacji świeckich? Na podstawie zebranych doświadczeń ogólnonarodową strategię synodalizacji ma opracować każdy episkopat. Następnie Watykan zorganizuje spotkania ciał kontynentalnych,

a wreszcie, po trzech żmudnych latach, odbędzie się nieszczęsne Zgromadzenie Kościelne.

Tak naprawdę to jedyny rzeczywiście nowy element całości. Synody, które odbywały się w ostatnich latach, tak naprawdę były pseudosynodami. Uczestniczyli w nich nie tylko biskupi (jak powinno być zgodnie z zasadami), lecz także świeccy, wszyscy głosując na równi. Zgromadzenie Kościelne to coś innego. Choć Watykan nie podał jeszcze bliższych szczegółów organizacyjnych, od kard. Grecha wiadomo już, że nie będzie to ani prawdziwy Synod Biskupów, ani nawet coś, co nieudolnie próbuje go udawać. Wszystko wskazuje na to, że tym razem Stolica Apostolska chce postawić na zupełnie jawne odejście od normalnej procedury podejmowania w Kościele decyzji, tak żeby wyrazić włączyć w proces świeckich i w ten sposób „obalić” arystokratyczno-klerykalną władzę duchowieństwa.

Ma to zapewnić większą zgodność pomiędzy Kościołem a współczesnością. Kościół katolicki został założony przez Jezusa Chrystusa na fundamencie św. Piotra i apostołów. Pojawił się w Imperium Romanum, „dzieciństwo” przeżywając pod rządami cesarzy. Później przez długie wieki rozwijał się w systemie monarchicznym. Można powiedzieć, że zarówno ze względu na wolę samego Chrystusa, jak i wskutek okoliczności historycznych oraz politycznych Kościół jest całkowicie antydemokratyczny. Tymczasem nasze czasy – wprost przeciwnie, z demokracji czynią nieledwie bożka. Na tym polega jeden z głównych problemów wielu progresywnych katolików. Marzą o „byciu na czasie”, zgodności między katolicyzmem a dniem dzisiejszym, w czymś przeciwnym widząc jakąś ogromną przeszkodę dla działalności ewangelizacyjnej. Do tej grupy – jak powszechnie wiadomo – należy również Jorge Mario Bergoglio. Dlatego nie może opierać się na sprawdzonych rozwiązaniach, jak sobory czy synody. One po prostu nie przystają do zadania, które sobie wyznaczył. Żeby dokonać demokratycznej, egalitarnej rewolucji, Franciszek potrzebuje nowych instrumentów, właśnie takich jak Zgromadzenie Kościelne.

Organizacja tego wydarzenia bardzo poważnie zagraża hierarchicznej i apostolskiej strukturze Kościoła. Przyczyna

jest prosta – Kościół katolicki jest rządzony przez papieża, ale we współpracy z biskupami. Władza biskupów jest ściśle ograniczona; nawet na soborze nie podejmują własnych, większościowych decyzji, dokumenty soborowe są ogłaszane przez następcę św. Piotra. Ponadto papież nie jest w żadnym razie dyktatorem, któremu wolno robić, co tylko chce; musi respektować również biskupów. Na tym polega apostolska struktura Kościoła, z tego wynika historia soborów i synodów we właściwym sensie. Zwołanie Zgromadzenia Kościelnego, które manifestacyjnie obnosi się ze swoim egalitarnym charakterem, może stać się rażącym zerwaniem z tą apostolską strukturą.

REFORMA FRANCISZKA

Kardynał Grech w jednym z wywiadów przekonywał, że nie trzeba się obawiać, bo Zgromadzenie Kościelne, czymkolwiek by było, ma tylko głos doradczy; ostatecznie i tak zdecyduje papież. To zachowuje wprawdzie monarchiczność, ale wynaturzoną. Czyni z papieża kogoś, kim właściwie nie jest – swego rodzaju despotycznego autokratę, który może dowolnie żonglować „poddanymi”, wypychając biskupów i świeckich w jakieś równościowe kolektywy oraz ignorując istniejącą pomiędzy nimi różnicę wynikającą ze święceń.

Na ten problem już jakiś czas temu zwracał uwagę kard. Gerhard Müller. Były prefekt Kongregacji Nauki Wiary bardzo krytycznie ocenił reformę Kurii Rzymskiej, którą Franciszek przeprowadził w 2022 r. Papież zdecydował wtedy, że najważniejszymi urzędami tej kurii mogą kierować zarówno kardynałowie oraz biskupi, jak i ludzie świeccy. Müller wskazywał, że to poważny błąd, ponieważ w Kościele władza rządzenia jest związana z sakramentem święceń, o czym nauczał również Sobór Watykański II. Reforma Franciszka to jednak zupełnie ignorowała. Papież zdawał się zakładać, że wszelka władza rządzenia pochodzi wyłącznie od niego samego, nie mając nic wspólnego z sakramentem.

Wielu komentatorów pontyfikatu Franciszka uważa, że Jorge Mario Bergoglio za bardzo nasiąknął peronizmem – specyficznym sposobem sprawowania władzy, realizowanym w Argentynie przez Juana Peróna, rozumiejącego się jako ludowy

przywódca, który prowadząc kolektyw narodowy, może obalać różne ustalone struktury i obyczaje. Uważa się, że obecny papież, świadomie bądź nie, przejął ten model, usilnie starając się zostać analogicznym autorytarnym przywódcą. Zwalcza zaciekle „kościelną arystokrację” – księży i biskupów, bo arystokracja stroni od radykalizmu, a on właśnie radykalizmu potrzebuje. Ten kierunek stał się dobrze widoczny w 2021 r., kiedy papież ogłosił decyzję ograniczającą możliwość sprawowania Mszy Świętej w tradycyjnym rycie. Odebrał wtedy kompetencje przynależące biskupom, każąc o wszystko pytać urzędników w Watykanie, czyli swoich bezpośrednich podwładnych. „Zgromadzenie Kościelne”, które wedle wszelkich przewidywań będzie stawiać biskupów z niebiskupami w jednym rzędzie, może okazać się zwieńczeniem tej ofensywy wymierzonej w hierarchiczność, tak by na końcu w Kościele zostały tylko dwa podmioty – wszechwładny papież i jego „poddani”. Ci drudzy, podzieleni wprawdzie na różne kategorie zależnie od funkcji, w obliczu majestatu i potęgi autokraty – wszyscy tak samo marni.

Nie wiadomo jednak, czy Franciszek doprowadzi swoje dzieło do końca. W szpitalu przeszedł ciężkie chwile, dwukrotnie znajdując się na skraju śmierci. Łatwo sobie wyobrazić, że przed październikiem 2028 r. na tronie św. Piotra zasiądzie nowy papież. Niewykluczone, że następca Jorge Maria Bergoglio nie będzie mieć tych samych peronistycznych skłonności. Formuła sprawowania władzy, którą Franciszek narzuca Kościołowi, może być w związku z tym tak naprawdę bardzo przejściowa. O wiele większym problemem jest to, co zmieni się na płaszczyźnie doktrynalnej i moralnej. Przecież Franciszek nie dąży do ustanowienia „tyranii z poparciem ludu” wyłącznie dla niej samej. Ostatecznym celem jest przeforsowanie konkretnych zmian, jak laksyzm w moralności seksualnej, deprecjacja kapłaństwa, uznanie innych religii za uprawnione drogi rozwoju duchowego i wiele innych. Egalitarna synodalność zdaje się po prostu dobrze temu służyć. Czy Zgromadzenie Kościelne spełni pokładane w nim nadzieje, dowiemy się wkrótce.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

Początek XX w., więzienie Dartmoor.
Wymarsz więźniów do pracy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wieżenie Królowej – to brzmi dumnie



Piotr Semka z Dartmoor

Dartmoor – to słowo dla Anglików jest symbolem najcięższego więzienia położonego na nieprzychylniej człowiekowi ziemi. Dziś samo więzienie jest zamknięte, ale obejrzeć można przywiezione muzeum. Niewykluczone jednak, że stare mury znów wypełnią się więźniami

Pamiętają państwo „Psa Baskerville’ów” Arthura Conana Doyle’a? Scenerią zmagania Sherlocka Holmesa z niegodziwcem napuszczającym upiorną bestię na swoje ofiary były niemal bezludne uroczyska na pograniczu Devonu i Kornwalii. A dodatkowym elementem grozy w powieści

było najcięższe brytyjskie więzienie Dartmoor koło niewielkiej miejscowości Princetown. Akurat w samym środku tej nieprzychylniej człowiekowi ziemi. Terenów wiecznych i kamienistych pełnych zdradliwych bagnisk. Dartmoor – to słowo dla Anglików jest symbolem najcięższego więzienia położonego w tych posępnych stronach. Coś w rodzaju angielskiego mini-Sybiru.

I właśnie tu stać przed muzeum więziennym. Wszystkie budynki zbudowano z bloków szarego kornwalijskiego kamienia, co jeszcze zwiększa ponure wrażenie. Ale, co ciekawe, nikt nie traktuje takiej placówki jako czegoś wstydliwego. Wręcz na odwrót. Dumna tablica u wrót warowni głosi: „Her Majesty Prison Dartmoor”. Muzeum więzienia Jej Królewskiej Mości.

Do samej placówki penitencjarnej, wystylizowanej architektonicznie na średniowieczny zamek, nie można wejść. Ale w muzeum gościnny kustosz wręcz

zasypuje widza opowieściami z dreszczykiem. Przypominają się angielskie czarne komedie, w których ekscentryczni kolekcjonerzy z chęcią witają turystów ze wszystkich stron świata, aby opowiedzieć im o brytyjskich niesamowitych historiach.

Umiejętność, z którą Brytyjczycy potrafią rozprawić o nawet najbardziej ponurych miejscach swej historii, budzi zazdrość.

KAJDANY DLA OBCYCH

Na początku XIX w. im dłużej trwały wojny w Wielkiej Brytanii z Napoleonem, tym – siłą rzeczy – bardziej zwiększała się liczba francuskich jeńców. Początkowo „żabojadów” trzymano na tzw. hulkach, czyli na statkach odgrywających rolę więzień zacumowanych w Plymouth.

Ale Wielka Brytania była wówczas w epoce oświecenia i urzędnicy państwowi martwili się o fatalne warunki higieny na więziennych statkach, które były źródłami epidemii. Oświeceni-

wy reformator sir Thomas Tyrwhitt – przyjaciel następcy tronu, który jednocześnie ma honorowy tytuł księcia Kornwalii – zaproponował królowi Jerzemu IV budowę dużego więzienia dla jeńców w centrum bagnisk Dartmoor.

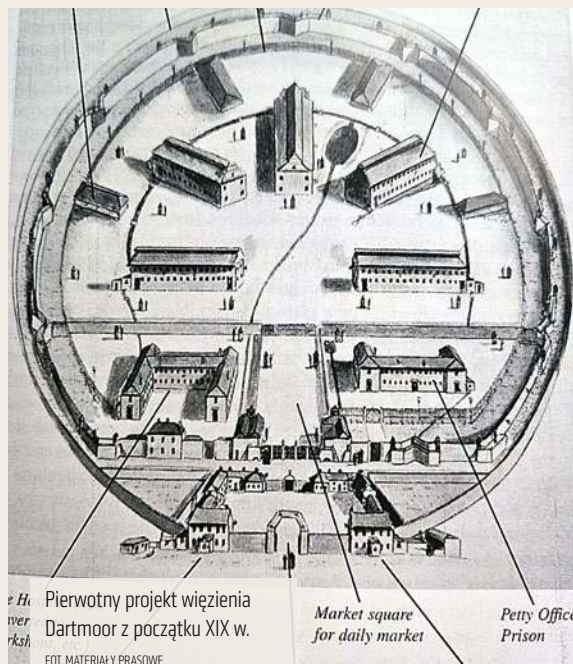
Zlecenie na projekt wzorcowego więzienia obozu uzyskał bardzo znany wówczas architekt Daniel Asher Alexander (1768–1846), do dziś sławiony jako budowniczy londyńskich doków i stylowych latarni morskich na angielskim wybrzeżu.

Alexander zaplanował więzienie supernowoczesne. Wszystkie budynki znajdowały się w obrębie koła, w którego ramach poszczególne pawilony i budynki gospodarcze rozchodziły się jak szprychy od centrum kompleksu więziennego we wszystkie strony. Obiekt zaplanowano na 5 tys. więźniów. Całość otaczał podwójny mur.

Co ciekawe, o budowie więzienia zadecydowały koszty. Buchalterzy Korony wyliczyli, że roczne koszty utrzymania więźniów na wielu statkach to 18 tys. funtów, a zbudowanie jednego solidnego więzienia będzie dużo bardziej opłacalne.

Sir Thomas Tyrwhitt położył kamień węgielny pod twierdzę 28 marca 1806 r., a już od 1809 r., jeszcze w trakcie budowy, przybywały tu transporty francuskich jeńców. W tym czasie wybuchła zupełnie niespodziewana wojna między USA a Wielką Brytanią. Prezydent James Madison wściekł się na serię ataków brytyjskiej Royal Navy na statki amerykańskie i wypowiedział Londynowi wojnę. Nic dziwnego, że już od kwietnia 1813 r. pierwsi amerykańscy jeńcy trafili do Dartmoor. Było ich ponad 6 tys. i zostali oddzieleni od Francuzów w osobnej sekcji więzienia, w tzw. American depot.

I znów, co ciekawe, autorzy wystawy podkreślają, że raczej żywnościowe dla jeńców nie były może jakimś luksusem, ale na pewno były o niebo bardziej wartościowe niż to, co jedli w tym czasie robotnicy brytyjskiego wielkiego przemysłu. Jest paradoksem, że amerykańscy jeńcy zbuntowali się właśnie tuż po grudniu 1815 r., kiedy USA i Wielka Brytania zawarły pokój. Ale z jakichś biurokratyczno-dyplomatycznych powodów nikt nie kwapił się z odesłaniem Jankesów do



domu. A gdy jeszcze doszło do trzydniowego zawieszenia wydawania chleba, amerykańscy jeńcy wywołali bunt.

Brytyjskie władze postanowiły stłumić rebelię twardą ręką. Oddziały wojska strzelały do tłumu i zakłuwały najbardziej agresywnych bagnietami. Sześciu Amerykanów zastrzelono od razu, trzech zmarło od ran, a 30 odniosło ciężkie obrażenia. Teraz Amerykanie zapłoneli gniewem i wznowienie wojny wisiało na włosku. Sam następca tronu Wielkiej Brytanii musiał napisać do prezydenta Madisona list z przeprosinami. Ale – jak podkreślają amerykańscy historycy – żadnemu z dowódców nie spadł włos z głowy. W Waszyngtonie dobrze zapamiętano sobie ten symboliczny policzek.

CIEMNICA ALBIONU

Ostatni francuscy jeńcy opuścili Dartmoor w lutym 1816 r. Ponieważ Korona nie prowadziła aktualnie żadnej wojny, więzienie stało puste. Co ciekawe, do władz Księstwa Kornwalii zgłosili się obrotni biznesmeni z firmy British Patent Naphtha Company, którzy wynajęli cały kompleks więzienny dla komercyjnej produkcji gazu i oleju uzyskiwanego z przerobu torfu z mokradeł Dartmoor.

Wszystko toczyło się bardzo dobrze dopóty, dopóki małżonek królowej Wiktorii, książę Albert, nie obejrzał więzienia i nie wyraził swego oburzenia, że wybudowany za pieniądze skarbu Korony

obiekt służy jakimś geszefciarzom. Gniew księcia małżonka przyniósł skutek i w 1850 r. ogłoszono powstanie Dartmoor Convict Prison, czyli więzienia dla skazanych w Dartmoor. Przyczyną tego zwrotu w dziejach ponurej twierdzy była zmiana polityczna. Od połowy XIX w. zarówno Kanada, jak i potem Australia odmówiły przyjmowania skazańców ze starej dobrej Anglii, informując Londyn, że ze swoimi wyrzutkami społeczeństwa musi radzić sobie sam.

W tej sytuacji w myśl surowej wiktoriańskiej moralności wymyślono, że najniebezpieczniejszych skazańców będzie się tu wychowywać przez pracę (brzmi znajomo?), a na dodatek wykorzysta ich się do osuszania i rekultywacji tego bagnistego zakątka Anglii.

Jak wynika z opowieści kustosa oprowadzającego mnie po muzeum, to typowe dla wiktoriańskiego dwójmyślenia. Kornwalijska ciemnica miała być jednocześnie instytucją brutalnych kar oraz miała zajmować się dźwiganiem przestępców poprzez wpajanie im zasad chrześcijańskiego zerwania z grzechem.

Przystając przed skomplikowanym statywem z drewna, na którym rozpięto więźniów skazanych na ciężką chłostę. Pod szkłem można oglądać słynnego „kota z dziewięcioma ogonami”, czyli pejcz z dziewięcioma rzemieniami zakończonymi metalowymi kulkami. W wypadku łagodniejszych przewinień w grę wchodziła chłosta brzożową witką. Mój cicerone tłumaczy, że brzożowe witki moczone, aby były jeszcze bardziej sprężyste. Tuż obok zdjęcie karceru, w którym w ciemności na betonie o chlebie i wodzie trzymano więźniów za najpoważniejsze przekroczenia. Ale – co ciekawe – w samym więzieniu egzekucji nie wykonywano. Skazańców wysyłano do pobliskiego miasteczka Exeter.

Tyle o metodzie kija. A co z marcehwką? Do dyspozycji więźniów była całkiem dobrze zaopatrzona biblioteka. W obawie przed epidemiami co tydzień wszyscy musieli odwiedzać łaźnię. Sławę zdobył więzienny chór wykonujący anglikańskie psalmy, który ponoć osiągnął całkiem spory poziom wokalny. Co ciekawe, tylko anglikanie, katolicy i Żydzi



Pościg za zbiegłym więźniem w latach 60. XX w.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ mieli prawo do osobnych nabożeństw. Więźniów pomniejszych chrześcijańskich nominacji, takich jak kwakrzy, zielonoświątkowcy czy purytanie, prowadzono w niedzielę do zbiorczego pokoju modlitw tzw. Multi-Faith-Room.

A jak wyglądało menu? Jak zapewnia muzeum, podobno całkiem nieźle jak na tamte lata. O godz. 6 rano serwowano owsiankę na wodzie i chleb. O 11.30 obiad złożony z zupy z ziemniakami zagryzanych chlebem, a na kolację o 18 był chleb i – uwaga! – kakao.

Ale nie ma co się oszukiwać. Większość dnia więźniowie spędzali przy ciężkiej pracy bądź w kamieniołomach w Dartmoor, bądź przy osuszaniu okolicznych mokradeł.

WIĘZIENNE SŁAWY

Nie sposób ominąć galerii więziennych celebrytów z przełomu wieków XIX i XX, ale te sławy polskiemu widzowi niewiele mówią. Kto dziś pamięta o George'u Bidwellu, człowieku, który w 1971 r. oszukał Bank Anglii na gigantyczne sumy, czy Jamesie Combie – mordercy znanej XIX-wiecznej brytyjskiej aktorki? O wiele większe zainteresowanie, szczególnie wśród zwiedzających z Irlandii, wzbudzą niepodległościowcy z Zielonej Wyspy, których tu trzymano, tacy jak np. Michael Davitt (1846–1906), twórca konspiracji Irlandzkiego Bractwa Republikańskiego.

Najsłynniejszym więźniem Dartmoor był Éamon de Valera (1882–1975), który był chyba jedynym pensjonariuszem tego więzienia, który został potem głową państwa. De Valera należał do przywódców irlandzkiego powstania wielkanocnego w Dublinie w kwietniu 1916 r. Pojmany po

stłumieniu rebelii cudem uniknął śmierci. Angielscy dowódcy mieli go już rozstrzelać, podobnie jak wszystkich pozostałych liderów zrywu, ale w ostatniej chwili zainterweniowało Foreign Office. Na szczęście dla de Valery urodził się on w Ameryce i miał obywatelstwo USA. Akurat w tym czasie rząd w Londynie robił wszystko, aby Ameryka weszła do wojny z państwami centralnymi po stronie ententy, i uznano, że rozstrzelanie amerykańskiego obywatela doprowadzi Jankesów do furii. De Valera dostał więc wyrok dożywocia zamiast kulki w łeb, ale po kolejnych naciskach Waszyngtonu zwolniono go w 1917 r. na mocy amnestii. Rok później Irlandczycy wybrali go w wyborach do brytyjskiego parlamentu. Nieźle musieli się zdziwić dartmoorscy strażnicy, widząc w brytyjskich gazetach zdjęcia swego niedawnego podopiecznego przy okazji otwarcia kolejnej sesji Izby Gmin. De Valera będzie potem, aż do śmierci w 1975 r., wieloletnim prezydentem wolnej Irlandii.

Osobnym epizodem w dziejach Dartmoor byli tzw. conbies. Byli to Anglicy, którzy z powodów religijnych bądź laickich zasad pacyfizmu odmawiali wzięcia broni do ręki i nie godzili się na służbę w armii brytyjskiej. W sensie formalnym nie byli więźniami, ale obywatelami podlegającymi nakazom sądowym, którzy w zamian za uchylenie się od wojska zostali wyznaczeni do przymusowej pracy. W skali całej Wielkiej Brytanii nie było ich tak wielu, bo łącznie grupa ta liczyła 16 tys. osób. Większość z nich trafiła w czasie wojny właśnie do Dartmoor, gdzie kierowano ich do osuszania bagien.

Wystawę kończy opowieść o dwóch wielkich buntach. Pierwszy, w 1932 r.,

wybuchł z powodu coraz bardziej bezczelnego rozważniania owsianki. Doszło do buntu, w którym 150 więźniów zdemolowało większość więzienia, a potem podpaliło jeden z bloków. Rebelię z trudem stłumiły specjalne oddziały policji, które asekurowali żołnierze 8. brygady piechoty. I wreszcie ostatnia rebelia, która miała miejsce w 1990 r., ale była już elementem szerszej akcji, w wyniku której zapłonęły liczne inne brytyjskie zakłady penitencjarskie. Po tym buncie w Dartmoor trzymano już mniej groźnych, głównie młodocianych przestępców.

CIĄG DALSZY NIEJASNY

Muszę przyznać, że całe to muzeum robi przedziwne wrażenie. Nieco przypomina wiktoriańskie zbiory osobliwości. Ekspozaty są zgromadzone od Sasa do Lasa. Obok gabloty z niebezpiecznymi przedmiotami, które skonfiskowano więźniom w ciągu ostatnich 50 lat – gipsowe figurki z bohaterami bajek, które więźniowie wykonują dla dzieci z sierocińców brytyjskich. Potem sekcja obrazów religijnych wykonywanych przez więźniów, a tuż obok wypchane najbardziej zasłużone psy policyjne, wykorzystywane przy pościgach za uciekinierami. Wszystko to trochę w atmosferze prowincjonalnych brytyjskich muzeów lokalnych, pełnych pamiątek i wielkich zdjęć zbiorowych, na których strażnicy więzienni z sumiastymi wąsami à la marszałek Kitchener patrzą w obiektyw z poczuciem niezłomnej dumy ze służby Koronie.

Więzienie Dartmoor zostało zamknięte latem 2024 r. po tym, jak badania wykazały groźne dla zdrowia stężenie radonu. Jest to bezwony i bezbarwny radioaktywny pierwiastek, który wydzieła się ze skał, torfowisk i gleby kornwalijskiej. Ale oprowadzający mnie kustosz wierzy, że więźniowie za pewien czas wrócą do kornwalijskiej twierdzy.

„Podjęto już środki zaradcze mające na celu ograniczenie narażenia na radon i w ciągu paru lat więzienie znów się napełni” – mówi mi z optymistycznym uśmiechem mój przewodnik. W sumie racja. Szkoda, by taki wielki kompleks więzienny stał pusty. A słabości ludzkiej natury pewnie przynajmniej na razie nie znikną.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zasady składania wizyt w muzeum więziennym na stronie: dartmoor-prison.co.uk.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Rabusie z UB

Pisząc o sytuacji w Polsce Ludowej w dekadzie po 1944 r., mamy na myśli przede wszystkim masowe represje. Tysiące kar śmierci, setki tysięcy skazanych i przetrzymywanych w więzieniach oraz aresztach. Ale to nie było wszystko.

Aresztowaniom, pacyfikacjom i obławom towarzyszyły bowiem rabunki na masową skalę. Przedstawiciele „władzy ludowej” brali wszystko: od obrączek, łańcuszków, krzyżyków, pierścionków (to cenili najbardziej), do dóbr bardziej przyziemnych i mizernych. Na szczęście zachowało się bardzo wiele ich sprawozdań i meldunków, aby zdać sobie sprawę z masowych grabieży. Dla nich wszystko miało wartość. Oto typowy „Protokół konfiskaty” dokonanej nie na podstawie wyroku sądu, ale na polecenie oficerów UB. Brali m.in. następujące rzeczy: kapy na łóżko, palta dziecięce, sukienki dziecięce, firanki drzwiowe, obrazy ściennie (!), makatki, lustra, krzesła, stoły, kury, wiadra, miednice, świny, krowy, wiadra, poduszki, pierzyny. Obrobowany nie był w „bandzie”, ale był łakomym kąskiem. I ta adnotacja ubeka: „Konfiskaty dokonano zgodnie z prawem”. Tak, zgodnie z prawem kaduka!

Powszechną praktyką było odzieranie prawie do gołej skóry ofiar pacyfikacji i poległych w walkach. Na zachowanej dokumentacji zdjęciowej widać, że ciała po-

zbawione były butów, spodni, koszul, kurtek. To wszystko można było bowiem spieniężyć i przeznaczyć na wódkę, jako w nagrodę za udaną akcję. Na ogół sprawcy nie oddawali wszystkiego przełożonym i za to byli represje. Złapani na gorącym uczynku musieli oddać wszystko i byli karani. Jak? Dwa tygodnie aresztu domowego, czyli był to swego rodzaju urlop! Niektóre raporty UB są bardzo drastyczne. Na przykład żona ubeka musiała zdobyć spodnie „uprać z krwi” przed ich sprzedażą. W innym przypadku zauważyli w zwłokach złote zęby. Były one wybijane butami. Ubek Makówka „włożył rękę w gardło i wyjął złotego zęba”. Ubek Legięza o powyższych faktach dowiedział się, „gdy w konsumie przy wypiciu wódki śmiali się, jak który jakie czynności wykonywał”.

Dziś, gdy ich następcy gardlują o „prawach nabytych” do emerytury, pamiętajmy, w jakim resorcie pełnili służbę i czym się zajmowali. To nie była przecież naturalna ochrona prawa i porządku, konieczna w każdym ustroju. Aparat bezpieczeństwa publicznego był bowiem zorganizowaną na masową skalę instytucją, przeznaczoną do zniewolenia podbitego społeczeństwa, likwidacji „wrogich elementów” oraz masowej, bezprzykładnej grabieży.

Po 1989 r. ci ludzie nie zostali rozliczeni, nie stawali przed sądami, żyli bezpiecznie i dostatnio. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Jego ekscelencja subiekt

Eugeniusza Bodo nie zraziła plajta jego pierwszej wytwórni filmowej B-W-B i niebawem założył nową spółkę. Na cześć dawnego kinoteatru ojca nazwał ją Urania-Film, a na biznesowego partnera wybrał producenta, Henryka Żelichowskiego.

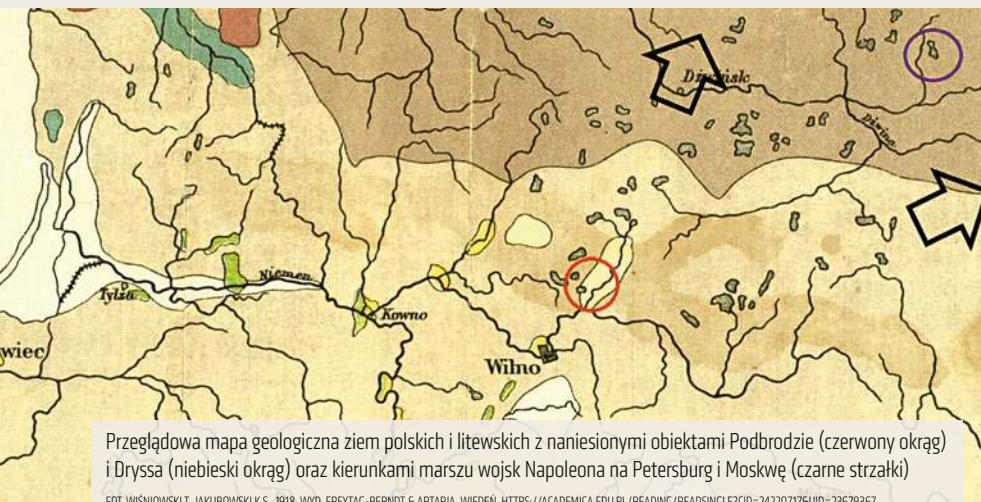
Wspólnicy nie zamierzali ograniczać się do produkcji na rynek krajowy. Doskonale wiedzieli, że prawdziwą popularność i wielkie pieniądze można zdobyć wyłącznie na zachodzie Europy, i planowali ekspansję za granicę. Uczciwie trzeba przyznać, że Henryk Żelichowski był dość odważnym człowiekiem. Współpraca z Bodo nie należała bowiem do najłatwiejszych, z czego doskonale zdawano sobie sprawę w środowisku filmowym. Gwiazdor mógł być znakomitym kompanem i świetnie sprawdzać się w różnych sytuacjach, ale miał przecież swoje wady.

Pierwszym filmem wyprodukowanym przez Uranię był „Jego ekscelencja subiekt” (premiera 7 kwietnia 1933 r.). Scenariusz napisał Konrad Tom, reżyserem był sprawdzony Michał Waszyński, a za kamerą stanął Seweryn Steinwurzel. Bodo kreował główną męską rolę, a partnerowała mu młoda aktorka kabaretowa Ina Benita, dla której była to dopiero druga przygoda z filmem – przygoda niezwykle ważna, bo dająca jej przepustkę do wielkiej kariery. Do roli filmowej matki Benity zaangażowano pewną,

nie najmłodszą już, spiewaczkę operetkową – w ten właśnie sposób przed kamerą zadebiutowała 54-letnia Mieczysława Ćwiklińska, która trwale zapisała się w dziejach polskiej kinematografii. Z perspektywy czasu trudno sobie wyobrazić kino lat 30. bez pani Mieczysławy w roli matki, babki czy teściowej.

„Jego ekscelencja subiekt” cieszył się ogromną popularnością, do której w dużym stopniu przyczyniły się udane piosenki Henryka Warsa („Tyle miłości”, „Złociste włoski”, „Ten krawat w grochy”). Nie wszyscy jednak byli zadowoleni, a na łamach opiniotwórczych „Wiadomości Literackich” ukazała się miazdząca recenzja pierwszej produkcji Uranii. Film uznano bowiem za „szczerą polską szmirę filmową”, a obrazowi nie pomogło nawet, że „Bodo jako subiekt dokonywał cudów zręczności na tle krawatek damskich, stołowych nóg i przyborów toaletowych”.

Bodo i Żelichowski byli jednak zadowoleni, bo film przyniósł zysk, a publiczność znakomicie się bawiła. Mieli też świadomość, że nikt jeszcze nie zadowolili wszystkich krytyków. A pan Eugeniusz dobrze wiedział, że aby zdobywać popularność i zarabiać duże pieniądze, wcale nie musi tworzyć wielkich dzieł kinowych. Chciał kręcić rozrywkowe filmy na dobrym poziomie i zamierzał ten cel osiągnąć. Niezależnie od tego, czy to się krytykom podobało czy nie. ©©



Przeglądowa mapa geologiczna ziem polskich i litewskich z naniesionymi obiektami Podbrodzie (czerwony okrąg) i Dyssla (niebieski okrąg) oraz kierunkami marszu wojsk Napoleona na Petersburg i Moskwę (czarne strzałki)

FOT. WIŚNIEWSKI T., JAKUBOWSKI K.S., 1918. WYD. FREYTAG-BERNDT & ARTARIA, WIEDEŃ, <https://academica.edu.pl/reading/readsingle?CID=24220776UID=23679367>

Geopolityczne fatum Podbrodzia



Andrzej Solecki

Geopolityczne fatum unoszące się nad torfowiskami Podbrodzia pochłonęło w marcu 2025 r. kolejne ofiary – amerykańskich żołnierzy

Tragiczna śmierć amerykańskich żołnierzy z pierwszej brygady trzeciej dywizji piechoty z Fort Stewart (Georgia), którzy utonęli w trakcie ćwiczeń na Litwie, obrazuje znaczenie budowy geologicznej terenu w działalności wojskowej. Ich opancerzony wóz ewakuacyjny M88 Hercules zatonął w torfowisku. Pojazd ten służył do naprawy lub ewakuacji uszkodzonych czołgów pod ostrzałem, a także do wydobywania pojazdów, które ugrzęzły w błocie. Główna wyciągarka w M88A2 jest w stanie podnieść ciężar 70 ton na jednej linii, niestety sam pojazd ważył od

50 do 63,5 tony i nie zawsze dobrze sobie radził w błotnistym terenie.

Tragedia miała miejsce w okolicach niewielkiego miasteczka Podbrodzie (lit. Pabradė), położonego przy drodze z Wilna do Dyneburga i dalej do Petersburga. Już w 1410 r. flamandzki rycerz walczący po stronie zakonu krzyżackiego, Gilbert de Lanois, był pod wrażeniem tamtejszych gęstych, nieprzebranych lasów z licznymi jeziorami i bagnami. Nazwa Podbrodzie wiąże się z brodem na Dubince, u jej ujścia do Żejmiany. Były to odludne tereny. Takie jak opisywane w „Panu Tadeuszu” przez Mickiewicza:

*Małe jeziora, trawę zarosła na poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dosiędzą
(Wielkie jest podobieństwo, że diabły tam siedzą).
Woda tych studni skłni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę.*

NIEBEZPIECZNE PIĘKNO

Z geologicznego punktu widzenia są to tereny pokryte utworami polodowcowymi, których rzeźbę ukształtowało ostatnie zlodowacenie, zakończone ok. 12 tys. lat temu. Gleby są tu zazwyczaj słabe, a liczne

zagłębienia wypełnione wodą tworzą małownicze, ale śmiertelnie niebezpieczne pojezierze. Niebezpieczeństwo to wynika z tego, że jeziora te sukcesywnie zarastają wodorostami, sitowiem, trawą, krzewami i drzewami. Muł jeziorny i torf tworzą wielometrową warstwę błota, często skrytego pod powierzchnią porośniętą trawą i krzewami. W wyniku fermentacji resztek organicznych powstaje metan, który zapalając się, daje pęgalące płomyki, unoszące się nad bagnami jak świecące oczy demonów. Bogate w białko gnijące resztki wydzielają siarkowodor, którego zapach jest kojarzony z zepsutymi jajami. W torfowiskach wytrącają się lokalnie rudy bagienne o charakterystycznej ceglastokrwistej barwie trójwartościowego żelaza.

Dla geologa tego typu jeziora są formą nietrwałą, która zanika w ciągu kilkunastu tysięcy lat, i nic tu nie pomogą ewentualne protesty ekologów. Na starej, wydanej w roku 1918 mapie geologicznej w skali 1:3 000 000 widać, że zaznaczony czerwonym kółkiem rejon Podbrodzia leży w obrębie takiego młodego litewskiego pojezierza.

Z RĄK DO RĄK

Według źródeł polskich pierwszymi właścicielami tych łąk demonicznych terenów byli Nosiłowscy – spolonizowani potomkowie litewskiego rodu Sakaitisów. 17 czerwca 1811 r. sprzedali oni swoje dobra Jerzemu Radziwiłłowi, ojcu nieszczęsnej Barbary Radziwiłłówny. Po śmierci Jerzego Radziwiłła Podbrodzie przeszło do rąk jego syna, Mikołaja Radziwiłła Rudego, który 8 czerwca 1582 r. podarował je Janowi Szwejkowskiemu. W czasie potopu szwedzkiego Podbrodzie było okupowane przez Rosjan. Po zakończeniu walk ze Szwedami, w roku 1664, Jan Kazimierz wydał właścicielowi tych ziem przywilej na zbudowanie mostu na Dubince i pobieranie opłaty za jego użytkowanie – 2 szylingi za konia, 1 szyling za krowę i 1 pens za drobne zwierzę.

Wdowa po Janie Szwejkowskim przeniosła prawo własności na Tyzenhausów – rodzinę swojego drugiego męża, którzy sprzedali w roku 1751 tę posiadłość Pranasowi Abramowiczowi za 3,1 tys. talarów. Z rąk Abramowiczów przeszła ona do Massalskich. Po ostatnim właścicielu z rodu Massalskich, bp. Ignacym Jakubie,

przejął ją Szymon Kossakowski, hetman wielki Wielkiego Księstwa Litewskiego. Obaj panowie magnaci mieli ogromne zasługi dla Rzeczypospolitej, za które zostali odznaczeni orderami Orła Białego. Obaj też zostali powieszzeni w trakcie powstania kościuszkowskiego za zdradę. Kossakowski 25 kwietnia 1794 r. w Wilnie, Massalski dwa miesiące później w Warszawie. Muzyczną oprawę wileńskiej „uroczystości” zapewniły dzwony kościoła św. Kazimierza, był to ostatni akord współdziałania Korony i Litwy w czasach pierwszej Rzeczypospolitej.

Rok później Podbrodzie zostało zajęte przez Rosjan, którzy założyli poligon na północny wschód od miasta, w pobliżu rzeki Żejmiany.

STRATEGICZNE MIEJSCE

W roku 1812 lewe, północne skrzydło napoleońskiej Grande Armée tworzył X Korpus Armijny dowodzony przez Étienne Macdonalda, liczący od 29 do 32 tys. ludzi, którego celem był marsz na Petersburg przez Podbrodzie. Na początku kampanii Aleksander I założył duży, ufortyfikowany obóz Dryssa flankujący od północy prowadzącą na Moskwę trasę przez Bramę Smoleńską, który dzięki położeniu pomiędzy szlakiem na Moskwę i na Petersburg stwarzał także możliwość wsparcia sił blokujących ten drugi kierunek. Istnienie tego obozu było przyczyną wydzielenia w Wilnie części sił głównych Wielkiej Armii (ok. 37 tys.) i skierowania jej bardziej północnym, prowadzącym przez Podbrodzie do Witebska szlakiem do Błogosławieństwa. Tak więc Podbrodzie zostało docenione jako dogodny punkt wypadowy w kierunku obu stołecznych miast Rosji, a przeprawa przez rzekę

Podbrodzie zostało docenione jako dogodny punkt wypadowy, a przeprawa przez rzekę w tej miejscowości kosztowała życie wielu żołnierzy Napoleona

w tej miejscowości kosztowała życie wielu żołnierzy Napoleona.

W tym samym miejscu przeprawiali się w roku 1831 oddziały litewskich partyzantów powstania listopadowego.

Strategiczne położenie Podbrodzia sprawiło, że przeprowadzono tędy linię kolejową Warszawa – Petersburg i w roku 1862 powstały tu kilka zapasowych torów oraz dwupiętrowy ceglany budynek stacyjny.

Nic więc dziwnego, że 13 czerwca 1863 r. pod Podbrodziem powstańcy styczniowi stoczyli bitwę z wojskami rosyjskimi. Rosjanie od tego czasu założyli stały garnizon w przyległej od północy do Podbrodzia Pohulance (Pažeimenė), będącej pierwszym przystankiem kolejowym w drodze z Podbrodzia na Petersburg. W roku 1904 Rosjanie zbudowali tu poligon wojskowy i most przez Żejmianę, skracając drogę do stacji kolejowej.

26 września 1908 r. w Bezdanych, stacji kolejowej położonej między Podbrodziem i Wilnem, Józef Piłsudski wraz z grupą bojowców PPS dokonał napadu na pociąg pocztowy. Był to jego spektakularny powrót do stron rodzinnych, gdyż urodził się on w roku 1886 w Żuławie, położonym 13 km na wschód od Podbrodzia.

W czasie pierwszej wojny światowej tereny te zajęli Niemcy. W II Rzeczypospolitej poligon w Pohulance wykorzystywał intensywnie Wojsko Polskie. Marszałek Piłsudski (w drodze na manewry prowadzone na terenie Okręgu Korpusu nr III o kryptonimie Podbrodzie) został powitany chlebem i solą przez mieszkańców Podbrodzia, którzy zaapelowali o przywrócenie praw miejskich, co istotnie nastąpiło.

W 1934 r. przy poligonie rozpoczęto budowę obozu wojskowego dla 3. Dywizji Artyleryjsko-Konnej, a w roku 1939, po realizacji paktu Ribbentrop-Mołotow, powstała tam sowiecka baza wojskowa.

Po uzyskaniu w roku 1991 niepodległości przez Litwę poligon ten odgrywał rolę centralnego poligonu armii litewskiej. W roku 2004, po wstąpieniu Litwy do NATO, stał się kluczowym elementem jego północno-wschodniej flanki. Już w roku 2016 na portalu Onet ukazał się fotoreportaż z tego miejsca, pokazujący makiety zabudowań używane do symulacji obrony Wilna przez żołnierzy NATO. W roku 2019 podjęto decyzję o rozbudowie tego poligonu, co oznaczało ponaddwukrotny wzrost jego obszaru z 8486 ha do prawie 17 514 ha. Obecnie stacjonuje tam ok. tysiąca amerykańskich żołnierzy tworzących rotującą grupę bojową.

Geopolityczne fatum unoszące się nad torfowiskami Podbrodzia pochłonęło w marcu 2025 r. kolejne ofiary, które dołączyły do długiego szeregu ofiar składanych w torfowiskach przez starożytnych Celtów ich chthonicznemu bóstwu Teutatesowi, utożsamianemu przez Rzymian z Marsem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem na Uniwersytecie Wrocławskim, kierownikiem Zakładu Gospodarki Surowcami Mineralnymi.

REKLAMA

CZY
TEL
NIK



Nowość

Biografia Stanisława Augusta Poniatowskiego – ostatniego monarchy niepodległej Rzeczypospolitej

www.czytelnik.pl

Również jako e-book

Egzekucja demokracji nad Sekwaną



Kacper Kita

W miarę postępów w budowie demokracji liberalnej walka klasowa się zaostrza. Anulowanie wyborów w Rumunii niektórzy bagatelizowali. Wykluczenie przez sąd z wyborów prowadzącej w sondażach przywódczyni opozycji w tak dużym kraju jak Francja oznacza jednak, że nie ma już żadnych granic w ograniczaniu decyzji europejskich narodów

O bie historie łączy także kontrowersja dotycząca realnej niezależności sądownictwa. W Rumunii Sąd Konstytucyjny wstrzymał wybory prezydenckie, choć rozpoczęło się już głosowanie w II turze, oraz anulował wyniki I tury, wygranej przez jednego z kandydatów prawicy Călina Georgescu. Prezes rzeczonego Sądu to Marian Enache, czyli po prostu polityk – w latach 80. członek partii komunistycznej, później poseł trzech kadencji, m.in. z ramienia rządzącej do dziś postkomunistycznej socjaldemokracji. Był posłem nawet w momencie, gdy na sędziego wybrali go koledzy z drugiej izby parlamentu. Jak wiadomo, Georgescu został wykluczony z powtórzonych wyborów, a jeszcze wcześniej Sąd zdecydował się wykluczyć z nich Dianę Sosoakę, która ostro krytykując restrykcje sanitarne i środowiska żydowskie, wyrażała poglądy zbliżone do Grzegorza Brauna.

Podobnie wygląda życiorys francuskiego odpowiednika Enache, Richarda Ferranda. Obecny prezes Rady Konstytucyjnej – w mediach głównego nurtu nad Sekwaną nazywanej „mędrkami” – był ponad 30 lat działaczem Partii Socjalistycznej, a potem jako jeden z pierwszych przeszedł do nowo powołanego ruchu Emmanuela Macrona. Był dwie kadencje posłem, a nawet przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego, czyli – mówiąc po naszymu – marszałkiem Sejmu. W 2022 r. przegrał jednak wybory i stracił mandat. Teraz Macron znalazł mu zastępczą fuchę, powołując kolegę na dziewięć lat na stanowisko prezesa Rady Konstytucyjnej. Ferrand jeszcze cztery miesiące temu był członkiem władz macronistowskiej partii Odrodzenie.

A to właśnie Rada pod kierownictwem Ferranda zdecydowała się trzy dni przed ogłoszeniem wyroku w spra-

wie Marine Le Pen ogłosić, że zgodne z konstytucją wykluczenie z wyborów jest już decyzją sądu pierwszej instancji. Od zasądzonych jej czterech lat więzienia Le Pen może się odwołać. Odebranie biernych praw wyborczych na pięć lat wchodzi jednak w życie od razu. Teoretycznie możliwa jest sytuacja, w której Marine zostaje uniewinniona w apelacji, ale wyrok zapada już po wyborach, które jej nieodwracalnie przepadną.

REWOLUCJA SĘDZIÓW

Sądy konstytucyjne upowszechniono w Europie po 1945 r. w imię zabezpieczenia demokracji liberalnej i „praw człowieka” przed „tyranią większości”. W praktyce tego rodzaju decyzje podejmowane przez takich „niezależnych arbitrów” coraz częściej są odbierane raczej jako tyrania mniejszości. Przypadek Ferranda jest wręcz zabawny – człowiek





Marine Le Pen przybywa do sądu w Paryżu, 31 marca 2025 r. FOT. AA/ABACA/EAST NEWS

Sędziowie we Francji potrafili już skazywać emerytowanych polityków – takich jak byli prezydenci Jacques Chirac i Nicolas Sarkozy czy były premier François Fillon. Pierwszy raz jednak mamy do czynienia z prewencyjnym wykluczeniem z wyborów poważnego kandydata, ba, faworyta. Marine Le Pen to od kilkunastu lat centralna postać na francuskiej scenie politycznej, a obecna na niej jest od prawie trzech dekad. Jest przywódczynią opozycji, szefową największego klubu we francuskiej izbie niższej, w ostatnich wyborach parlamentarnych jej partia zajęła pierwsze miejsce z wynikiem 33 proc. Sondaże dają jej 34–38 proc. poparcia w I turze wyborów prezydenckich i 49–53 proc. poparcia w ich II turze. To tak, jakby w Polsce ktoś wykluczył z wyborów Donalda Tuska lub Jarosława Kaczyńskiego.

ZAGROŻENIE NIE TYLKO DLA MACRONA

Marine jest też wrogiem numer jeden dla liberalno-lewicowego establishmentu. To jej ojciec, Jean-Marie Le Pen, odbudował francuski nacjonalizm, który był w rozsypce po drugiej wojnie światowej. Założyciel i przywódca Frontu Narodowego przez dekady przestrzegał przed otwieraniem się na muzułmańską i pozaeuropejską imigrację, oddawaniem kolejnych kompetencji Unii Europejskiej, globalizacją, odcinaniem się od chrześcijańskiej tożsamości Francji, komunizmem i innymi skrajnie lewicowymi ideologiami. Krytykował aborcję, mówiąc o zabijaniu dzieci nienarodzonych jako zabijaniu przyszłości Francji wobec słabnącej demografii i osiedlania w niej przybyszów ze świata islamu. Hasło jego partii już w latach 70. brzmiało: „Front Narodowy. Zanim będzie za późno”.

Jego córka zliberalizowała i ugrzeczniała przekaz partii, zwłaszcza w zakresie tematyki cywilizacyjnej – choć warto pamiętać, że mimo głośnego politycznego rozejścia się z ojcem w 2015 r. kilka lat później pogodziła się z nim osobiście. Ponadto udało się jej znacząco zwiększyć poparcie. W każdych kolejnych wyborach Marine dostaje lepszy wynik, choć wciąż niewystarczający, by rządzić. W 2002 r. tylko 7 proc. Francuzów mających 18–24 lata poparło Jeana-Marie w II turze wyborów prezydenckich, a 93 proc.

zagłosowało przeciw. Dwadzieścia lat później ci sami ludzie – już jako dojrzały 38–44-latkowie – poparli jego córkę w stosunku 47 do 53 proc. dla Macrona. Problemem Marine jest przekonanie do siebie emerytów, przywiązanych do głosowania na tradycyjne partie – zagłosowało na nią w II turze ostatnich wyborów prezydenckich 32 proc. z nich. Natomiast w przypadku wyborców aktywnych zawodowo oddało na nią głos 47 proc. Z tego wszystkiego widać jednak, że czas gra na jej korzyść.

Zwycięstwo Le Pen byłoby zaś problemem nie tylko dla status quo we Francji, lecz także największym pojedynczym wydarzeniem mogącym zachwiać Unią Europejską. AfD w Niemczech wciąż jest dalekie od władzy – tym bardziej samodzielnej – za to Marine ma realne perspektywy zdobycia prezydentury w drugim „kraju wiodącym” UE. W jej programie jest m.in. rozpoznanie referendum (co może zrobić prezydent samodzielną decyzją) w sprawie uznania wyższości francuskiej konstytucji nad prawem unijnym i wpisania do konstytucji wyższości francuskiego interesu narodowego nad zobowiązaniami międzynarodowymi (w tym tymże prawem unijnym). Postuluje także likwidację Komisji Europejskiej oraz całkowitą rezygnację z Zielonego Ładu i paktu migracyjnego.

Zarzuty wobec Le Pen są przy tym znacznie mniej poważne niż te dla Sarkozy’ego, który został prezydentem przy dużym nielegalnym finansowym wsparciu ze strony Muammara Kaddafiego. Przyjmował bowiem libijskiego przywódcę na paryskich salonach, a potem przyczynił się do jego śmierci, organizując interwencję militarną w Libii, by zatrzeć ślady kontaktów z nim. Były prezydent ma też na koncie zarówno przyjmowanie, jak i dawanie łapówek w różnych sprawach.

Wyrok na Marine dotyczy zaś zupełnie czegoś innego. Gdy w latach 2004–2016 ona i inni politycy Frontu Narodowego byli europosłami, zatrudniali jako swoich asystentów osoby, które wykonywały zadania realnie niezwiązane z Parlamentem Europejskim. Przykładowo: Marine opłacała z pieniędzy z europarlamentu swojego ochroniarza i szefową swojego gabinetu. Niektórzy

wyrzucony z polityki przez wyborców drzwiami, wrócił do niej oknem, i teraz to on może przyczynić się do wykluczenia z wyborów osób znacznie popularniejszych od niego.

Rywal Le Pen, narodowo-konserwatywny pisarz i polityk Éric Zemmour – sam skazany za „mowę nienawiści” (jej penalizacja może być wkrótce wprowadzona także w Polsce) – pisał kilka lat temu, że współczesny system „nie jest demokracją, tylko oligarchią sędziów wyznających religię praw człowieka, którzy mogą narzucić narodowi i państwu, co tylko chcą”. Jego zdaniem „sędziowie, zaprogramowywani przez lewicową propagandę od poziomu wydziałów prawa stali się przekąźnikami, a często współnikami rozmaitych organizacji, którym służą jako zbrojne ramię do szantażowania dysydentów i terroryzowania większości – dotąd cichej, dziś sparaliżowanej”.

■ lokalni działacze nie znali europosłów, do których byli formalnie przypisani. Sprawa zaczęła się jeszcze za czasów Jeana-Marie, który także byłby skazany, gdyby nie umarł. Le Penowie bronili się, że mogą zatrudniać jako asystentów kogokolwiek, a partia korzystała po prostu z przysługujących jej pieniędzy. Marine zwraca też uwagę, że procedurę przeciwko niej rozpoczął jako przewodniczący PE niemiecki socjalista Martin Schulz, a więc jej polityczny wróg, a podjęła ją we Francji ówczesna lewicowa minister sprawiedliwości Christiane Taubira (wcześniej autorka ustawy wprowadzającej „małżeństwa homoseksualne”).

Nie chodzi więc o to, by robić z Le Penów nieskazitelne niewiniątka. Jest tajemnicą poliszynela, że politycy od prawa do lewa wymyślają kreatywne sposoby, by wyciągnąć z PE jak najwięcej środków. Sąd przyznał przy tym, że nie doszło do osobistego wzbogacenia się Le Pen. Warto też brać pod uwagę kontekst polityczny. Front Narodowy przez długie lata, mimo poparcia na poziomie 10–15 proc., miał dosłownie zero posłów w parlamencie krajowym ze względu na niesprzyjającą mu ordynację (jednomandatowe okręgi wyborcze z dwoma turami). Europarlament z ordynacją proporcjonalną był więc długo paradoksalnie kluczowym źródłem pieniędzy dla partii krytycznej wobec UE. Demoliberalna władza świadomie tworzy warunki, w których partiom patriotycznym jest trudniej działać, a następnie ściga je za uchybienia prawne szczególnie surowo.

NOWE OTWARCIE?

Zasądzona kara wykluczenia Le Pen z wyborów na pięć lat wydaje się skrajnie nieproporcjonalna. Wyborcy są traktowani jak kretyni, którzy nie potrafią sami ocenić, czy uważają danego polityka za wystarczająco uczciwego, by powierzyć mu stanowisko, ani rozsądzić jego wad i zalet. Warto przy tym podkreślić, że wbrew informacjom pojawiającym się w niektórych polskich mediach sąd nie musiał wcale odbierać Marine praw wyborczych. W tym samym procesie nie zrobił tego wobec niektórych innych oskarżonych, motywując to także względami politycznymi – np. usunięcie w ten sposób wiceprezesa partii Louisa Aliota ze stanowiska burmistrza Perpi-

gnan (120-tysięczne miasto na południu Francji, największe, w którym rządzią narodowcy) zostało uznane przez panią sędzię za nadmierne ograniczenie praw wyborców.

Francuski establishment wydaje się w tej sprawie podzielony – nie brakuje bowiem głosów, że tak ostre potraktowanie Le Pen może być przeciwnie skuteczne, może pomóc jej wejść w rolę ofiary i zwiększyć dla niej poparcie. Sam minister sprawiedliwości Gérald Darmanin jeszcze kilka miesięcy temu, zanim objął obecne stanowisko, deklarował, że wykluczenie Marine byłoby „głęboko szokujące”, a z Le Pen „trzeba walczyć przy urnach, a nie inaczej”. „Nie bójmy się demokracji i nie pogłębiajmy jeszcze różnicy między »elitami« a zdecydowaną

W Polsce od razu pojawiły się komentarze przedstawiające wykluczenie Le Pen jako „walkę z putinistami”, choć wątek rosyjski jest kompletnie nieobecny w akcie oskarżenia i debacie we Francji

większością naszych współobywateli” – mówił. Już po wyroku wykluczenie skrytykował Jacques Attali, znany finansista i doradca kilku prezydentów, przez wielu uważany za politycznego ojca Emmanuela Macrona, którego promował jeszcze jako młodego urzędnika.

Sama Le Pen decyzję nazwała m.in. „gwałtem na państwie prawa”. „Walczę od 30 lat z niesprawiedliwością, ufaj mi miliony Francuzów, będę walczyć do końca, nie dam się wyeliminować” – stwierdziła. I dodała: „System użył broni atomowej, bo wie, że wygralibyśmy kolejne wybory”. Jej prawa ręka i prawdopodobny kandydat zastępczy Jordan Bardella mówił z kolei o „egzekucji demokracji”. Oboje zapowiedzieli na niedzielę wiec poparcia dla Marine w Paryżu oraz serię protestów w całym kraju. Z obaw takich jak te Darmanina i Attaliego oraz z chęci ostudzenia nastrojów społecznych wyrasta zapewne korekta dokonana kilkadziesiąt godzin po

wyroku. Sąd apelacyjny w Paryżu ogłosił, że zajmie się odwołaniem Le Pen i „decyzja w jej sprawie będzie podjęta jeszcze latem 2026 r.” – a więc przed wyborami prezydenckimi zaplanowanymi na wiosnę 2027 r. Nad Marine będzie i tak wisił miecz Damoklesa. Od lipca znów konstytucyjnie możliwe będzie rozwiązanie Zgromadzenia i rozpisanie przyspieszonych wyborów parlamentarnych. Jeśli jednak Le Pen by do nich konsekwentnie dążyła – co zapowiadała wcześniej – to oznaczałoby to utratę przez nią mandatu poselskiego.

Niektórzy na prawicy komentują, że Le Pen ma za swoje, bo próbowała układać się z „systemem”, a na koniec i tak została przez niego wypłuta. Także liberalny konstytucjonalista prof. Benjamin Morel przestrzegł, że eliminacja Marine i społeczna frustracja mogą stworzyć przestrzeń dla kandydata, który przyjąłby ostrzejszy kurs i dążył do przeprowadzenia „generalnej ofensywy przeciw fundamentom państwa prawa”. Na starcie Bardella ma w sondażach takie samo lub minimalnie niższe poparcie, ale oczywiście pierwszy od 1981 r. brak osoby o nazwisku Le Pen wśród kandydatów na prezydenta będzie wyjątkową szansą dla alternatywnych kandydatów i nowe otwarcie na prawicy. Swoje poparcie nieco odbudował znów ostatnio wspomniany Zemmour, od lat krytykujący Marine jako zbyt miękką, z drugiej strony wzmacnia się minister spraw wewnętrznych, neogaullista Bruno Retailleau, z trzeciej pojawiają się spekulacje o kandydacie celebryckim (np. dziennikarzu Cyrilu Hanounie). Bardelli z pewnością będzie zarzucany młody wiek (obecnie liczy sobie 29 lat) i brak doświadczenia. W ostateczności Le Pen może wrócić – ma dopiero 57 lat, a jej rodzina trzyma partię w rękę od ponad pół wieku.

Jedno jest pewne – ingerencja instytucji sądowniczych w ograniczanie pola wyboru europejskich narodów tylko rośnie. Trzeba też liczyć się z medialną machiną propagandową wykrzywiającą złożoną rzeczywistość, by uzasadnić eliminację przeciwników politycznych. W Polsce od razu pojawiły się komentarze przedstawiające wykluczenie Le Pen jako „walkę z putinistami”, choć wątek rosyjski jest kompletnie nieobecny w akcie oskarżenia i debacie we Francji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

MACIEJ PIECZYŃSKI: Kiedy wyjechał pan z Rosji?

SZURA BURTIŃ: Gdy tylko wybuchła wojna. 25 lutego 2022 r. próbowałem przejechać na Ukrainę przez Polskę, ale nie wpuściła mnie wasza Straż Graniczna. Wróciłem więc do Moskwy i tam napisałem dla Meduzy [opozycyjny rosyjski portal informacyjny, którego siedziba mieści się na Łotwie – przyp. red.] reportaż o tym, jaki stosunek do „specjalnej operacji wojskowej” mają tzw. zwykli Rosjanie. Wtedy jeszcze nie było żadnych poważnych sondaży na ten temat. Wraz z moją przyjaciółką socjologiem przepytaliśmy ludzi na ulicy...

I jaki był rezultat?

Odpowiedzi brzmiały szizofrenicznie i były często wzajemnie sprzeczne. Generalnie widać było ogromny strach przed wojną i jej konsekwencjami. Większość była w szoku, trudno im było przywyknąć do sytuacji. Okazuje się, że w takiej sytuacji ratio się wyłącza. Działają natomiast podświadomość. Ludzie działają zgodnie z jednym z trzech schematów: „uciekać”, „przyłączyć się do agresora” albo „zastygnąć w bezruchu”. Wszystkie te trzy postawy dostrzegłem podczas tych ulicznych rozmów. Ja sam już w marcu, niedługo po napisaniu tego reportażu, wybrałem pierwsze rozwiązanie. Uciekłem do Gruzji. Ci, którzy postanowili „przyłączyć się do agresora”, mówili nam: „Tak, trzeba bić chachłków [ros. chachol – pogardliwie o Ukraińcach]. Uciekinierzy bali się wojny lub ją potępiali. Zwolennicy inwazji po prostu ją popierali. Najtrudniej swój wybór było logicznie wytłumaczyć tym, którzy „zastygali”. A takich było najwięcej. Pytani o swoje stanowisko wpadali w nieuchronną sprzeczność. Mówili np., że są przeciwko wojnie, ale popierają „specoperację”. Tego typu niekonsekwencja jest naturalną reakcją kogoś, kto próbuje ukryć się przed sytuacją.

A jakie nastroje dostrzegł pan na Ukrainie, gdy w końcu udało się tam dojechać?

To było w kwietniu 2022 r. Nastroje były zupełnie inne niż w Rosji. Nie było widać strachu, tylko niewiarygodną wręcz otwartość na drugiego człowieka, optymizm, atmosferę braterstwa i wzajemnej pomocy. Patriotyzm był silniejszy niż strach. Pierwsze zwycięstwa na

froncie niesamowicie ich uskrzydliły. Byli w pozytywnym szoku, gdy się okazało, że „druga armia świata”, 10-krotnie silniejsza od ukraińskiej, nagle wycofuje się z obwodów czernihowskiego i kijowskiego. Wtedy jeszcze szczegóły rozmów stambulskich nie były powszechnie znane. Pojawiały się kolejne powody do optymizmu. Siły Zbrojne Ukrainy wyzwoliły obwód charkowski, a potem Chersoń...

To co poszło nie tak? Dlaczego trzy lata później zamiast patriotycznego uniesienia nad Dnieprem dominuje pesymizm?



Z Szurą Burtiną, rosyjskojęzycznym dziennikarzem, autorem reportażu na temat wojny na Ukrainie rozmawia Maciej Pieczyński

Ukraińcy są zmęczeni

Trzy lata wojny to bardzo długo. Po pierwsze, powszechne jest nie tyle nawet mentalne, ile fizyczne zmęczenie Ukraińców. Trzy lata życia w świecie poza czasem. Życia, które nie zmierza w żadnym konkretnym kierunku. To trochę tak jak w więzieniu. Po drugie, społeczeństwo, nawet w bardzo trudnych warunkach, musi mieć jakiś cel, do którego realizacji będzie dążyć. To sprawia, że wyrzeczenia mają sens. Przez pierwsze półtora roku takim celem było wyzwolenie terytoriów okupowanych, oczywiście z pomocą zachodnich sojuszników. Ludzie byli gotowi wiele poświęcić, byle ten cel osiągnąć. Jednak już jesienią 2023 r. stało się jasne, że to nie jest możliwe. Ukraińcy zrozumieli, że nie są w stanie trwale odzyskać wszystkich ziem, tymczasem władze w Kijowie nie zmieniły swojej

hurraoptymistycznej retoryki, która tym samym zaczęła rozjeżdżać się z rzeczywistością – z tym, co widzą zwykli ludzie. Ukraińcy żyli nadal w tej beczasowości. Na to nałożyły się przymusowa mobilizacja i strach przed trafieniem na front, niechęć do walki o cel, który przestał być realny.

Walka o integralność terytorialną straciła sens, bo nie da się jej utrzymać. Ale może teraz celem powinna być obrona niepodległości?

Ten cel zrealizowano już na pierwszym etapie wojny. Od dawna jest całkowicie oczywiste, że istnieniu państwa

ukraińskiego nie zagraża niebezpieczeństwo. Rosja nie jest w stanie zdobyć Kijowa. Może natomiast po cichutku odgryzać coraz więcej i więcej terytoriów. Tymczasem ukraińskie władze od pewnego czasu przekonują swoich obywateli, że trzeba się przygotować do długiej i wyniszczającej wojny. Nie brzmi to motywująco. Nie każdy poświęci życie po to, żeby wyzwolić jakieś górnicze miasteczko na Donbasie, z całym szacunkiem. Co innego bronić swojego kraju przed utratą niepodległości.

W jednym ze swoich tekstów stwierdza pan, że ukraiński „Telemaraton” [połączone wiadomości kilku stacji telewizyjnych – przyp. red.] pod względem stylu niczym nie różni się od putinowskiej propagandy. Ukraińcy wierzą w ten przekaz? Ufają władzy?

„Telemaraton” tworzy dla swoich odbiorców system wartości. Opowiada im historię, którą można streścić tak: „Bronimy się przed agresją strasznego wroga, któremu zadajemy ciężkie straty, i właśnie dlatego nasza walka ma sens”. Można się np. dowiedzieć, że na froncie zginęło 800 tys. Rosjan, choć ta liczba jest, moim zdaniem, co najmniej czterokrotnie zawyżona. Widzowie nie zastanawiają się, czy to prawda. Nie są przecież w stanie tego zweryfikować. „Telemaraton” uprawia propagandę, która niewiele się różni od tej kremłowskiej. Największym problemem jest to, że ten przekaz rozjeżdża się z rzeczywistością. Zwykli ludzie nie znają dokładnych liczb, ale widzą, że sytuacja jest gorsza niż jej telewizyjny obraz. Mało który polityk ukraiński ma odwagę nazywać rzeczy po imieniu. Do nielicznych należy Hennadij Druzenko – działacz społeczny i żołnierz zarazem. Nie boi się krytyki. Mówi otwarcie, że skoro Ukraina utraciła część ziem, ale obroniła niepodległość, to należy kończyć wojnę i przeprowadzić reformy, a potem wyznaczać sobie realne cele do osiągnięcia. Na przykład jaki jest sens obiecywać, że „będziemy pić kawę na Krymie”?! Ludzie mogą jednocześnie wierzyć w propagandę i nie wierzyć. Mogą formalnie, w badaniu opinii publicznej, zapewniać, że popierają politykę państwa i chcą wygrać wojnę, a tak naprawdę nie są np. gotowi pójść na front.

Odbył pan mnóstwo rozmów ze zwykłymi Ukraińcami. Co mówią o Zełenskim?

Dzięki awanturze z Trumpem w Gabinecie Ovalnym poparcie dla niego mocno urosło. Wołodymyr Zełenski jest bowiem nie tyle jednym z wielu polityków, ile personifikacją państwa walczącego w wojnie. Jeszcze do niedawna domino wało rozczarowanie faktem, że nic się nie zmienia na lepsze. Ale gdy Zełenskiego zaczęli krytykować przywódcy innych państw, Ukraińcy zaczęli znów traktować go jak swojego lidera, utożsamiać się z nim i go bronić. To oczywiste, że Trump kłamał, mówiąc, że ukraiński prezydent ma tylko 4 proc. poparcia. Moim zdaniem problem nie tkwi w Zełenskim. On zachowuje się mniej więcej tak, jak na jego miejscu zachowywałby się każdy inny człowiek. Nie jest idealny, ale też nie jest



Według badań tylko 16 proc. Rosjan ma w swoim bliskim otoczeniu kogoś, kto poszedł na front. Wśród Ukraińców ten odsetek wynosi aż 80 proc. Ciężar wojny odczuwalny przez społeczeństwo jest w obu krajach nieporównywalny

zbrodniarzem ani nieudacznikiem. Normalny muzyk (ros. chłop), który musiał się odnaleźć w trudnej sytuacji.

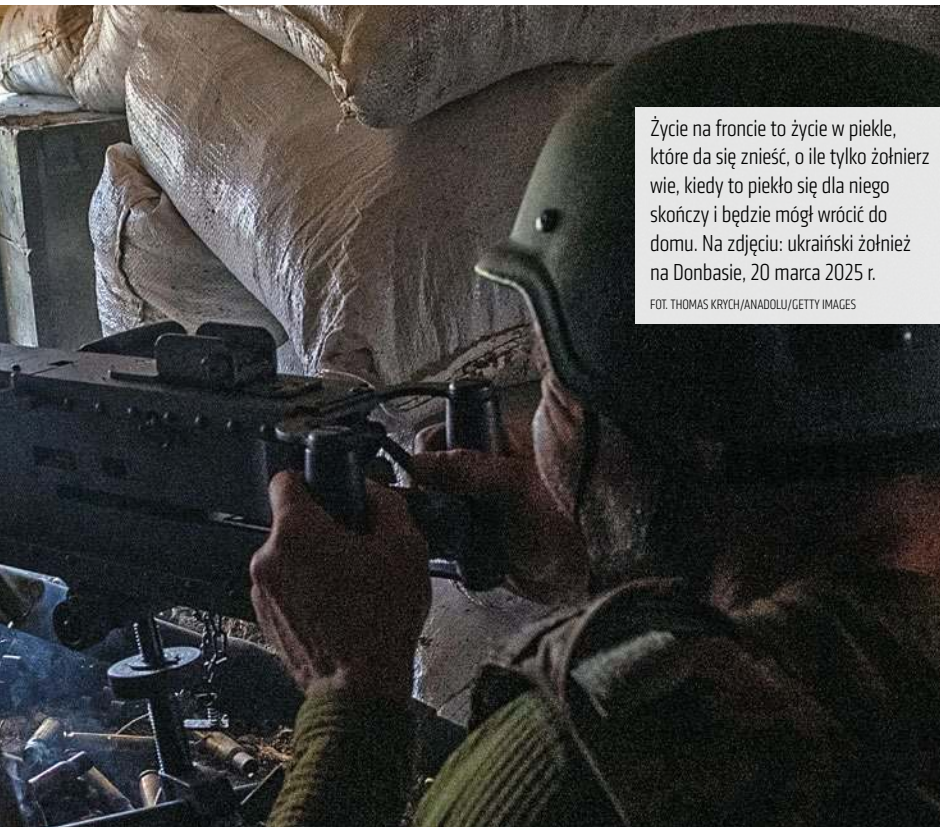
Czy Ukraińcy – zarówno na Donbasie, jak i w innych regionach kraju – bardziej są rozczarowani swoim państwem z jego korupcją, przymusową mobilizacją itp. czy przerażeni perspektywą rosyjskiej okupacji? Na kogo bardziej się żalą – na Kijów czy na Moskwę?

Żalą się bardziej na Kijów. Ale nie dlatego, że czekają na „wyzwolenie”. Przeciwnie – Rosję traktują jako śmiertelnego wroga, zło wcielone. A na zło wcielone bez sensu jest się „żalić”. Wroga się po prostu

nienawidzi. Natomiast żal mają do ukraińskich polityków. Często jednak rytualne, odwieczne nad Dnieprem narzekania na przekupnych, nieuczciwych urzędników to dziś metafora ogólnego rozczarowania i braku wzajemnego zaufania.

„Dlaczego wielu Ukraińców nie chce walczyć?” – takie pytanie pojawia się w tytule głośnego reportażu pańskiego autorstwa, opublikowanego przez Meduzę. Jaka jest odpowiedź?

Tytuł wymyśliła redakcja. Zwrot „wielu” można rozumieć dwojako: albo jako spory odsetek ukraińskiej ludności, albo jako „wielu” pojedynczych ludzi, z którymi rozmawiałem. Chodziło o to drugie. Nie miałem zamiaru przekonywać, że większość Ukraińców nie chce walczyć. Tytuł był jednak podatny również na taką interpretację, dlatego przeprosiliśmy za tę frazę. To nasz błąd. Co zaś do tych konkretnych ukraińskich żołnierzy, którzy wypowiadali się w moim reportażu, to każdy z nich miał swoje powody, swoje konkretne przyczyny. Na przykład jeden z nich zdezerterował, ponieważ jego dowódca źle traktował swoich podkomendnych – gotów był wysłać ich na pewną śmierć tylko po to, aby zyskać uznanie przełożonych. Niezależnie od indywidualnych sytuacji absolutnie wszyscy, z któ-



Życie na froncie to życie w piekle, które da się znieść, o ile tylko żołnierz wie, kiedy to piekło się dla niego skończy i będzie mógł wrócić do domu. Na zdjęciu: ukraiński żołnierz na Donbasie, 20 marca 2025 r.

FOT. THOMAS KRYCH/ANADOLU/GETTY IMAGES

rymi rozmawiałem, wskazują na jeden i ten sam problem – brak ram czasowych służby w armii. Życie na froncie to życie w piekle, które da się znieść, o ile tylko żołnierz wie, kiedy to piekło się dla niego skończy i będzie mógł wrócić do domu. Wytrzymać taką mękę bez przewidywanego końca nie jest w stanie żaden człowiek. Dowództwo jest w trudnej sytuacji. Nie może przecież wypuścić żołnierzy do cywila, bo nie będzie komu walczyć. Postanowiło więc zignorować problem. Jednak to także nie jest na dłuższą metę dobre rozwiązanie, bo niezadowolone będzie tylko rosnąć.

Ciągłe słyszymy o ukraińskich dezterterach i uchylantach. Nie milczą na ten temat media zarówno na Zachodzie czy w Polsce, jak i nad Dnieprem. A jakoś mało się mówi o problemach armii rosyjskiej.

Po pierwsze, oczywista jest przewaga liczebna państwa agresora. Putin ma kim walczyć, Zełenski nie bardzo. Według badań tylko 16 proc. Rosjan ma w swoim bliskim otoczeniu kogoś, kto poszedł na front. Wśród Ukraińców ten odsetek wynosi aż 80 proc. Ciężar wojny odczuwalny przez społeczeństwo jest w obu krajach nieporównywalny. Po drugie, Putin próbował masowej mobilizacji, ale

poskutkowało to masowymi przypadkami dezercji i protestami, więc zrezygnował. Mógł sobie na tę rezygnację pozwolić. Zamiast kija zastosował marchewkę. Zaczął poborowych kusić pieniędzmi. I poskutkowało. Wciąż jednak dezercja jest w Rosji poważnym problemem, tylko że nie ma komu tego opisać, bo praktycznie wszyscy niezależni dziennikarze uciekli z kraju.

Czy Ukraińcy są gotowi oddać Rosji ziemię w zamian za pokój?

Zapewne większość odpowiedziałaby przecząco. A jednocześnie ci sami, którzy za nic nie chcą oddać ziemi w zamian za pokój, chcieliby, aby wojna jak najszybciej się skończyła, żeby ludzie przestali ginąć na froncie. Jeden człowiek w tym samym sondażu może udzielić tych dwóch, pozornie sprzecznych odpowiedzi, i to całkowicie szczerze. Bo zwykły obywatel nie jest politykiem, więc nie ma obowiązku formułować jakiegось logicznego, zrozumiałego dla innych, konsekwentnego stanowiska. Mogą nim targać sprzeczne emocje. Może chcieć pokoju i nie chcieć podawać ręki wrogowi. Decyzja jednak należy do polityków. Jeśli znajdą w sobie siłę, aby wojnę zatrzymać, to zwykli Ukraińcy pogodzą się z nową rzeczywistością, a większość zapewne

odetchnie z wielką ulgą. Przy czym żaden ukraiński polityk nie może oficjalnie zgodzić się na trwałą utratę terytorium. Czekają więc raczej zawieszenie broni niż trwały pokój.

A jakie nastroje mogą zapanować na Ukrainie po zakończeniu walk (czy to w formie rozejmu, czy to w formie pokoju)? Czy scena polityczna się radykalizuje, a do głosu, na fali żądzy rewanżu, dojdą skrajni nacjonalści? Czy też może swoje pięć minut zyskają politycy prorosyjscy, którzy będą przekonywać, że gdyby Kijów wcześniej ustąpił Moskwie, to koszmar wojny trwałby krócej?

Trudno mi sobie wyobrazić, że na Ukrainie szersze poparcie mogłyby zyskać poglądy prorosyjskie. Natomiast z pewnością społeczeństwo jest zmęczone pustą patriotyczną propagandą, która ukrywa korupcję. Ludzie mają dość „wyszywanek”. Ale nie dlatego, że im się nie podobają „wyszywanek”, tylko dlatego, że za nimi kryje się pustka. Na razie nie może o tym głośno mówić, bo trwa wojna, ale gdy tylko zostanie ona zamrożona albo zakończona, hasła antynacjonalistyczne trafią na podatny grunt. Nie oznacza to jednak, że skrajna prawica znajdzie się w odwrocie. Wręcz przeciwnie – na kryzysach i powojennej frustracji zazwyczaj to właśnie nacjonalści wygrywają. Rewanżyzm może stać się dominującą w kraju emocją, jeśli klasa polityczna nie zaproponuje jakiegось nowego, jednoczącego wszystkich Ukraińców celu – np. programu konkretnych reform usprawniających kulejące państwo.

A jeśli Rosja znów zaatakuje, to powtórzy się patriotyczne uniesienie 2022 r. czy może Ukraińcy, pamiętając koszmar długotrwałej, wyniszczającej wojny, tym razem ulegną?

Nic nie wskazuje na to, żeby Ukraińcy byli gotowi zrezygnować ze swojego państwa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Szura Burtin – niezależny dziennikarz rosyjskojęzyczny. Jako korespondent wojenny pracuje na Ukrainie dla szwajcarskiej gazety „Reportagen”. Píše również dla rosyjskich mediów opozycyjnych. Spory rozgłos w ostatnim czasie zdobyły jego dwa reportaże na temat pesymistycznych nastrojów na Ukrainie, opublikowane na portalach Meduza i Cherta.



Przebudzona królewna



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyńska

Ideologia „przebudzenia” (woke) nie bierze jeńców. Teraz jej wyznawcy zabrali się za klasyka braci Grimm. Nowa „Królewna Śnieżka” zaliczyła spektakularną klępkę

Zakup biletów na remake »Królewny Śnieżki« Disneya spadł o 66 proc. podczas drugiego weekendu po premierze. Porażka filmu, spowodowana w dużej mierze przez wcielającą się w główną postać Rachel Zegler, może ostatecznie kosztować Disneya miliony dolarów.

Film jest obecnie jednym z najgorzej ocenionych filmów w historii IMDb, z oceną 1,6 na 10. Do tej pory zarobił na całym świecie 143,1 mln dol., znacznie mniej niż 250 mln dol. kosztów produkcji, które nie obejmują wydatków na marketing – to krótkie, choć dość wymowne podsumowanie katastrofy,

którą okazała się premiera nowej wersji kultowej bajki.

Collin Rugg, współwłaściciel amerykańskiego serwisu trendingpoliticsnews.com, zebrał najważniejsze dane dotyczące produkcji. Amerykańsko-niemiecki remake również na polskim portalu filmowym Filmweb radzi sobie fatalnie – 2,7/10 to średnia ocena 4,5 tys. użytkowników portalu; krytycy dali filmowi tylko nieco wyższą notę – 3,3/10. Jeżeli przewidywania branży się sprawdzą, to w trzeci weekend po premierze „Królewna Śnieżka” zarobi 13,7 mln dol., zajmując drugie miejsce za nowym thrillerem akcji Jasona Stathama „A Working Man”. Co sprawiło, że zamiast kasowego musicalu z nowoczesnym twistem wyszła ideologiczna papka, której nikt nie chce oglądać? Przyczyn jest kilka.

Światowa premiera odbyła się 21 marca. Pod koniec 2021 r. Disney zaczął ujawniać kolejne informacje dotyczące produkcji. Od początku było wiadomo, że wytwórnia, choć chce zachować charakterystyczne dla oryginału z 1937 r. elementy, takie jak np. ikoniczna, niebiesko-żółta suknia Śnieżki, o której marzyły pokolenia dziewcząt (wśród nich autorka tego tekstu), chce odejść od szkieletu opowieści. Tytułowa królewna nie będzie biernie czekać na wybawienie przez ukochanego, ale weźmie sprawy we własne ręce. Ma być baśniowym odzwierciedleniem kobiety liderki, której aktywizm jest ważniejszy niż cechy takie jak łagodność i piękno.

ZAMIAST KSIĘCIA PRZESTĘPCY

Dla przypomnienia: oryginalna wersja „Królewny Śnieżki i siedmiu krasnoludków”, na podstawie niemieckiej baśni ludowej spopularyzowanej przez braci Grimm, była prosta i romantyczna. Śnieżka spotyka księcia Floriana, młodzi natychmiast się w sobie zakochują. Na drodze ich miłości staje zazdrosna o urodę królewny macocha, królowa Grimhilda. Gdy magiczne zwierciadło dające codzienne potwierdzenie urody Grimhildy stwierdza, że to Śnieżka jest najpiękniejsza na świecie, macocha postanawia zemstę. Wysyła myśliwego, aby zabił dziewczynę, jednak on daruje jej życie. Królewna zamieszkuje w lesie, w chatce siedmiu krasnoludków. Dzięki swojej łagodności i dobroci szybko znajduje przyjaciół wśród zwierząt. Idylla kończy się, gdy macocha dowiaduje się o niepowodzeniu pierwotnego planu. Zatrucha

FOT. DISNEY



REŻ. MARC WEBB
„KRÓLEWNA ŚNIEŻKA”
USA 2025

jabłko, które podaje Śnieżce, a ta zapada w sen. Po wielu latach swoją ukochaną, pochowaną przez „krasnodziech” przyjaciół w szklanym sarkofagu, odnajduje Florian. Budzi ją pocałunkiem prawdziwej miłości, po czym para żyje długo i szczęśliwie. Typowy disneyowski happy end, a dodatkowo nauka podstawowych wartości – szanuj przyrodę, bądź dobry dla innych, prawdziwa miłość przetrwa wszystko i warto na nią czekać. Animacja uważana jest za jedną z najpopularniejszych produkcji Walta Disneya, a w roku 1989 została jednym z pierwszych filmów wprowadzonych do Narodowego Rejestru Filmowego Stanów Zjednoczonych jako „znaczących kulturowo, historycznie bądź estetycznie”.

Nowa Śnieżka nie mogła być, jak powiedziała Zegler, tak „przestarzała”. Zaserwowano więc widzom opowieść o walczącej z macochą królownie, która musi pokonać Złą Królową, aby w krainie zapanował spokój. Nie ma przystojnego księcia wybawiającego ukochaną – jest za

to drobny przestępca Jonathan, przewodzący szajce okradającej rozpasanych bogatych, aby rozdać ich własność biednemu społeczeństwu. Najpierw musi zapracować na uczucie królowny, by następnie pomóc jej pokonać zło. To nie on przychodzi ją uratować, ale to ona przemienia życie jego i całej krainy. Film kończy się wielką muzyczną sceną tańca na ulicach wyzwolonego miasteczka. Postacie, wśród nich Śnieżka, mają białe stroje, co mogłoby sugerować, że jest to sceneria ślubna, jednak nie pada to wprost. Poza różnicami w historii wiele kontrowersji wzbudziła zmiana wyjaśnienia pochodzenia imienia tytułowej bohaterki. W animacji sprzed 88 lat Śnieżka była Śnieżką ze względu na mlecznobiałą skórę. Teraz do roli królowny zatrudniono mającą kolumbijskie korzenie Rachel Zegler (zapewne ze względu na wymaganą w Hollywood dywersyfikację rasową). Nie ma już mowy o jasnej skórze, ale jest mowa o tym, że królowna urodziła się podczas śnieżycy.

Wydaje się, że to właśnie wybór odtwórczyni roli Śnieżki był kolejną składową ostatecznej katastrofy filmu (choć Zegler idealnie wpisuje się w kanony woke). Dwudziestoczteroletnia aktorka jest zwolenniczką Partii Demokratycznej, dostępu do aborcji, praw dla grupy LGBT+, głośno krytykuje działania Izraela w Strefie Gazy, a w opisie konta na portalu X ma wpisane zaimki she/her. Wśród jej licznych wypowiedzi znalazła się i taka, w której określiła animację z 1937 r. jako „przestarzałą”. Skupiono się na historii miłosnej z gościem, który dosłownie stalkuje Śnieżkę. Dziwne, dziwne. Tym razem tego nie robimy. Nie zostanie ocalona przez księcia. Nie będzie śniła o prawdziwej miłości. Śni o staniu się liderką, którą wie, że może być. Jej ojciec widział ją w tej roli, jeżeli będzie nieustraszona, odważna i wierna sobie” – mówiła z wyraźną satysfakcją w jednym z wywiadów. W rozmowie z „Allure” kreśliła wizję wartości, które niesie nowa wersja klasyka. „Złość może być potężną emocją, ale nie przynosi najjaśniejszej przyszłości. Pokazuje strach, niepewność i brak miłości. Królowna

REKLAMA

inicjatywa dla zwierząt

www.
Zbiórka
na
Burka.pl

PROSIMY
PRZEKAŻ POTRZEBUJĄCYM
ZWIERZĘTOM
1,5%
PODATKU!

KRS 0000213078

■ Śnieżka wybiera drogę życzliwości i wciąż udaje jej się zaprowadzić zmiany. Siła może przybrać wiele form. Mam nadzieję, że w ciągu kilku najbliższych lat zobaczymy nową falę życzliwości i akceptacji. I że ludzie nie będą widzieli potrzeby używania nienawiści, by tworzyć jeszcze większe podziały – wskazała Zegler. Choć początkowo podkreślała, że krytyka nowej produkcji ma źródła w przywiązaniu widzów do oryginału, co rozumie, z czasem ewidentnie przestała radzić sobie z negatywnymi komentarzami. „Do wszystkich, którzy nienawidzą, gdy wygram – posąg Nike z Samotraki przyjechał do Luwru w kawałkach. Ludzie i tak ustawiali się w kolejkach, aby go zobaczyć. Mogę mieć tylko nadzieję, że pomimo moich wad i niedoskonałości, a jest ich wiele, na każdej premierze i przy wszystkim, co robię, ludzie będą czekali w kolejkach” – mówiła ze łzami w oczach w mediach społecznościowych. Teraz, gdy pierwsze tygodnie po premierze pokazują, że nowa wersja Śnieżki to wielka kłapa, Zegler robi dobrą minę do złej gry. Zalewa Instagram postami, w których przekonuje, że to aktualnie film numer jeden na świecie, a fani są zachwyceni. Przeczą temu jednak nie tylko wyniki finansowe, lecz także krótkie wideo opublikowane przez samą aktorkę. Widzimy na nim odtwórczynię roli Śnieżki, która ogląda swój film na niemal pustej sali kinowej. Obrazek mówi sam za siebie.

ZA HARRIS, PRZECIW TRUMPOWI

Naprawie wizerunku wojującej feministki chcącej zniszczyć niemal wiekową tradycję Śnieżki nie pomogły wypowiedzi polityczne. „Głosujcie! Na Kamalę Harris. I to, szczerze mówiąc, nie podlega negocjacji. Chodzi o nasze prawa, nasze prawa reprodukcyjne. Dawajcie, go vote blue [głosujcie na demokratów – przyp. red.]. I jeśli nie zgadzacie się z tym stanowiskiem, to po prostu kliknijcie przycisk i przestańcie mnie obserwować. Nie potrzebuję was, dzięki” – taki manifest zaprezentowała aktorka na Instagramie niedługo przed ubiegłorocznymi wyborami prezydenckimi w USA. Po zwycięstwie Donalda Trumpa nie szczędziła krytyki prezydentowi elektowi oraz jego zwolnikom. W internetowych wpisach Zegler można było przeczytać: „Pieprzyć Donalda Trumpa” i „Oby zwolennicy Trumpa i sam Trump nigdy nie zaznali spokoju”.

Disney, chcąc postępować zgodnie z kanonami politycznej poprawności, postanowił postacie krasnoludków wygenerować komputerowo, co wywołało oburzenie aktorów niskorosłych

Butna postawa Rachel Zegler wywołuje niesmak nie tylko wśród sympatyków ruchu MAGA oraz widzów przywiązanych do tradycyjnej Śnieżki. Jej polityczne zaangażowanie doczekało się ostrej odpowiedzi syna producenta filmu Marca Platta. Poszło o wpis Zegler z sierpnia 2024 r., w którym podziękowała fanom za obejrzenie zwiastuna „Królowy Śnieżki”. Do podziękowań dodała kolejny wpis o treści: „I zawsze pamiętajcie, wolna Palestyna”. Magazyn „Variety” poinformował, że chcąc wyciszyć burzę wokół propalestyńskiej deklaracji gwiazdy, na spotkanie z nią do Nowego Jorku poleciał producent. Miał namawiać Zegler, aby usunęła wpis, jednak ta odmówiła. „Po konsultacjach zaczęła współpracować z guru mediów społecznościowych opłacanym przez Disneya, aby kontrolować wszystkie posty publikowane przed premierą filmu 21 marca” – zauważyła „Variety”. Głos w sprawie zabrał, wywołany przez jednego z internautów, syn producenta Jonah Platt. „Mój tata, producent ogromnej części dzieł Disneya, w które włożono setki milionów dolarów, musiał opuścić rodzinę i przelecieć przez cały kraj, aby upomnieć swoją 20-letnią pracownicę za wpłatanie jej osobistych poglądów politycznych w promocję filmu, na który podpisała wielomilionowy kontrakt, aby móc otrzymać zapłatę i zająć się reklamą” – napisał w poście, zresztą później usuniętym. Jonah Platt sam jest aktorem i prowadzi popularny podcast „Being Jewish”. „To się nazywa dorosła odpowiedzialność. A jej działania wyraźnie zaszkodziły zarobkom filmu” – dodał syn producenta. „Wolność słowa nie oznacza, że możesz mówić, co chcesz, w pracy bez konsekwencji. Dziesiątki tysięcy ludzi pracowało nad tym filmem, a ona przejęła narrację dla swoich

własnych niedojrzałych pragnień, ryzykując dobrostanem wszystkich kolegów, ekipy i pracowników fizycznych, których przyszłość zależy od sukcesu tego filmu. Narcyzm nie jest czymś, co należy pochwaląć” – podsumował oburzony.

DYSKRIMINACJA KARŁÓW

Disney, chcąc postępować zgodnie z wszelkim kanonami wokeistowskiej politycznej poprawności, zapętlili się w temacie krasnoludków. Znany niskorosły aktor Peter Dinklage oburzył się, że wytwórnia w ogóle zabiera się za historię, która jest tak nieaktualna – ze względu m.in. na rzekomo stereotypowe ukazanie karłów. W odpowiedzi Disney zapewnił, że zastanowi się, jak rozwiązać ten problem, co wywołało oburzenie innych niskorosłych aktorów. Ich zdaniem manifest Dinklage’a sprawił, że stracili szansę na rolę w filmie. Ostatecznie postanowiono, że postacie krasnoludków zostaną wygenerowane komputerowo. To zamiast załagodzić krytykę, tylko podgrzało kontrowersje i spotkało się z ostrym sprzeciwem środowiska osób niskorosłych.

„Są aktorzy, którzy marzą, by znaleźć się w tak ogromnej produkcji. To są role stworzone dla osób takich jak ja. My innych ról nie dostajemy – nigdy nie będę grał tego samego, co George Clooney. Okazuje się, że nawet ról stworzonych dla takich jak ja nie dostajemy. Myślę, że to nie jest w porządku. Oni potrzebowaliby też dublerów, więc mówimy o kilkunastu osobach, które zostały pozbawione swojej szansy. Z jakiego powodu? To tacy jesteśmy progresywni? To jest siedem odrębnych postaci, idealnych dla siedmiu aktorów. Naprawdę myślę, że to nie w porządku” – ocenił Hornswoggle, amerykański zawodowy zapaśnik oraz menedżer wrestlingowy. Z kolei brytyjski kulturysta i performer z karłowatością, Choon Tan, wyznał, że decyzję Disneya postrzega jako dyskryminację. „Disney zbyt mocno stara się być poprawny politycznie, ale w ten sposób niszczy nasze kariery i możliwości. Naprawdę nie ma nic złego w obsadzaniu kogoś z karłowatością w roli karła przy każdej nadarzającej się okazji. Tak długo, jak jesteśmy traktowani na równi i z szacunkiem, zazwyczaj jesteśmy bardziej niż szczęśliwi, mogąc przyjąć każdą rolę aktorską, która jest dla nas odpowiednia” – stwierdził.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



UKRADŁ I WRÓCIŁ

Na Florydzie aresztowano człowieka, który podejrzany jest o kradzież tesli Cybertruck w trakcie jazdy próbnej. Mężczyzna, pożyczając pojazd, zostawił w salonie jako zastaw swoje karty kredytowe. Samochód miał zwrócić po pół godziny przejażdżki, lecz tego nie zrobił. Pojazd został namierzony przy pomocy geolokalizacji i w ten sposób sprzedawca go odzyskał. Mężczyzna zaś pojawił się w salonie po sześciu dniach, by odebrać swoje karty kredytowe. Jak się okazało, były one na różne nazwiska.

FOT. TESLA

OPALANIE PIENIĘDZY

W tajwańskim mieście Tainan mężczyzna położył na poboczu jezdni banknoty o wartości 180 tys. dol. Ludzie przechodzili obok pieniędzy i nawet nie próbowali ich podnosić z obawy o to, że mogłoby się to wiązać z jakimiś kłopotami. Tymczasem właściciel banknotów... postanowił po prostu je wysuszyć na słońcu, gdyż – jak twierdził – w jego domu wskutek wilgoci pokryły się pleśnią.

SODA W WODZIE

Do zagadkowego incydentu doszło w firmie w brazylijskim mieście Canoas. Jej pracownik z nieznanym powodów podtruwał kolegów z pracy. Kamera monitorująca przebieg zdarzeń w zakładzie uchwyciła moment, w którym nalewał on sodę kaustyczną do dystrybutora wody. Policja zainteresowała się tym nagraniem, ponieważ wszczęła śledztwo w sprawie nagłego pogorszenia się stanu zdrowia dwóch osób pracujących w firmie.

ONI PŁACILI JEJ

W Londynie mieszka kobieta, która twierdzi, że za 10–20 tys. dol. jest gotowa spełniać najszybsze marzenia mężczyzn. Na przykład swoich klientów wyprowadza jak psy na spacer. Są też mężczyźni czerpiący przyjemność z wcielania się w jej służących. Tyle że pracują dla niej naprawdę. To nie ona im jednak za to płaci, lecz oni jej, i to słono. Swoje usługi kobieta reklamuje, pozując wyzywająco na zdjęciach zamieszczonych w Internecie.

TRZY OPCJE

Ryanair został pozwany przez jednego z pasażerów, ponieważ w serwisie internetowym tej linii lotniczej zabrakło opcji podania neutralnego płciowo tytułu podczas dokonywania rezerwacji. Chodzi o to, że klient, chcąc zarezerwować dla siebie bilet, mógł wybrać przy swoim imieniu i nazwisku jedną z trzech opcji: „pan”, „pani”, „panna”. Innych opcji do wyboru nie miał. W tej sytuacji żąda od Ryanaira 5,5 tys. dol. odszkodowania. ©

Filip Memches

GLOBALNE OCHŁODZENIE



JACEK PRZYBYLSKI

Armie robotów

Negocjacje pokojowe coraz bardziej się przeciągają. Tymczasem ukraińskiej armii coraz bardziej brakuje rekrutów, a rosyjski kontyngent z roku na rok staje się coraz większy. W 2022 r. Rosja dysponowała 150 tys. żołnierzy, w 2023 r. już 400 tys., a w 2024 r. ich liczba wzrosła do 600 tys.

Wkrótce oddziałów na froncie znów przybędzie. Zgodnie z dekretem podpisanym w ubiegłym tygodniu przez Władimira Putina w tym roku wiosenny pobór (trwający od 1 kwietnia do 15 czerwca) obejmie aż 160 tys.

Rosjan w wieku od 18 do 30 lat (czyli najwięcej od 14 lat).

Skoro władzom w Kijowie trudno jest mobilizować kolejnych rekrutów, to jeszcze w 2025 r. na froncie mają się pojawić oddziały bezzałogowców liczące łącznie 15 tys. nowoczesnych robotów. Ich zadaniem ma być zastąpienie ludzi na najbardziej niebezpiecznych odcinkach frontu. Jak podał portal Ukraińska Prawda, roboty potrafią już nie tylko atakować pozycje wroga, lecz także ewakuować rannych, przenosić zaopatrzenie i broń, minować, rozminowywać, rozciągać drut kolczasty etc.

Armie robotów mają też podbić cywilne rynki. Według szacunków analityków Morgan Stanley populacja robotów humanoidalnych wyniesie 40 tys. do końca obecnej dekady, a do roku 2050 wzrośnie do 63 mln. Amerykańska telewizja CNBC zwraca zaś uwagę, że zdaniem niektórych ekspertów popyt na roboty humanoidalne jest wyższy niż np. na roboty koksówki. Roboty mają znaleźć zastosowanie nie tylko w przemyśle, lecz także w sektorze usługowym. W walce o światowy prymat w tej dziedzinie (i dziesiątki miliardów) łeb w łeb idą Amerykanie i Chińczycy. ©

Dzień zubożenia



Jacek Przybylski

Indeks S&P 500 spadł w pierwszym kwartale 2025 r. o niemal 5 proc. Amerykańska giełda radziła sobie najslabiej od trzech lat. Ogłoszone przez Trumpa cła mogą zaś doprowadzić do katastrofy amerykańskiej i światowej gospodarki. Część publicystów i ekonomistów już rozważa, czy jesteśmy na progu kryzysu w stylu krachu w 2008 r. czy bliżej nam do wielkiego kryzysu z lat 1929–1933

Dzień wyzwolenia. Taką nazwę nadał zeszłej środzie amerykański prezydent Donald Trump. Dzień ten miał wstrząsnąć globalnym łańcem gospodarczym. Analitycy z całego świata z niepokojem czekali więc na wieści od tradycyjnie nieprzewidywalnego przywódcy USA. Do czasu inauguracji Trumpa gospodarka miała się bowiem całkiem nieźle: inflacja powoli malała, tempo wzrostu gospodarczego utrzymało się na poziomie ponad 2 proc., zyski firm rosły, a giełda biła rekord za rekordem. Kolejne decyzje nowego przywódcy Ameryki na razie osłabiają gospodarkę USA. Nie inaczej było w zeszłym tygodniu.

– To, co oni robią nam, my zrobimy im – stwierdził Donald Trump, przekonując, że przez dziesięciolecia Stany Zjednoczone były „rabowane, gwałcone i plądrowane przez narody bliskie i dalekie, zarówno przez przyjaciół, jak i przez wrogów”. – To się już więcej nie wydarzy – mówił dumny z siebie przywódca Ameryki. W Ogrodzie Różanym Białego Domu ogłosił w zeszłą środę pakiet „ceł odwetowych”, znoszących porozumienia handlowe obowiązujące od 1947 r. i wymierzonych we wszystkich partnerów handlowych Stanów Zjednoczonych. Trump połączył minimalną stawkę bazową (na poziomie 10 proc.) z cłami ustalonymi indywidualnie w zależności od kraju. Zgromadzonym w Ogrodzie

Donald Trump ogłosił, że na produkty importowane z krajów Unii Europejskiej nałożone zostaną cła w wysokości 20 proc. FOT. KENT NISHIMURA/POOL/EPA/PAP

Różnym zaprezentował olbrzymią tablicę z wypisanymi państwami i stawkami celnymi, po czym z wrodzoną skromnością wyczytywał kolejne kraje i poziom ceł. I tak produkty importowane z krajów Unii Europejskiej będą objęte stawką 20 proc., a towary importowane z Japonii zostaną objęte cłami w wysokości 24 proc. – Będziemy dla nich mili – tłumaczył Trump, przekonując, że wprowadzone cła są „mniej więcej o połowę niższe” niż bariery handlowe stosowane przez dane kraje wobec towarów eksportowanych przez USA. Jednocześnie na Wielką Brytanię nałożone zostaną jednak cła w wysokości zaledwie 10 proc., choć kraj ten stosuje bardzo podobne zasady podatkowe jak państwa Unii Europejskiej (głównie chodzi o VAT). Cłami w wysokości 10 proc. zostaną też objęte towary importowane np. z Turcji.

Najwyższymi stawkami mają być objęte towary importowane z Kamboży (aż 49 proc.), Wietnamu (46 proc.), Sri Lanki (44 proc.), Tajlandii (36 proc.), Chin (34 proc.), Tajwanu (32 proc.), Szwajcarii (31 proc.), Indonezji

(31 proc.), RPA (30 proc.), Indii (26 proc.) oraz z Korei Południowej (25 proc.). Trump ku uciesze związkowców reprezentujących firmy motoryzacyjne zapowiedział również wprowadzenie 25-procentowego cła na importowane samochody z całego świata, licząc na to, że jeśli auta spoza USA znacząco podrożeją, to zmusi Amerykanów do kupowania czterech kółek z krajowych fabryk.

– 2 kwietnia 2025 r. przejdzie do historii jako dzień odrodzenia się amerykańskiego przemysłu, dzień odzyskania przeznaczenia Ameryki i dzień, w którym zaczęliśmy czynić Amerykę ponownie bogatą, dobrą i zamożną – przekonywał Donald Trump. – Jeśli chcecie, by wasze cła wynosiły zero, to produkujcie w Ameryce – oznajmił, przekonując, że cła pomogą odrodzić amerykański przemysł.

RECESJA NA WŁASNE ŻYCZENIE?

– To nie jest Dzień Wyzwolenia, to Dzień Recesji – ostrzegł lider mniejszości w Izbie Reprezentantów Hakeem Jeffries, który przekonywał, że przez wprowadzone przez Trumpa cła

„wszystko w Stanach Zjednoczonych stanie się droższe”. W tym wypadku obaw o przyszłość nie kryją nie tylko reprezentanci opozycji, lecz także analitycy i eksperci. Ruch Donalda Trumpa, który wielokrotnie określał „cła” mianem „najpiękniejszego słowa w słowniku”, może bowiem nie tylko zaostriżyć wojnę handlową i zrujnować obowiązujący od dekad porządek handlowy, lecz także spowolnić tempo globalnego wzrostu gospodarczego. Historia pokazuje bowiem, że cła nigdy nie działały tak, jak chcieliby tego rządzący. Wielokrotnie już okazywały się za to prawdziwymi zabójcami wzrostu gospodarczego. Tymczasem jeszcze przed ich ogłoszeniem, na koniec lutego 2025 r., model statystyczny Fedu z Atlanty ostrzegał, że w pierwszym kwartale obecnego roku w USA może niespodziewanie dojść do spadku PKB. Część analityków od kilku tygodni ostrzega więc przed „recesją Trumpa”. Nowe cła tylko pogorszyły zaś obraz amerykańskiej gospodarki. Zwłaszcza że już tylko cła wprowadzone za pierwszej kadencji obecnego gospodarza Białego

REKLAMA

KSIEGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY

KSIEGARNIA DORZECZY.PL

The advertisement features a dark blue background with a grid of various book covers. The central text 'KSIEGARNIA DO RZECZY' is in white, with 'DO RZECZY' in a smaller font. Below it, 'ZAPRASZAMY' is written in large, bold white letters. At the bottom, 'KSIEGARNIA DORZECZY.PL' is displayed in white capital letters. The book covers include titles like 'CZAS BEZPIECIA', 'HISTORIA', 'IMPERIUM SODOMY', 'NIE MA INNEJ RÓŻY', 'OCZY SZEROKO OTWARTE', 'W STEPIE SZEROKIM', 'FACEK BARTOSIAK', 'Z KOSCIOLA DO PIŁKI', 'ZNAKI Z NIEBA', 'KOMUDA BARTOSIAK', 'BUDEZIE', 'Sekrety mistycznych', and 'RATUJĄC NAS'.

■ Domu zmniejszyły amerykański wzrost gospodarczy o 0,4 proc. i doprowadziły do utraty 309 tys. miejsc pracy.

„Administracja Donalda Trumpa eskaluje napięcia handlowe, zapowiadając szeroko zakrojone taryfy na import z wielu krajów. Oczekiwane restrykcje celne, obejmujące zarówno cła bazowe, jak i specyficzne cła na wybrane państwa, wywołują wzrost niepewności gospodarczej oraz mogą negatywnie wpłynąć na dynamikę wzrostu PKB USA. Analitycy korygują prognozy wzrostu gospodarczego Ameryki na 2025 r. do ok. 1,5 proc., co odzwierciedla potencjalne skutki bardziej agresywnej polityki handlowej. W połączeniu z możliwymi działaniami odwetowymi ze strony Chin, Unii Europejskiej i Kanady polityka protekcjonistyczna Trumpa grozi dalszym osłabieniem amerykańskiego sektora eksportowego i zwiększeniem presji inflacyjnej” – zauważył w ubiegłym tygodniu główny ekonomista VeloBanku Piotr Arak.

BĘDZIE DROŻEJ

Wywołane decyzjami Trumpa spowolnienie może dotyczyć nie tylko USA – gdzie za wprowadzenie ceł według wyliczeń The Budget Lab przeciętne gospodarstwo domowe klasy średniej może zapłacić nawet 4,2 tys. dol. rocznie – lecz także innych krajów. Zwłaszcza że zdaniem analityków ogłoszone przez amerykańskiego prezydenta cła są na tyle wysokie, że mocno wzrosło ryzyko eskalacji globalnej wojny handlowej. – Po Dniu Wyzwolenia nastąpi Dzień Odwetu – ostrzegł Luca Paolini, główny strateg w Pictet Asset Management, cytowany przez dziennik „The Financial Times”. Jego tezę błyskawicznie zaczęli potwierdzać kolejni przedstawiciele rządów na różnych kontynentach, zapowiadając podjęcie działań odwetowych wobec towarów importowanych z USA.

Zdaniem analityków nowe cła Trumpa mogą doprowadzić do katastrofy nie tylko w Stanach Zjednoczonych, gdzie szeroko zakrojone cła wprowadzone przez prezydenta Donalda Trumpa mogą „niebezpiecznie zbliżyć gospodarkę USA do recesji”, lecz także w gospodarce globalnej. Główny ekonomista Michael Feroli ostrzegł, że decyzja prezydenta może doprowadzić do podwyższenia inflacji (o 1–1,5 punktu

procentowego w tym roku) i zmniejszenia wydatków konsumenckich. Oceniał on także, że wprowadzenie ceł to „największa podwyżka podatków” w USA od 1968 r. W raporcie analityków banku inwestycyjnego J.P. Morgan czytamy bowiem, że ponad jedna trzecia przedsiębiorstw z rynków wschodzących prawdopodobnie „znaczaco” odczuje skutki wprowadzenia przez USA nowych ceł.

ZŁOTO W GÓRĘ, ROPA W DÓŁ

Obawy analityków i inwestorów błyskawicznie przełożyły się na notowania akcji, walut i surowców. Zarówno w USA, jak i w Azji oraz Europie. Wiele indeksów giełdowych, w tym polski WIG, niemiecki DAX czy amerykański Nasdaq, dzień po ogłoszeniu protekcjonistycznej polityki Trumpa tonęło w czerwieni. W stosunku do głównych walut mocno tracił również amerykański dolar, którego status bezpiecznej przystani jest obecnie coraz bardziej zagrożony. Mocno spadła również cena baryłki ropy.

Dzięki prezydentowi USA najmocniej w historii błyszczało za to złoto. W czwartek za jedną uncję trojańską (31,1 g) w pewnym momencie trzeba było zapłacić aż 3167,84 dol. (!). Od początku obecnego roku królewski kruszec zyskał więc na wartości niemal jedną piątą. Autor tego tekstu na złotą hossę zwracał uwagę już we wrześniu ubiegłego roku (nr 36/2024), zauważając, że złoto może „przekroczyć wkrótce poziom 2,7 tys. dol., a być może nawet 3 tys. dol.”. Główne fundusze ETF na złoto informują o znaczących napływach netto, co może świadczyć o tym, że inwestorzy kupują królewski kruszec nie tylko, aby zabezpieczyć się przed inflacją, lecz także – tradycyjnie w czasach kryzysów i wojen – aby uchronić kapitał w okresie poważnych zawirowań geopolitycznych.

Nie wiadomo jeszcze, jak długo Donald Trump zamierza utrzymać nowe cła. I czy przypadkiem nie zamierza traktować ich wyłącznie jako karty przetargowej w negocjacjach handlowych, doprowadzając ostatecznie do znaczącego obniżenia ogłoszonych w ubiegłym tygodniu stawek w zamian za zapewnienie lepszych warunków dla amerykańskich towarów. Niewiadomą pozostaje też reakcja chińskich władz. Jeśli bowiem Pekin doprowadzi do dewaluacji juana,

to kraje Unii Europejskiej będą musiały poradzić sobie z podwójnym szokiem: amerykańskimi cłami oraz gwałtownie rosnącą konkurencją ze strony Chin.

A CO Z POLSKĄ?

Premier Donald Tusk ocenił decyzję Trumpa o wprowadzeniu ceł jako „cios dotkliwy i przykry”, zauważając, że „według wstępnej oceny nowe amerykańskie cła mogą zmniejszyć polski PKB o 0,4 proc., czyli w ostrożnym uproszczeniu straty przekroczą 10 mld zł”.

Według ekonomistów Polskiego Instytutu Ekonomicznego „Dzień Wyzwolenia Ameryki” może doprowadzić do obniżenia polskiego PKB w zakresie od 0,11 proc. do 0,43 proc. w zależności od tego, jak bardzo będą eskalowały globalne wojny handlowe. „Najbardziej dotkliwy okazuje się scenariusz ostrej wojny handlowej między USA a UE połączonej z odwetem ze strony Unii” – prognozują autorzy opublikowanego w ubiegłym tygodniu raportu, tłumacząc, że głębsze zakłócenia łańcuchów dostaw na skutek nakładania przez obie strony dodatkowych ceł doprowadzą do podwyższenia kosztów produkcji, a jednocześnie będą skutkowały pogłębieniem niepewności na rynkach, a także ograniczeniem inwestycji oraz eksportu polskich firm uczestniczących w globalnych łańcuchach dostaw zarówno dla Unii Europejskiej, jak i dla Stanów Zjednoczonych. Zdaniem ekspertów PIE transatlantycka wojna celna najmocniej dotknie takie branże jak górnictwo oraz transport. Z powodu 25-procentowych ceł nałożonych przez Trumpa na importowane do USA samochody mocno ucierpieć może również polska branża automotive.

To nie koniec sygnałów ostrzegawczych dla naszej gospodarki. Polskich i zagranicznych ekonomistów coraz bardziej niepokoją również dane o zaskakująco wysokim deficycie sektora rządowego i samorządowego Polski, który wzrósł niedawno do 6,6 proc. PKB, czyli poziomu niewidzianego od początku pandemii COVID-19. I chociaż prognozy nadal wskazują na dynamiczny wzrost polskiej gospodarki, to istotnym czynnikiem ryzyka jest przyszła koniunktura w strefie euro, w szczególności w gospodarce niemieckiej. Na tę zaś cła Trumpa mogą mieć istotny wpływ.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Na cztery wiatry

Gdyby zarząd InPostu tak zarządzał InPostem, jak zarząd Poczty Polskiej od dekad zarządza Poczta Polska (choć akurat to, na szczęście, ostatnio powoli zaczyna się zmieniać na lepsze), to właściciel InPostu już dawno przegnałby go na cztery wiatry, wysyłając za jego byłymi członkami wilcze bilety – tak żeby już nigdy żaden właściciel cegokolwiek nie powierzył tym ludziom zarządzania cegimkolwiek.

Podobny los spotkałby zarządy dwóch znakomitych firm medycznych – LUX MED i Enel-Med – gdyby zarządzały nimi w taki sposób, w jaki podległymi im placówkami zarządzają zarządy wiecznie tonących w długach, otoczonych przez kolejki pacjentów państwowych szpitali i przychodni. I nie inaczej byłoby z zarządami innych prywatnych firm, gdyby kierowały nimi z takim samym skutkiem, z jakim od dekad czynią to zarządy ich państwowych odpowiedników.

Dlaczego więc właściciele państwowej Poczty Polskiej, takich szpitali i przychodni, kopalni węgla i szkół – ich właściciele, czyli my, polscy podatnicy i wyborcy – nie zbuntujemy się i nie przegnamy na cztery wiatry członków zarządów wszystkich tych firm i instytucji? A przede wszystkim – dlaczego nie przegonimy polityków, którzy tych nieudolnych ludzi (nierazko absolwentów legendarne Collegium Tumanum) na te fotele w zarządach

państwowych firm i instytucji powołują? A najlepiej – żeby już raz na zawsze przeciąć tę spiralę państwowej nieudolności za nasze, podatników, pieniądze – dlaczego nie zażądamy sprywatyzowania tych państwowych firm? A – przeciwnie – pozwalamy utrzymywać je jako państwowe i dotować co roku dziesiątkami miliardów złotych z naszych podatków, bo bez tej kropelki dawno by upadły?

Nie, nie chcę przez to powiedzieć, że wszystko, do czego wezmą się przedsiębiorcy (przedsiębiorcy prywatni, działający na własne ryzyko, bo innych przecież nie ma), zawsze wychodzi i odnosi sukces, bo to nieprawda; wszelako oni mylą się wyłącznie na własne ryzyko, czyli za własne pieniądze. Za to z całą pewnością wszystko (lub, niech będzie, prawie wszystko), do czego wezmą się politycy, nie wychodzi, a przy tym kosztuje górę pieniędzy. I to naszych pieniędzy – podatników – które oni trwonią, a nie ich – polityków; nie pieniądze panów Morawieckiego i Tuska.

Niech więc politycy nie biorą się do niczego, czego robić nie muszą, a muszą zajmować się wyłącznie wojskiem, policją i państwową infrastrukturą wszelkiej proweniencji – drogową, kolejową, energetyczną itp. A całą resztę niech zostawiają prywatnej przedsiębiorczości Polaków. Wszyscy na tym byśmy skorzystali. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wiek protekcjonizmu?

Nowoczesny wiek protekcjonizmu Trumpa („Trump’s New Protectionist Age”) – zatytułował „The Wall Street Journal” artykuł wstępny na – jutro – po ogłoszeniu przez amerykańskiego prezydenta cła wobec ogromnej liczby krajów świata, których podstawowa stawka to 10 proc. Jednak w wielu przypadkach jest wyższa: UE to 20 proc., Japonia – 24 proc., Chiny – 34 proc., a Kambodża – aż 49 proc.

Gdy cła Donalda Trumpa krytykuje Ursula von der Leyen – coś mi zgrzyta

Liberalny amerykański dziennik ma rację – to jest powrót do protekcjonizmu, czyli zwrot w kierunku, któremu niechętny jest każdy liberał. I to zwrot tak potężny, że musi zatrząsnąć nawet liberała umiarkowanego, a więc takiego, który jednak przyjmuje, iż czasami i cła muszą być instrumentem działania państwa.

W tym wypadku, podobnie jak w wypadku innych działań prezydenta USA, nie ma oczywiście mowy o jakimś wariactwie czy złośliwości. Trump chce osiągnąć określony efekt i – podobnie jak w wielu innych przypad-

kach dotąd – możemy tylko zgadywać, który z możliwych efektów ma to być. Czy chodzi o wymuszenie obniżenia efektywnych barier dla amerykańskich towarów na innych rynkach i gdy to się stanie, amerykańskie cła będą obniżane? Czy przede wszystkim o wymuszenie, aby firmy przenosiły się na terytorium USA? Czy może o ochronę pracowników w kraju? A może jednak faktycznie jest to próba spowodowania globalnego odejścia od systemu (względnie) wolnego handlu międzynarodowego, u której podstawy leży także chęć zmniejszenia roli dolara jako waluty rezerwowej świata, a więc jego permanentne osłabienie z korzyścią dla amerykańskiego eksportu? Nie wiemy. Tak czy owak, skutki mogą być potężne, choć Polska ze swoją niewielką wymianą handlową z USA (w sumie niepełną 30 mld dol. z prawdopodobnie niemal równym saldem) oberwie raczej rykoszetem niż bezpośrednio.

Gdy jednak cła Trumpa krytykuje Ursula von der Leyen – coś mi zgrzyta: to Unia Europejska stworzyła absurdalny mechanizm CBAM, czyli „cła węglowego”, którego jedynym zadaniem jest ochrona kretyńskiej unijnej polityki klimatycznej. Może więc przewodnicząca Komisji Europejskiej lepiej by zrobiła, milcząc. ©©

SUZUKI VITARA 1.5 DUALJET HYBRID

Stara, dobra i wciąż bardzo popularna Vitara została przez producenta odmłodzona. Japoński crossover z napędem na cztery koła zyskał nieco nowoczesności, ale żadnej rewolucji nie było. Z zewnątrz zmiany są bardzo kosmetyczne: pojawił się nowy wzór felg, maskownica chłodnicy urosła i lśni teraz błyszczącą czernią. Zmieniły się też grill oraz okolice przednich reflektorów. Pojawiły się także nowe kolory nadwozia. Wielkich zmian więc nie ma, ale może to i dobrze, że Japończycy zdecydowali się tylko na kosmetyczne poprawki. Odświeżona Vitara to bowiem nadal klasyczny miejski crossover przeznaczony dla klientów, którzy szukają po prostu praktycznego, solidnego auta.

Pod maską testowanego modelu znajduje się Dualjet Hybrid, czyli pełna hybryda. Czterocylindrowy wolnossący silnik 1.5 benzynowy o pojemności 1462 cm sześć. współpracuje z jednostką elektryczną generującą dodatkowe 33 KM. Łączna moc układu hybrydowego wynosi 116 KM. Producent zastosował w tym modelu zautomatyzowaną sześciostopniową skrzynię biegów 6AGS (to świetne rozwiązanie do nauki spokojnej jazdy i cierpliwości za kółkiem, bo niemal każda nagle zmiana karana jest charakterystycznym szarpnięciem).

Nie jest to więc maszyna dla miłośników sprintu spod świateł. Od zera do 100 km/h Vitara 1.5 Dualjet

Hybrid przyspiesza w 13,5 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 175 km/h. I tu da się czerpać trochę przyjemności z jazdy – trzeba tylko włączyć tryb sportowy. Wtedy dynamika auta jest już przyzwoita. Na dużą pochwałę zasługuje świetny napęd na cztery koła (AllGrip). Niezłe jest również spalanie – podczas naszego testu auto spaliło średnio 6,2 l/100 km.

W kabinie Japończycy unowocześnili dotykowy wyświetlacz. Nowy jest większy (9 cali) i bez problemu współpracuje bezprzewodowo z Apple CarPlay i Android Auto. Zmieniły się nieco również grafiki na kolorowym wyświetlaczu o wielkości 4,2 cala umieszczonym między klasycznymi zegarami. W centralnym miejscu konsoli pojawiła się również wewnętrzna kamera monitorująca, czy kierowca na pewno jest cały czas skupiony wyłącznie na drodze (gadżet wynikający z unijnych regulacji).

Poza tym nadal wewnątrz jest minimalistyczne i analogowe. Z jednej strony to dobrze, że Japończycy nie poszli za modą wrzucania wszystkich funkcji do systemu multimedialnego i zostawili wiele praktycznych przycisków. Z drugiej strony szkoda, że w kabinie wciąż dominują twarde plastiki, które wprawdzie są w stanie przeżyć długie lata, ale nie wyglądają tak ładnie jak miękkie materiały w modelach konkurencji. Sporo do życzenia pozostawiają jakość obrazu z kamery cofania, a także wyciszenie kabiny. Szkoda też, że kufer ma zaledwie 289 l pojemności.

Najtańsza wersja Suzuki Vitary FL 1.5 Dualjet Hybrid wyceniona była na 128,9 tys., a w ofercie promocyjnej rocznika 2024 jej cena wynosi 112,9 tys. zł. Najwyższy wariant obecnego modelu – Elegance Sun – ze 143,9 tys. przeceniono do 127,9 tys. zł. ☺☺



FOT. JAP

XIAOMI 15

Świetne aparaty fotograficzne z optyką firmy Leica, znakomity wyświetlacz, eleganckie wzornictwo i pojemna bateria – to największe zalety najnowszego, kompaktowego flagowca chińskiej firmy Xiaomi.

Xiaomi 15 wygląda na tyle dobrze, że stał się godnym konkurentem dla takich smartfonów jak iPhone 16 Pro czy Pixel 9 Pro. Kompaktowy rozmiar (152,3 x 71,2 x 8,08 mm) ważącego 191 g smartfona sprawia zaś, że ten model znakomicie leży w dłoni.

Na pochwałę zasługuje również sam ekran AMOLED o przekątnej 6,36 cala, rozdzielczości 2670 x 1200 pikseli i maksymalnej częstotliwości odświeżania na poziomie 120 Hz. Obsługa Dolby Vision wzmacnia zaś jeszcze przyjemność z oglądania na tym smartfonie filmików w mediach społecznościowych czy seriali w serwisach streamingowych. To również dobry model na nadchodzące (mam nadzieję) pogodne dni. Maksymalna jasność pozwala bowiem korzystać z Xiaomi 15 nawet w mocnych promieniach słońca.

Największą zaletą testowanego modelu są trzy obiektywy 50 MP – główny, ultraszerokokątny oraz teleobiektyw – z optyką od firmy Leica. Jakość fotografii jest znakomita. Szumów jest mało, detali dużo, kolory są naturalne, a czerń głęboka.



Sercem urządzenia jest wydajny ośmiordzeniowy procesor Qualcomm Snapdragon 8 Elite, który współpracuje z 12 GB pamięci RAM. To potężny zestaw, który pozwala na szybką edycję zdjęć i filmików, a także płynne przełączanie się między tuzinami otwartych stron i aplikacji.

Plusem jest także ogniwo krzemowo-węglowe o pojemności 5240 mAh. Przy normalnym użytkowaniu Xiaomi 15 bez trudu wytrzyma cały dzień pracy. Smartfon obsługuje również przewodowe ładowanie 90 W i bezprzewodowe 50 W (jest też ładowanie bezprzewodowe zwrotne 10 W). Klasa odporności IP68 sprawia zaś, że nie trzeba się bać wody.

Minusy? Xiaomi 15 często robi się ciepły, a niekiedy wręcz gorący. Ponadto choć smartfon ten działa na Androidzie 15 z nakładką HyperOS 2, to nadal jest zawalony toną śmieciowych aplikacji, które niepotrzebnie zżerają zasoby procesora i pamięci RAM. Poza tym ładowarki próżno szukać w zestawie. Niby to efekt decyzji brukselskich biurokratów, ale jak się wydaje pieniądze na smartfon klasy premium i trzeba dokupić ładowarkę, to niesmak pozostaje.

Wersja 12 GB RAM i 256 GB pamięci na dane kosztuje 4199 zł, a na wariant 12 GB plus 512 GB trzeba wydać 4699 zł. ☹☹

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

DO RZECZY TYGODNIK LUSICKIEGO

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Dwie legendy zamku w Olsztynie



JACEK KOMUDA

Zamek w Olsztynie koło Częstochowy, czasem mylony z Olsztynem na Mazurach, wzniesiony w połowie XIV w. przez Kazimierza Wielkiego, był ważnym ogniwem łańcucha twierdz broniących granic Małopolski i Wielkopolski od strony Śląska. W 1370 r. Ludwik Węgierski oddał go w lenno Władysławowi Opolczykowi, poplecznikowi władcy, który po jego śmierci zamierzał sam zostać królem Polski. Olsztyn i inne zamki oraz dobra odebrał mu dopiero król Władysław Jagiełło. I na początku XV w. przekazał go w dzierżawę Janowi Odrowążowi ze Szczekocin. Sto lat później zarządził nim starosta Piotr Opaliński, który przebudował zamek w duchu renesansowym.

Z Olsztynem związane są przynajmniej dwa ciekawe zdarzenia historyczne, z których każde pozostawiło po sobie legendę, choć same były jak najbardziej prawdziwe. Pierwsze związane jest z uwięzieniem w lochu głodowym Maćka

Borkowica, wojewody poznańskiego. W wielu podręcznikach historii napisano, że przyczyną skazania go na okrutną śmierć był udział w konfederacji wielkopolskiej zmierzającej rzekomo do oderwania tej prowincji od Królestwa Polskiego. Nic bardziej mylnego – Jerzy Wyrozumski w biografii Kazimierza Wielkiego wykazał, że konfederacja nie była skierowana przeciwko królowi, ale przeciwko staroście generalnemu Wierzbicie z Paniewic, który nadużywał niesprawiedliwego prawa, tzw. ciężenia przeciwko szlachcie. Prawdziwych przyczyn, dla których



Borkowic znalazł się w lochu, jest prawdopodobnie kilka. Jan Długosz podaje, że Kazimierz Wielki osobiście skazał wojewodę za łupiestwa, rabunki i utrzymywanie rozbójników. Według innych źródeł powód był wręcz sensacyjny: Borkowic pilnował królowej Adelajdy Heskiej, uwięzionej przez męża na zamku w Żarnowcu, jednak wkrótce pomiędzy nią a strażnikiem doszło do romansu, czego król nigdy nie wybaczył. Borkowic został zatem skazany na okrutną kaźń – wtrącony do lochu otrzymywał codziennie wiązkę siana i czarkę wody. Maćko przeżył w tych warunkach tylko 40 dni, zmarł prawdopodobnie 9 lutego 1359 r. Przedtem być może popadł w szaleństwo: „Dla zasycenia głodu, póki mógł, własne ciało z rąk i innych miejsc wyzerał”. Przed śmiercią przyjął jednak ostatnią komunię i się wypowiadał.

Druga legenda związana jest z atakiem na zamek wojsk arcyksięcia Maksymiliana, jednego z pretendentów do polskiej korony w 1587 r. Otóż po podwójnej elekcji i nieudanej próbie zajęcia Krakowa oddziały habsburskie ruszyły na Siewierz, w grudniu tego roku stanęły pod Olsztynem bronionym przez ok. 80 żołnierzy pod dowództwem Kaspra Karlińskiego, miejscowego starosty i stronnika kanclerza Jana Zamoyskiego, który popierał na elekcji Zygmunta Wazę.

Arcyksiążę najpierw próbował przekupić dowódcę, oferując mu godność senatora, jeśli przejdzie na jego stronę, a Maksymilian zostanie królem. Starosta odmówił; wzmocniony siłami okolicznej szlachty, odparł szturm i kolejne ataki wroga. Wówczas jeden z ostatnich magnatów wspierających Habsburga, znany nam już Stanisław Stadnicki zwany „Diabłem”, choć jeszcze nie łańcuckim, postanowił zastosoować paskudny fortel. Wraz ze swoimi ludźmi uderzył na Karlin, gdzie znajdował się dwór Karlińskiego, i porwał stamtąd sześćioletniego syna starosty, którego następnie kazał razem z piastunką prowadzić na czele wojsk nacierających na zamek. Jednak kiedy niemieckie wojska zbliżyły się do bramy zamkowej, Karliński kazał otworzyć ogień. Ponoć powiedział wówczas: „Pierwej synem Ojczyzny niżli ojcem byłem” i tym samym skazał syna na śmierć. Szturm został odparty ze znacznymi stratami wojsk Maksymiliana, który wycofał się na Krzepice. Starosta przypłacił decyzję ciężką chorobą; nie zgłosił się nawet do Krakowa po odbiór nagrody, którą chciał obdarować go kanclerz Zamoyski. Z ośmiu synów pozostali mu tylko dwaj – Walenty i Marcin, którzy wzorem ojca obrali karierę wojskową. Sam zaś Karliński wkrótce umarł.

Olsztyn uszkodzony podczas ataku wojsk Maksymiliana zaczął z wolna popadać w ruinę. W roku 1631, podczas lustracji, był już mocno zniszczony, a w dodatku został w czasie potopu zdobyty przez Szwedów. W 1722 r. ruiny zaczęto rozbierać, pozyskując kamień na budowę kościoła w miasteczku pod zamkiem. Do dzisiejszych czasów przetrwał w stanie malowniczej ruiny wciśniętej pomiędzy piękne skałki wapienne. ©



RYŚ: MART



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK
I ANNA POPEK Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Żur czy zalewajka?

Niegdyś zarówno w bogatych magnackich domach, jak i w chłopskich chatach przygotowywano się do Wielkanocy starannie. Co zatem podawano na wielkanocnych stołach? Zaczniemy od żurku lub zalewajki.

Podstawą tych tradycyjnych zup jest zakwas żytni, który gospodynie same przygotowywały w domu z mąki żytniej razowej i wody. Tak powstały zakwas dawniej – w okresie przedświątecznego postu – wykorzystywano do przygotowywania zupy postnej, tzw. zalewajki, lub też zupy wiejskiej, której bazą są pokrojone warzywa i ziemniaki. Zakwas jest także podstawą dla żuru, który gotuje się na wywarze mięsnym z dodatkami aromatycznych przypraw. Jeśli zaś dodamy do takiej zupy śmietany, to otrzymamy biały barszcz, czyli syćcą żupę, ale o bardziej łagodnym smaku.

Pierwsze zapiski o zalewajce pojawiły się w Radomsku koło Łodzi. Zalewajka w Łódzkiem zyskała ogromną popularność i tamtejsi szefowie kuchni opracowali wiele jej wariacji. Podawano ją z gęsiną, prażonymi czy kozim serem lub szarpanym polikim wołowym. W 2023 r. Ministerstwo Rolnictwa poszerzyło listę produktów tradycyjnych o „zalewajkę z Rogowa” w Zachodniopomorskiem, bo właśnie tam po wojnie osiedlili się mieszkańcy z centralnej Polski, właśnie z okolic Łodzi. W podstawowej wersji zarówno zalewajka, jak i żurek gotowane są na wywarze mięsnym, zazwyczaj na boczku wędzonym lub żeberkach, lub też białej kiełbasie. Dodaje się również pokrojoną w kostkę

marchewkę, ziemniaki, czosnek i cebulę. Posiekaną drobno cebulkę możemy lekko zarumienić na patelni. Tak czasami robiła nasza mama, wówczas zupa zyskiwała bardziej intensywny smak. Podstawową przyprawą zup jest suszony majeranek, którego nie należy oszczędzać. Jaka jest zatem różnica pomiędzy zalewajką a żurkiem? Do zalewajki dodaje się suszone grzybki, a do żurku dodajemy jajka, ale zarówno jedna, jak i druga zupa doskonale sprawdzi się na wielkanocnym stole i zapewne będzie smakować wyśmienicie.

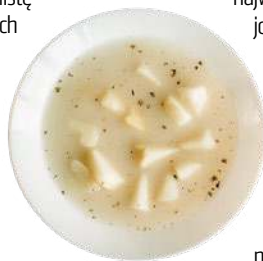
Zalewajka postna

- 1,5 l wody • 500 g ziemniaków • 500 ml zakwasu na żurek
- 2 cebule • 1 łyżka masła • 6 sztuk suszonych grzybków namoczonych min. na 1 godz. • czosnek – pół główki • liść laurowy, ziele angielskie, majeranek suszony, czarny mielony pieprz.

Cebula, czosnek i przyprawy to fundament tej zupy. Ziemniaki kroimy w kawałki, gotujemy, aż będą miękkie, doprawiamy, przyprawiamy: ziele angielskie, liść laurowy, czosnek – najważniejszy, pokro-

jony lub przeciśnięty.

Gotujemy wszystko razem. Cebulę kroimy w drobną kostkę i podsmażamy na maśle, dodajemy majeranek i wszystko razem podsmażamy na złoty kolor. Dodajemy do ugotowanych ziemniaków, gotujemy jeszcze kilka minut i na końcu zalewamy żurkiem. Jeśli zupa wydaje się za kwaśna, to możemy dodać małą łyżkę cukru dla zrównoważenia smaku. ©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Mała miss

W pokoju 14-letniej córki moich przyjaciół na stoliku stoi bateria kosmetyków. Perfumy, spraye do twarzy, serum pod oczy, krem nawilżający. Kosmetyki to wśród nastolatków popularny prezent. Kosztuje nie tak drogo, a wiadomo, że dziewczynka, czyli przyszła kobieta, lubi się czymś spryskać, posmarować, powąchać coś, co ładnie pachnie.

W sklepach internetowych nastolatki mogą zasłać. Zestaw Under Twenty (kremy i mgiełka) za 67 zł, niebieski zestaw kosmetyków Ziaja (123 zł) wyglądają całkiem niewinnie. Ale kasety produktów do makijażu dla dziewczynek w przedziale wiekowym 9–16 lat to już coś na granicy zabawy...

Przemysł kosmetyczny to jeden wielki wyciskacz pieniędzy oparty na wciśnięciu iluzji, że wszystkie te buteleczki uczynią nas młodszymi i szczęśliwszymi. Ale target od dwudziestki w górę menedżerom nie wystarczy. Należy wychowywać sobie klientów od jak najwcześniejszego wieku. Dziewięcioletnia dziewczynka już świetnie się do tego nadaje. Kto oglądał amerykański program „Mała miss”, ten wie, jak wyglądają tam konkursy piękności dla dzieci. Kilkuletnie dziewczynki z makijażem, z lokami na głowie, na obcasach, w sukienkach z dekoltem. Wokół mamuśki szykujące córeczki do kariery, bliżej nie

wiadomo jakiej, na pewno celebryckiej.

Jednak chodzi nie tylko o niewinne mgiełki do twarzy o zapachu fiołków czy niebieski lakier do paznokci, oba zresztą niepotrzebne 10-latkę. Walka o rozszerzenie grupy docelowej klientów przez producentów kosmetyków jest bezlitosna. Teraz dziewczynkom wciska się produkty przeznaczone dla dorosłych kobiet. Oto zestaw do pielęgnacji twarzy o uroczej nazwie Fruit Babies, w rozkosznie różowym opakowaniu. A w nim: Avocado Ceramide – nawilżająco-ochronny krem do demakijażu, tonik arbuzy, żel rozjaśniający pod oczy, serum wygładzające z kwasem salicylowym, serum rozświetlające z niacynamidem...

„Dzieci Sephory” kupują produkty przeciwstarzeniowe, chociaż niosą one ryzyko dla zdrowia – ostrzega amerykańska strona legislacyjna Assemblymember. Firmy czerpią zyski ze sprzedaży dzieciom kosmetyków – reklamowanych jako przeciwstarzeniowe, redukujące zmarszczki i rozjaśniające. Zawierają one substancje chemiczne, które mogą być szkodliwe dla skóry dzieci. Mimo to wart miliardy dolarów przemysł kosmetyczny w USA nadal podsyca ten trend, szkodząc zdrowiu i bezpieczeństwu młodzieży.

Dermatolodzy ostrzegają. Ale kto ich słucha? Szczęście małej miss najważniejsze. ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Chrobry w kampanii

Polacy podzielili się w kwestii, kto dzieli Polaków. Już podzieleni zrzucają winę za ten grzech (jakby to miał być grzech w demokracji) jeden na drugiego, a właściwie w polskiej politycznej dwójpółowce – jedno plemię na drugie. Dostarczanych przykładów na to, kto dzieli, mamy z obu stron bez liku, są one zarówno zajadłe, jak i niedowodliwe. Nawet nie wiadomo, kto zaczął? PiS zaczął dzielić Polaków już przed swym powstaniem, prawdopodobnie z chwiłą, gdy pani Jadwiga wydała na świat bliźniaki. Tuski to wiadomo – odkąd młody Donald wpisał się na listę Stasi, którą przejęły zjednoczone Niemcy.

Jednakże co by dało wykrzycie, kto to tak dzieli Polaków? Czy po tej konstatacji Polacy by się... zjednoczyli? Wychodzi, że chyba jednak nie. Mamy więc do czynienia z układem zamkniętym, gdy wszyscy zadają sobie pytanie, na które udzielenie odpowiedzi nic nie daje. Ale warto odnotowywać ewidentne przykłady dzielenia. Ostatnio PiS wezwał do uczczenia tysiąclecia państwowego bytu Polski za pomocą marszu. Tu dygresja – PiS zrobił to, wykorzystując dziwne milczenie rządzących władz w tym temacie, które tę rocznicę wyraźnie bojkotują. Można się domyślać tylko powodów tej postawy władz i lokują one motywacje Tuska jako starania w celu obniżenia

dumy państwowej i zastąpienia jej pedagogiką wstydu. Zwłaszcza że nieszczęśliwie ten rok to również okrągła rocznica hołdu pruskiego i tego Tusk nie może zrobić „fur Deutschland”.

A więc PiS wezwał do obchodów ważnej rocznicy państwowej, przez państwo aktualnie przemilczanej. Tusk od razu zrobił z tego „marsz PiS” i wezwał do kontrmanifestacji. PiS pójdzie w „swoim” marszu 12 kwietnia, Tuski – 11 maja. No i mamy tu kliniczny przykład (na przyszłość, gdyby ktoś chciał kiedyś podeprzeć się przykładem) dzielenia Polaków. Jak można bowiem zrobić kontrmanifestację przeciwko obchodom tysiąclecia polskiej państwowości? Z jakich – że tak spytam – pozycji? Tusk, wzywając do „wielkiego majowego marszu patriotów”, powiedział, że „ten maj zdecyduje o tym, czy Polska będzie silna i bezpieczna czy osamotniona i słaba”. Czyli nadał tej manifestacji wyraźny charakter nie państwowy, ale polityczny, o zdecydowanych cechach kampanii wyborczej. A więc trzeba dzielić – Polacy nie mogą pójść świętować Chrobrego, bo inaczej staną się PiS-owcami i przyczynią się do tego, że Polska będzie... osamotniona i słaba. A tu trzeba wybrać Trzaskowskiego.

Ja tam na tego Chrobrego to pójde, choćby i na przekór. Zajadłość uśmiechniętych jak zwykle robi frekwencję po drugiej stronie. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Emerytka i prezydent USA

Jak to możliwe, że w samym centrum wyścigu zbrojeń, po ogłoszeniu w Polsce stanu wojennego, mieszkanka Krakowa, emerytowana przedszkolanka, Kazimiera Kwiek, wysłała list do prezydenta USA, a list pokonuje żelazną kurtynę i dociera do rąk adresata? Ale to nie koniec historii. Do listu dołączony był prezent, ręcznie tkany, okazałych rozmiarów gobelin, na którym widniały godła USA i Polski, a w środku wizerunek Częstochowskiej Madonny. Skąd wiadomo, że list i prezent skutecznie dotarły? Ano stąd, że kilka miesięcy później do domu kobiety w Krakowie zapukał kurier z ambasady z odpowiedzią i serdecznym podziękowaniem od prezydenta Reagana.

Ta niezwykła historia jest jak gotowy scenariusz filmu. I tak się też stało. Gdy na jednym z terenowych spotkań w Krakowie dyrektor Biura Edukacji IPN, Adam Pleskaczyński, od córki pani Kazimieri usłyszał tę opowieść, natychmiast podjął decyzję o realizacji filmowego dokumentu. Tak powstał film „Nić nadziei”.

Nigdy się nie dowiemy, co przesądziło, że prezydent globalnego mocarstwa nie poprzestał na odebraniu prezentu, a zareagował i napisał odręczny list. Postrzegam ten akt w szerszym kontekście. Gest krakowianki podyktowany był wdzięcznością za reakcję Ronalda Reagana na wprowadzenie stanu wojennego. W grudniu 1981 r.,

w dorocznym orędziu, prezydent zawarł mocne słowa potępienia junty Jaruzelskiego i wyraził wsparcia dla ucieszonego polskiego narodu. Zaapelowała, by Amerykanie, wieczorem, w geście solidarności, w oknach domów postawili zapalone świece. O sprawie zrobiło się w Polsce głośno. Radio Wolna Europa, Solidarność, podziemie, przekazywały sobie krzepiącą wiadomość. Kazimiera Kwiek postanowiła podziękować prezydentowi. Jej córka Monika, wtedy studentka IV roku anglistyki, napisała piękny list. Opisała, jak wyjątkowe znaczenie dla Polaków miał gest prezydenta Reagana. Nie był to wyraz indywidualnej wdzięczności. List emerytki z Krakowa, choć w wymowie bardzo osobisty, był podziękowaniem w imieniu narodu polskiego za wsparcie w trudnym momencie historii.

Geopolityka to wielkie procesy, koncert mocarstw, ponadnarodowe potężne interesy. To rywalizacja sił, potencjałów nuklearnych, wyścig zbrojeń. Jak się do tej rzeczywistości mają skromny list i haftowany gobelin, nigdy się nie dowiemy. Ale polityka to także ludzkie emocje. W czasach, w których instrumentem politycznej presji na blok sowiecki była kwestia praw człowieka, rolę mogły odgrywać poszanowanie godności ludzkiej, współczucie, solidarność, a także wdzięczność. Przynajmniej w przypadku Ronalda Reagana nie możemy tego wykluczyć. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Masywne zdrowie

Dobra odmowa jest lepsza od tysiąca akceptacji. Stop.

PiS-owskiemu sztabowi Karola Nawrockiego Agencja Wyborcza odmówiła sprzedaży zdjęcia, na którym Rafał Trzaskowski maszeruje na tęczowym marszu z osobopostaciami nietuzinkowymi, a reprezentującymi najróżniejsze nuryty LGBTQACDFBI (jeśli kogoś pominąłem, przeproszę). Stop. Jak wiadomo, Trzaskowski nie za bardzo chce się z tęczowymi afiszować, bo teraz przedwyborczo opłaca mu się podobno być konserwą. Stop. O odmowie zakupu zdjęcia poinformował szef sztabu Nawrockiego Paweł Szefernaker, no i się zaczął efekt Streisand. Stop. Barbara Streisand w 2003 r. zażądała 50 mln dol. i zakazu publikowania zdjęć jej domu od pewnego pstryka, który fotografował nie tyle jej dom, ile całe wybrzeże Kalifornii. Stop. Basia centa nie dostała, musiała zapłacić spore koszty sądowe, ale – najważniejsze – w wyniku próby ocenzurowania zdjęcia foto jej posiadłości zaczęło fruwać po Internecie w niespodziewanej gigantycznej skali. Stop. Z próbą ocenzurowania Rafała w towarzystwie tęczowych stało się to samo – tęczowych zdjęć z nim jest teraz pełno. Stop. Nie mniej słodko Trzaskowski wychodzi z przytulającymi się do niego LGBTITAKDALEJ.

Czasem warto cały wpis na X zacytować, jeśli mówimy o wpisie wybitnego polityka. Stop. A wybitny z pewnością

jest Tomasz Trela, więc tu jego wpis: „Jutro sąd będzie decydował o areszcie dla ZERO Ziobro. Ten tchórz notorycznie unikał Komisji Pegasusa. Teraz czas na areszt i przesłuchanie. Wszyscy równi wobec prawa”. Stop. Czas zweryfikować buńczuczność Treli. Sąd aresztu nie zastosował, bo po ustaleniu faktów stwierdził, że to Trela wspólnie i w porozumieniu ze Sroką uciekali przed Ziobrą, ciągnąc ze sobą Naleśnika – czy tam Członka, bo mi się ciągle myli. Stop. Komisja do spraw Pegasusa nie wyznaczyła jeszcze daty, w której znowu chce spektakularnie nawiązać przed Zbyszkciem.

Blisko 50-letni Hołownia pasuje do fraszki Jana Kochanowskiego „Do dziewczki”. Otóż wymyślił rotacyjny, że przydałby się dzień specjalnego urlopu na planowanie dziecka. Stop. Zdaje się, że chodzi mu o kino akcji, a nie moralnego niepokoju. Stop. Pomysł jest wart rozważy, ale mógłby być nadużywany. Stop. A jeżeli chodzi o cytowaną fraszkę, to pamiętam m.in. fragment: „Im kot starszy, tym, pospolicie mówią, ogon jego twardszy”. Stop. Hołowni życzymy 100 lat masywnego zdrowia. Stop.

Jerzy Owsiak przyznał w TVP, że zaangażował się w 2023 r. w kampanię do parlamentu. Stop. Pamiętają państwo lekko obrzydliwe billboardy o sepsie... Stop. W związku z tym sprawą zajęły się prokuratura i Państwowa Komisja Wyborcza. Żartowałem – ale tylko w ostatnim zdaniu... Stop. ©©

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Zapomniana rocznica

Początek XX w. był dla Warszawy okresem wyjątkowej prosperity. Towarzyszył jej szybki rozwój warszawskich grup przestępczych. Na przełomie stuleci działały w Warszawie dwie rozbudowane szajki przestępcze: polska i żydowska. Dla obu sytuacji głównym źródłem dochodów pozostawała prostytucja. Handel żywym towarem przynosił sutenerom ogromne zyski. Jak twierdzi badająca te zagadnienia historyk Aleksandra Jakubczak, „w warszawskim świecie przestępczym, szczególnie tym czerpiącym zyski z prostytucji i handlu żywym towarem, hierarchia była stosunkowo wyraźna. Najwyżej stali ci, którzy zdążyli się wzbogacić i mogli sobie pozwolić na wygodne życie, nie angażując się już bezpośrednio w działalność kryminalną. Ich majątek pochodził zazwyczaj z kradzieży, wyzysku i prostytucji. Swoim stylem życia i ubiorem upodabniali się do burżuazji”. Specyfiką warszawskiego półświatka były jego koneksje kulturalne. „Sutener dbał o bezpieczeństwo prostytutek i starał się o ich odpowiednie zareklamowanie. W Warszawie podopieczne promowano w szabat w Ogrodzie Saskim lub w teatrze jidysz, który stał się wkrótce istotnym miejscem dla żydowskiego półświatka. Bogaci stręczyciele i handlarze kobietami przejęli kontrolę nad warszawskimi teatrami

jidysz; w łóżach reklamowali prostytutki i wyraźnie zaznaczali swoją obecność w świecie żydowskim [...]. Za pieniądze pochodzące z nierządu i działalności przestępczej członkowie półświatka żydowskiego wykupywali najlepsze miejsca w synagogach i, dając hojne datki na cele dobroczynne, próbowali wkradać się w łaski rabinów”. Ścisłe były też związki pomiędzy przestępcami a agenturą ochrony – carskiej policji politycznej.

Warszawski „pogrom alfonsov” wstrząsnął podstawami tego pozornie stabilnego układu. Pomiędzy 24 a 26 maja 1905 r. warszawscy robotnicy – w równej mierze Polacy i Żydzi – zdemolowali kilkaset warszawskich domów publicznych. Przez okna wyrzucano na bruk drogie meble, lustra i fortepiany. Ofiarą wzburzonego tłumu padło kilkunastu sutenerów – ciężko pobito kilkudziesięciu innych.

25 maja 2025 r. przypadając będzie okrągła, 120. rocznica warszawskiego „pogromu alfonsov”. Trudno wyjaśnić, dlaczego akurat tego dnia premier Donald Tusk oraz prezydencki kandydat Rafał Trzaskowski postanowili zorganizować w Warszawie „wielki majowy marsz patriotów”. Z licznych majowych świąt, których w kalendarzu nie brakuje, rocznica „pogromu alfonsov” może być dla zasiedziałyh włodarzy stolicy wyjątkowo pechową wróżbą. ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Ucieczka za druty

Maria Boniecka (1910–1978) to jedna z nieśluszenie zapomnianych, przemilczanych publicystek i pisarek, autorka wyjątkowo gorzkiej, dokumentalnej już dziś książki „Ucieczka za druty” o powojennym Szczecinie i własnych, dramatycznych losach – represjach ze strony „tępej, wszechobecnej tu ferajny z bezpieki i partii” – jak pisała. Jej pionierska książka wydana 50 lat temu, w 1975 r., przez londyńską Fundację Kulturalną, czytana przez radio Wolna Europa, do dziś jest w Polsce nieopublikowana i nieznana, co jest szczególnie wstydem dla Szczecina, którego dotyczy. Jak dotąd uczcił jedynie Boniecką, pochowaną

Bezpieka dokwaterowała do jej domu lokatora, a raczej sUBlokatora, który zamienił jej życie w gehennę

w Australii, drzewkiem pamięci na cmentarzu Centralnym oraz rondem jej imienia, choć szczecinianie nie wiedzą nic o jego patronce, a pisarza honoruje się publikacją jego książek, co w wypadku Bonieckiej byłoby też symbolicznym zadośćuczynieniem za doznane tu szkody, które wypchnęły ją na emigrację, za druty stworzone przez system.

Była rodowitą warszawianką, absolwentką filozofii, uczennicą Stefani Baczyńskiej, matki Krzysztofa Kamila, a w Szczecinie znalazła się razem z mężem w 1946 r. jako członek AK, uczestniczka powstania warszawskiego, uciekając tu przed pograżającą ją przeszłością, myląc tropy, co się udało. Od mądrego wojewody

Leonarda Borkowicza witającego z otwartymi ramionami przybyłych tu inteligentów dostała piękną, poniemiecką willę na malowniczym osiedlu Głębokie i choć nowa rzeczywistość niezbyt jej się podobała, to rozpoczęła pracę dla polskiego Szczecina. Współpracowała z radiem, miała prelekcje w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej, wydała w Czytelniku dwie zapomniane już dziś powieści: „Szklane kulki” oraz „Księgę miłości i cierpienia”. Wstąpiła do szczecińskiego oddziału Związku Literatów – nielicznego, który musiał przyjmować debutantów, aby spełnić wymogi niezbędne do utworzenia oddziału po ucieczce warszawskich gwiazd (Andrzejewskiego, Gałczyńskiego), pozbawionego nazwisk i osobowości, posłusznego władzy – tylko Boniecka nie podpisała „kontrlistu 600” potępiającego sygnatariuszy Listu 34.

W 1955 r., podczas październikowej odwilży, z entuzjazmem zakładała nieistniejący tu wcześniej tygodnik społeczno-kulturalny „Ziemia i Morze”. Jako były członek AK, bezpartyjna, została jego naczelną, stworzyła ciekawy zespół (Lech Bądkowski, Jan Papuga, Franciszek Gil, Przemysław Bystrzycki), uczyniła z pisma szczecińskie „Po Prostu” – tak samo odważne, ciekawe, poruszające dotychczasowe tematy tabu, demaskujące stalinowskie nieprawości i świństwa w sądownictwie, przemysłe morskim. Pisało ono prawdę o powstaniu węgierskim, poznańskim czerwcu 1956 r., jako jedyne odważyło się wydrukować o nim wiersz Kazimierza Iłakowiczówny „Roztrzelano moje serce”. Zamieszczało literaturę emigracyjną – uzgodnione z Giedroyciem fragmenty dziennika

Gombrowicza, wiersze Lechonia, Miłosza, a także Herberta, Białoszewskiego. Październik szybko jednak odwołano, do Szczecina wrócił zamordyzm, zarzucono Bonieckiej „redagowanie pisma niezgodnego z linią partii” i odwołano ze stanowiska, pismo zlikwidowano. Wytoczono jej też proces o zniesławienie za jeden ze swoich tekstów w „Ziemi i Morzu” o nauczycielce, która współpracowała podczas okupacji z Niemcami, podpisała volkslistę. Proces wygrała, pozostała jednak opinia „siejącej zamęt”.

W 1962 r. szczecińska bezpieka, zarzucając jej „wrogi stosunek do PRL”, założyła niepokornej sprawę operacyjnego rozpracowania pod kryptonimem Kultura – przeprowadzała u niej rewizje, konfiskowała maszynopisy, objęła zakazem druku i prelekcji w TWP, podstawy jej bytu, na skutek donosów cofnęła inwalidzką rentę, groziła potopieniem czworga jej dzieci. Dokwaterowała do jej domu lokatora, a raczej sUBlokatora, który zamienił jej życie w gehennę – zamknięte drzwi rąbał siekierą, posuwał się do rękoczynów i ciężkiego pobicia Bonieckiej. Sprawa o eksmisję się ciągnęła; zdesperowana, w obawie o bezpieczeństwo swoje i swojej rodziny, zaczęła się starać o wyjazd na antypody, do Australii, gdzie miała syna lekarza. Obietnicę dostała, ale za cenę współpracy z SB, na co zgodzić się nie mogła. Dopiero w 1965 r., po pięciu latach udręki, za przysłane przez syna pieniądze na łapówkę dla pośrednika udało się kupić wolność dla całej rodziny. I właśnie w Australii, w wymarzonego spokoju, napisała swoją wciąż u nas nieznaną „Ucieczkę za drutami”. ©©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Za komuny były procesy pokazowe – nazwa stąd, że nie chodziło o sprawiedliwość ani o ukaranie sprawców czegokolwiek, chodziło o POKAZANIE, kto ma władzę, że ma władzę absolutną i może zrobić wszystko każdemu. Do procesów pokazowych brano ludzi kompletnie niewinnych – właśnie po to, by się naród dowiedział, że mogą zrobić wszystko, każdemu, nawet kompletnie niewinnemu, o którym wszyscy wiedzą, że jest niewinny.

Pokazówka z księdzem, kilka miesięcy temu, była niepotrzebna z punktu widzenia prawa – mógł odpowiadać z wolnej stopy, a nawet gdyby musiał być aresztowany, to można go było trzymać w warunkach normalnych. No ale to była pokazówka, więc z aresztu miał wyjść chudy i wyniszczony, a do tego poniżony – taka przestroga ze strony władzy.

Kolejna pokazówka: urzędniczka z biura Morawieckiego Anna W. skuta kajdanami na nogach i rękach doprowadzona do aresztu. W domu 13-letni syn z autyzmem próbował popełnić samobójstwo – ze strachu. Kajdany na ręce i nogi oraz odblaskowy kubrak zakłada się niebezpiecznym bandytom. Gdy ktoś jest patologicznym zabójcą lub gdy istnieje zagrożenie, że gangster zostanie odbity w trakcie transportu – wtedy się go skuiwa, bo w kajdanach na rękach i nogach oraz w odblaskowym kaftanie trudno uciekać. A po co było skuiwać urzędniczkę? Nie wystarczy dwóch policjantów prowadzących pod pachę? Cała ta akcja była na pokaz. Terror władzy.



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANSKAW.SCIENKI

Terror, czyli mamy się wszyscy lękać i trząść ze strachu.

Częścią pokazu był też komentarz mecenasa Giertycha: Gdyby była mądra, powiedziałaby, co wie, i została zwolniona. Giertych jest okrutny wobec tego 13-letniego dziecka, bo dziecku wyrządzono większą krzywdę niż matce. Giertych jest też cyniczny. A co w sytuacji, gdy ta urzędniczka naprawdę niczego nie wie? Co wtedy? Istnieje przecież taka możliwość, a w dodatku przed wyrokiem istnieje obowiązek domniemania niewinności. Co z tym, mecenasie? Ano nic – terror władzy polega na tym, że władza stosuje domniemanie winy. Chcemy cię związać z domu w kajdanach, to cię weźmiemy, a 13-letnie dziecko niech wyje – efekt medialny będzie lepszy.

Giertych powiedział „Gdyby była mądra...”. A co w sytuacji, gdy ta pani jest głupia? Wtedy należy jej się to wszystko? Jeżeli jest głupia, to jak ma spełnić warunek postawiony przez Giertycha, że „Gdyby była mądra...”? Teraz nawet bycie głupim może być pretekstem do kary, gdy władza zechce ukarać – na tym polega ten pokaz.

Częścią terroru władzy w czasach komunistycznych było ORMO. Milicja i ubecja to byli zawodowcy, ale obok nich byli też amatorzy – donosiciele z Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej. Ten ryt powrócił. Poseł Bartosz Arłukowicz napisał w sieci następujący donos: „Krótka relacja z mszy w szczecińskiej parafii na inten-

cji uwolnienia pana Mateckiego. To wszystko działa się dziś o 15 w Szczecinie. Ci księża z tej parafii z jakiegoś powodu bardzo modlą się o pana Mateckiego. Chyba warto, żeby Prokuratura Krajowa o tym wiedziała”.

Gramatykę i koślawy styl zachowałem bez zmian – brzmi jak notatki służbowe pisane za komuny, gdy ojciec posła Arłukowicza działał w ORMO. Ten donos ma zastraszyć księży z powodu przyjęcia niewłaściwej, zdaniem władzy, intencji mszalnej. To jest groźba! Wolno się modlić, na razie wam pozwalamy, ale nie podoba nam się, gdy się modlicie o uwolnienie niewłaściwych więźniów.

Nowe wytyczne Prokuratora Generalnego RP w zakresie tzw. mowy nienawiści to długa seria pogróżek skierowanych do zwyczajnych obywateli. W przypadku wykrycia wpisów, które się władzy nie spodobają, prokuratura ma obowiązek sprawdzić, czy popełniłeś inne myślozbrodnie w przeszłości. Kiedyś tamte stare wpisy może były jeszcze legalne, ale teraz już nie są, więc cię teraz możemy ukarać za coś, co napisałeś dawno temu. I jeszcze konfiskata sprzętu elektronicznego celem wykrycia przestępstwa oraz dostęp zdalny do zasobów internetowych, np. do skrzynek pocztowych i kont na forach. I tak dalej, i dalej. Gdy będziesz wypisywał w sieci rzeczy skierowane przeciw władzy, trafisz za kraty na wiele lat.

I co z tym robić, gdy wzmacnia się terror władzy? Uważam, że uratuje nas bałagan. Ogólny narastający i widoczny już teraz wyraźnie burdel w tym całym systemie. Za Gierka był burdel, za Jaruzela podkręcili śrubę, ale potem znowu mieli burdel i sami urzędnicy, a nawet działacze w końcu zaczęli olewać własny system.

System nieremontowany się zawala. Obojętne, czy mamy do czynienia z systemem komputerowym, kolejowym czy państwowym. Ten też się wali, a oni go nie reformują, tylko chwają, bo wtedy chwają sami siebie i swój system... Unia Europejska jest doskonała, Koalicja Obywatelska jest fantastyczna, kraj idzie w dobrą stronę, czyli nasza władza jest idealna, działa fantastycznie i jest coraz lepiej, a nie gorzej.

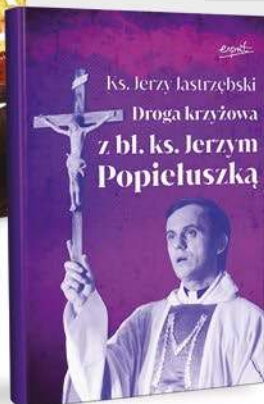
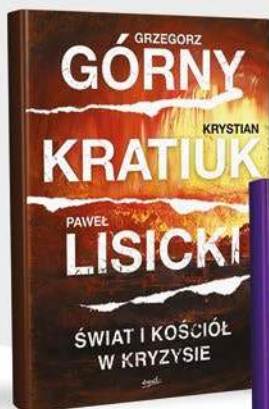
Możemy być dobrej myśli – tak uważam. Nic nie trzeba robić, a jedynie przetrwać. Ten ich system sam padnie. Muru Berlińskiego nie rozwalili Niemcy – sam padł. Przestał być wydajny, a ostatecznie przestał być komukolwiek potrzebny. Reszta to były ozdobne słowa Reagana i Gorbaczowa. I tym razem, jak zawsze, po prostu przyjdzie Pan Bóg i kopnie w stolik. Bo kto uratował Trumpa od zamachu? Przyszedł Pan Bóg i kopnął w stolik. W roku 2016 miała wygrać Hillary Clinton, ale... przyszedł Pan Bóg i ten stolik, przy którym siedziała, nagle się wywalił. A przecież to był jej stolik i jej system, no ale działaczom, strażnikom i właścicielom systemu przestało się chcieć na ten system pracować – sami przestali wierzyć we własny system i Hillary też nie wierzyła w nic, co mówiła na głos. Nie wierzyła w system i dlatego system padł. Bodnar ani Giertych też nie wierzą w to, co mówią. ©©

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~593~~ Zł

**W PREZENCIE
KSIĄŻKI**

GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZTIAN KRATIUK, PAWEŁ LISICKI:
„ŚWIAT I KOŚCIÓŁ W KRYZYSIE”; KS. JERZY JASTRZĘBSKI:
„DROGA KRZYŻOWA Z BŁ. KS. JERZYM POPIEŁUSZKĄ”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

274,00 Zł
OSZCZĘDNOŚĆ 319 Zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 4ffa4baed0

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Inwestuj w uczciwość! Kup Akcje Spółki!

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

*„Inflacja, podatki,
tania energia
– czas mówić prawdę
o gospodarce.”*

Rafał A. Ziemkiewicz

pisarz i publicysta
tygodnika „Do Rzeczy”



DO RZECZY S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA NEW/CONNECT (GPW)

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

eprasa.pl 4ffa4baed0